

Autostrada w mrok

Silverberg Robert



calibre 0.9.43

ROBERT SILVERBERG

AUTOSTRADA W

MROK

(PRZEŁOŻYŁA: ANNA MINCZEWSKA-PRZECZEK)

TAJEMNY GOŚĆ

Była to moja pierwsza podróż i miała ona mnie, który byłem nikim, absolutnie nikim - uczynić kimś.

Choć byłem nikim, ośmielałem się patrzeć na miliony światów - i współczuć im.

Rozciągały się wszędzie wokół mnie, hucząc na swoich nocnych szlakach. Każdy z nich ufał, iż w istocie dokądś zmierza. I każdy oczywiście mylił się, ponieważ światy nie zdążają donikąd, kręcą się tylko w kółko, w kółko i w kółko, patetyczne małpy na sznurkach, spętane na zawsze w jednym miejscu. Wydawało się, że są w ruchu, tak, ale w rzeczywistości trwały w miejscu. I ja, który wpatrywałem się w światy Kosmosu i przepełniało mnie współuczucie dla nich, wiedziałem, że choć pozornie tkwię nieruchomo - poruszam się jednak.

Znajdowałem się jednak na pokładzie statku kosmicznego, statku Służby Zaopatrzenia, który pochłaniał lata świetlne z szybkością tak nieprawdopodobnie wielką, iż mogło się wydawać, że w ogóle się nie porusza.

Byłem bardzo młody. Moim statkiem, zarówno wówczas, jak i teraz, był Miecz

Oriona, dążący z Kansas Four przez Cul-de-Sac, Strappado, Mangan's Bitch i wiele innych światów po przyjętych orbitach. Była to moja pierwsza podróż - i to ja dowodziłem. Przez długi czas myślałem, że w tej podróży stracę duszę; teraz jednak wiem, że to, co zdarzyło się na pokładzie statku, nie było traceniem duszy, ale jej pozyskaniem. I, być może, było to zyskanie więcej niż jednej duszy.

Roacher myślał, że jestem łagodny. Mogłem go za to zabić; on jednak oczywiście i tak był martwy.

Kiedy wyruszasz w Niebiosa, musisz zrezygnować z życia. Co do mnie, wiem, co się w zamian dostaje, a i wy dowiedziecie się, jeśli wam na tym zależy; nieuchronnie jednak trzeba zostawić za sobą wszystko to, co kiedykolwiek łączyło z życiem na lądzie: stajesz się czymś innym. Powiadamy, że oddaje się ciało i dostaje duszę. Oczywiście, można zatrzymać ciało, jeśli się chce. Większość chce. Nie jest to już jednak tak dobre, w tym znaczeniu, w jakim dobre jest ciało. Zamierzam właśnie opowiedzieć, jak to było w moim przypadku, w trakcie pierwszej podróży na pokładzie Miecza Oriona wiele lat temu.

Byłem najmłodszym oficerem, więc naturalnie zostałem kapitanem.

Dowódcę mianują podczas startu, zanim jeszcze jest się kimś. Próba ta jest przekleństwem; rzucają cię na głęboką wodę i jeżeli umiesz pływać, to nie toniesz; w przeciwnym razie idziesz na dno. Tacy topielcy wracają w specjalnych pojemnikach i są później przydatni jako przetwarzacze energii, ładowacze, konserwatorzy, przynieś-podaj-pozamiataj i temu podobni.

Tych, którzy nie toną, przeznaczają się do innych zadań. Nikt się nie marnuje. Era Marnotrawstwa skończyła się dawno temu.

Trzeciego dnia wirtualnego od wyruszenia z Kansas Four Roacher powiedział mi, że jestem najłagodniejszym kapitanem, pod którym kiedykolwiek służył. A służył pod wieloma, bo Roacher wyruszył w Kosmos co najmniej dwieście lat temu, a może jeszcze wcześniej.

- Łagodność widać w pańskich oczach. Widzę ją też w sposobie, w jaki pochyła pan głowę.

Nie był to komplement.

- Możemy pana wysadzić w Ultima Thule - powiedział Roacher. - Nikt nie będzie miał panu tego za złe. Wtłoczymy pana do butli i odeślemy, a mieszkańcy Ultima Thule złapią pana, zdekantują i za dwadzieścia czy pięćdziesiąt lat będzie można wrócić do Kansas Four. Może to najlepsze wyjście.

Roacher jest mały i wysuszony, ma brązową skórę i oczy, które lśnią purpurową luminescencją przestrzeni. O światach, które widział, zapomniano tysiąc lat temu.

- Sam się zabutelkuj, Roacher - odparłem.

- Kapitanie, kapitanie! Proszę tego złe nie zrozumieć. No, kapitanie, niech pan da nam odczuć swój łagodność. - Wyciągnął łapsko, usiłując pogłaskać mnie po twarzy. - Tylko troszeczkę, kapitanie, tylko troszeczkę!

- Usmażę twoją duszę i zjem ją na śniadanie, Roacher. To właśnie ta odrobina łagodności specjalnie dla ciebie. Zabieraj się stąd, dobrze? Podłącz się do masztu i łyknij sobie wodoru. Idź już, idź.

- Urocze - odrzekł.

Odszedł jednak. Byłem w stanie mu zaszkodzić. Wiedział, że mogę, ponieważ jestem kapitanem. Wiedział również, że tego nie zrobię; zawsze jednak istniała możliwość, że się myli. Kapitan może podjąć pewne działania i decyzje, ale nie musi. Członek załogi dowiaduje się o tym na własne ryzyko. Roacher wiedział o tym. Poza wszystkim niegdyś sam był kapitanem.

Było

nas

siedemnastu

podczas

tej

podróży,
stanowiących
załogę
dziesięciokilometrowego statku typu Megaspore, w pełni wyposażonego we wszelkie aneksy,
poszerzenia i możliwości wirtualne. Nieśliśmy okazały ładunek towarów uważanych
wówczas za niezbędne dla odległych kolonii: układy scalone do odczytywania parowania,
sztuczne inteligencje, węzły klimatyczne, gniazda wtykowe do matryc, urządzenia medyczne,
banki kości, konwertery gleby, powłoki tranzystorowe, syntezatory skóry i organów wewnętrznych,
panele do oswojania dzikich zwierząt, zestawy wymiany genów, zapieczętowaną
przesyłkę zmielonego piasku, niedozwoloną broń i tym podobne. Mieliśmy również
pięćdziesiąt miliardów dolarów w formie balonów płynnej waluty do przekazów bank
centralny-bank centralny. Dodatkowo istniał ładunek pasażerski w postaci siedmiu tysięcy
kolonistów. Ośmiuset z nich było w stanie przejściowym, natomiast innych przechowywano
w formie matryc do transplantacji ciała w świecie przeznaczenia. Innymi słowy - standardowy
ładunek. Załoga była na prowizji, również jak zwykle, jeden procent od wartości faktury
frachtu, dzielony na zwyczajowe działki. Ja miałem jedną pięćdziesiątą, to znaczy dwa
procent zysku netto, w czym zawarta była premia za stanowisko kapitana; w innym
przypadku miałbym jedną setną lub nawet mniej. Roacher miał jedną dziesiątą, a jego kumpel
Bułgar jedną czternastą, chociaż nie byli nawet oficerami. Ukazuje to wartość starszeństwa w
Służbie. Starszeństwo jest wszak tym samym co przetrwanie, a czemu by przetrwanie nie
miało zostać nagrodzone? W czasie mojej ostatniej podróży wyciągnąłem dziewiętnastą
działkę, więc teraz i tak mam więcej.

Nigdy nie widzieliście statku gwiazdowego. Przebywamy wyłącznie w Kosmosie; kiedy zbliżamy się do jakiegoś świata, miejscowe promy przylatują do nas, aby wyładować towar. Najbliższa odległość, na jaką zbliżamy się do powierzchni planety, wynosi milion długości statku. Troszeczkę bliżej - i zostalibyśmy odrzuceni ową straszliwą siłą, która emanuje ze światów.

Nie pragniemy jednak poruszania się po stałym lądzie. Jest to dla nas rzecz śmiertelnie niebezpieczna. Gdybym teraz musiał stanąć na planecie, po spędzeniu większości życia w Kosmosie, w ciągu godziny umarłbym skroplony. Jest to koszmarny sposób umierania; czemu jednak miałbym kiedykolwiek wyjść na brzeg? Prawdopodobieństwo tego wciąż dla mnie istnieje, od mojej pierwszej podróży na Mieczu Oriona, ale od dawna o nim zapomniałem. To właśnie miałem na myśli, gdy wspominałem o konieczności oddania życia, kiedy się żegluję w przestrzeni. Ale oczywiście istnieje również poczucie, że lądowanie nie ma nic wspólnego z pozostaniem przy życiu. Gdybyście mogli kiedykolwiek żeglować na gwiazdowym statku lub przynajmniej widzieli jeden z nich, zrozumielibyście, co mam na myśli. Nie mam do was pretensji, że jesteście, jacy jesteście.

Pozwólcie teraz zaprezentować sobie Miecz Oriona, chociaż nigdy nie zobaczycie go takim, jakim ja go widzę.

Pierwszym, co rzuca się w oczy, jest światło promieniujące od statku. Bije od niego niesłychanie intensywny blask, przeszywający niebiosa jak dźwięk trąbki. Ta wielka jasność zarówno wyprzedza statek, jak i ciągnie się za nim. Przed statkiem widnieje luminescencyjny stożek jasności, rozdzierający próżnię. Za sobą pojazd pozostawia fotoniczny kilwater tak intensywny, że można by go zebrać i zważyć. Przyczyną powstawania tego światła jest napęd gwiazdowy: statek łyka przestrzeń, a światło jest jego wydalina.

Pośród tej jasności moglibyście dostrzec dziesięciokilometrową szpilę. To właśnie Miecz Oriona. Jeden jego koniec jest zaostroszony, drugi zaś zawiera Oko, a przejście z końca na koniec wymagałoby kilku dni marszu przez wszystkie pomieszczenia. To świat sam w sobie. Szpila statku jest spłaszczona. Moglibyście z łatwością spacerować po zewnętrznej powierzchni, stanowiącej pokrywę górnego pokładu nazywanego Pokładem Grzbietowym. Podobnie wygląda sprawa z dolnym pokładem - Pokładem Brzusznym. Jeden nazywamy dolnym, drugi zaś górnym, chociaż kiedy się przebywa na zewnątrz, rozróżnianie to nie ma znaczenia. Pomiędzy nimi leżą pokłady: Załogi, Pasażerski, Cargo i Nawigacyjny. Zazwyczaj nie ma potrzeby przemieszczać się z jednego na drugi; pozostajemy na tym, do którego należymy. Silniki znajdują się w Oku. Tam również umieszczone są pomieszczenia kapitańskie.

Opisana powyżej szpila nie stanowi jednak całości statku. Czego nie można dostrzec, to aneksy, poszerzenia i pomieszczenia wirtualne. Towarzyszą statkowi, owijając go siecią powikłanych struktur zewnętrznych. Znajdują się one jednak na niższym poziomie rzeczywistości, tak więc nie można ich dostrzec. Statek rozciąga się w przestrzeni, poszerza i wydłuża, mając w ten sposób dość miejsca na wszystko, co przewozi. W tych zewnętrznych strefach znajdują się części zamienne, zapasy paliwa, magazyny żywności i całe cargo. Jeżeli na statku są więźniowie, podróżują w aneksach. Jeśli podczas kursu przewiduje się napotkanie poważnych turbulencji prawdopodobieństwa, statek rozpościera znajdujące się w pomieszczeniach wirtualnych ramiona stabilizujące, gotowe do realnego zaistnienia. To właśnie są tajniki naszego zawodu. Przyjmijcie je na wiarę lub zignorujcie, jak wam się podoba; nie mają dla was żadnego znaczenia.

Zbudowanie statku trwa czterdzieści lat. Obecnie funkcjonuje ich dwieście siedemdziesiąt jeden, a wciąż powstają nowe. Stanowią jedyną więź pomiędzy Światami

Macierzystymi i ośmiuset dziewięćdziesięcioma ośmioma Koloniami oraz kolonistami Kolonii. Od początku Służby zaginęły cztery statki - nikt nie wie, co się z nimi stało. Strata statku gwiazdowego jest najgorszą katastrofą, jaką mogę sobie wyobrazić. Ostatni taki przypadek miał miejsce sześćdziesiąt wirtualnych lat temu.

Statek gwiazdowy nigdy nie powraca do świata, z którego został odpalony. Galaktyka jest na to zbyt wielka. Przebywa wciąż w podróży i nieustannie dąży przez Kosmos po nieskończonych, otwartych szlakach.

Oto, jak wygląda służba w Zaopatrzeniu. Powrót byłby bezcelowy, ponieważ od rozpoczęcia podróży dzielą nas tysiące lat czasu ziemskiego. Żyjemy poza czasem. Musimy, ponieważ nie ma innego wyjścia. To jest nasze brzemie i nasz przywilej. Na tym polega służba.

Piątego wirtualnego dnia podróży poczułem nagle wewnętrzne ukłucie, szarpnięcie, delikatny sygnał, że coś jest nie w porządku. Uczucie to było ledwo zauważalne, prawie niepostrzegalne, jak osypanie się zerodowanych kamyków, które uświadamia istnienie pałaców i wież wielkiego zrujnowanego miasta, leżącego pod wzgórzem, na które się wspinasz. Jeśli nie oczekuje się takich sygnałów, można je przegapić. Ja jednak byłem na nie przygotowany. Pragnąłem ich. Ogarnął mnie przedziwny rodzaj radości, gdy dostrzegłem ten przelotny sygnał zagrożenia.

Włączyłem informator i spytałem:

- Co to było za drganie na Pokładzie Pasażerskim?

Informator pojawił się w moim mózgu natychmiast, ostra szarozielona obecność w otoczce szemrzącej muzyki.

- Nie jestem poinformowany o żadnym drganiu, kapitanie.

- Był tam jednak wyraźny wstrząs. Właśnie odbieram strumień danych.

- Doprawdy, kapitanie? Wyływ danych, kapitanie? - Informator wydawał się

skonsternowany, brzmiał nieco protekcyjnie. Rozśmieszyło mnie to. - Jakie działania mam podjąć, kapitanie?

Było to zachęcenie do odwrotu.

Informatorem na służbie był Henry Henry 49. Seria Henry przejawia pewien rodzaj wykrętnej niewinności, którą uważałem za obłudę. Są to jednakże bardzo zdolne informatory.

Zastanawiałem się więc, czy prawidłowo odczytałem sygnał. Być może zbyt mocno

pragnąłem, żeby coś się stało, cokolwiek by to miało być, co potwierdziłoby mój związek ze statkiem.

Na pokładzie statku gwiazdnego nigdy się nie ma poczucia ruchu czy jakiegokolwiek

aktywności; płyniemy w ciszy wśród ciemności, uwięzieni we własnym oślepiającym świetle.

Nic się nie porusza, całe uniwersum wydaje się martwe. Od momentu opuszczenia Kansas Four miałem poczucie osądzającej mnie wielkiej ciszy. Czy w istocie byłem kapitanem tego statku? W porządku: niech więc poczuje ciężar odpowiedzialności.

Minęliśmy już Ultima Thule i nie było możliwości powrotu. Związani z bryłą światła, jaką był nasz statek, mkniemy przez Kosmos tydzień po wirtualnym tygodniu, póki nie osiągniemy pierwszego z naszych celów, którym jest Cul-de-Sac w Archipelagu Vainglory koło Spook Clusters. Tu, w otwartej wolnej przestrzeni musiałem zacząć dowodzić statkiem, by on nie zaczął rządzić mną.

- Panie kapitanie? - zwrócił się do mnie informator.

- Rozpocznij odbiór danych - rozkazałem. - Wszystkie wejścia z Pokładu

Pasażerskiego z ostatnich trzydziestu minut. Coś tam się poruszyło. Nastąpił przepływ danych.

Wiedziałem, że mogę się mylić. Jednak pomyłka z przezorności jest, być może, naiwnością, ale nie grzechem. Wiedziałem, że na tym etapie podróży wszystko, co powiem czy zrobię, będzie się wydawało załodze Miecza Oriona naiwne. Cóż mogłem stracić, zarządzając powtórne sprawdzenie danych?

Byłem spragniony niespodzianek. Jakakolwiek nieprawidłowość dostrzeżona przez Henry'ego Hen-ry'ego 49 byłaby dla mnie korzystna, natomiast jej brak - niczym złym.

- Przepraszam, kapitanie - zgłosił się po chwili Henry Henry 49 - żadnego drgnięcia tam nie było.

- Może przesadzam, nazywając to drganiem. Może to była jakaś inna anomalia. Co na to powiesz, Henry Henry 49? - Zastanawiałem się, czy nie ponizam się zbyt, dyskutując w ten sposób z informatorem. - Coś tam jednak wystąpiło. Jestem tego pewien. Oczywiście

zakłócenie w przepływie danych. Anomalia, tak. I co teraz, Henry Henry 49?

- Tak, kapitanie. - Tak co?

- Zapis wykazuje zakłócenie, kapitanie. Pańska uwaga była bardzo trafna, kapitanie.

- Jedź dalej.

- Nie ma powodu do alarmu. Nieznaczny ruch metaboliczny, nic więcej. Jak zmiana pozycji podczas snu. - Ty sukinsynu, co ty wiesz o śnie? - W najwyższym stopniu niezwykle, że zdołał pan dostrzec coś tak nieznacznego. Wyrazy uznania. Wszyscy pasażerowie w porządku, kapitanie.

- Bardzo dobrze - powiedziałem. - Wprowadź tę zmianę do dziennika pokładowego.

- Już wprowadzona, kapitanie - odparł informator. - Czy mogę się odłączyć?

- Możesz - zezwoliłem.

Pulsowanie muzyki sygnalizującej jego obecność zaczęło zanikać i wreszcie ucichło całkowicie. Mogłem wyobrazić sobie wymuszony głupi uśmiech informatora, kiedy cichcem wmykał się w pokrętne głębie neuralnych przewodów statku. Pogardliwy software, nadęty lekceważeniem dla swego pseudo-szefa. Biedny kapitan, myślał zapewne, biedny, beznadziejnie głupi chłoptuś z tego kapitana. Pasażer kichnie, a on jest gotów zamknąć wszystkie grodzie.

Ostatecznie niech się podśmiewa, pomyślałem. Działąłem właściwie i zapis to wykazywał.

Może wam się wydawać, że rola kapitana takiego statku, jak Miecz Oriona, podczas pierwszej podróży w Kosmos, to ponoszenie przytłaczającej odpowiedzialności i dźwiganie ciężkiego brzemienia. Tak jest w istocie, ale nie z tych przyczyn, o których myślicie.

W rzeczywistości obowiązki kapitana mają najmniejsze znaczenie z wszystkich obowiązków członków załogi. Inni mają ściśle zdefiniowane, zasadnicze dla gładkiego

przebiegu podróży zadania, chociaż statek może - jeśli zachodzi taka konieczność -

wygenerować wirtualną wymianę każdego członka załogi i sam właściwie funkcjonować.

Funkcja kapitana jest abstrakcyjna. Jego zadaniem jest rola świadka podróży, przyswojenie jej

własnej świadomości, nadanie jej spójności i ciągłości przez sprowadzenie jej do szeregu

decyzji i właściwych reakcji. W tym sensie kapitan jest bardziej oprogramowaniem: po-

rządkuje to wszystko, co podczas podróży wyrażone jest jako ciągi funkcji liniowych. Jeśli

zaniedba odpowiedniego wykonania tych obowiązków, inni będą się temu spokojnie

przyglądać, a podróż i tak przebiegnie swoim torem. Tym, co może podczas podróży ulec

zniszczeniu, jest właśnie kapitan, a nie podróż. Mój trening przed lotem nie pozostawił co do

tego żadnych wątpliwości. Podróż będzie trwała bez względu na to, jak kiepski byłby kapitan.

Jak wspomniałem, od początku Służby Zaopatrzenia zagięły cztery statki i nikt nie wie

dlaczego. Nie ma wszakże powodu mniemać, że którakolwiek z tych katastrof nastąpiła z

powodu błędów popełnionych przez kapitana. To byłoby niemożliwe. Kapitan jest jedynie

środkiem, za którego pomocą działa załoga. To nie kapitan tworzy podróż; to podróż tworzy

kapitana.

Niespokojny i zmartwiony przemierzałem Oko statku. Pomimo uprzejmych złościwości Henry'ego Henry'ego 49 byłem przeświadczony, że na pokładzie zdarzyło się - lub zdarzy - coś kłopotliwego.

Kiedy dotarłem na poziom Ekranu Zewnętrznego, poczułem, że powtórnie dotknęło mnie coś dziwnego. Było to inne wrażenie niż za pierwszym razem, niemniej głęboko niepokojące.

Oko, które leży poniżej Pokładu Grzbietowego, pomiędzy nim a Pokładem Brzusznym, wypełnione jest ekranami wyświetlającymi zarówno wszystkie rzeczywiste, jak i pozorne zewnętrzne i wewnętrzne przejawy życia statku. Poszedłem do wielkiego, ukośnie umieszczonego ekranu, na którym widniał symulacyjny obraz rzeczywistego otoczenia zewnętrznego, i wpatrywałem się w zanikający okrąg punktu przekaźnikowego na Ultima Thule, kiedy znów ogarnęło mnie dziwne uczucie. Podczas gdy poprzednie sygnały były ledwo wyczuwalne, niezmiernie delikatne, ten był podobny do próby wtargnięcia czegoś w moje wnętrze. Niewidoczne palce zdawały się delikatnie muskać mój mózg, badając, czy nie znajdzie się doń wejście. Palce wycofały się; w chwilę później poczułem nagły kłujący ból w lewej skroni.

Zesztywniałem.

- Kto to?

- Pomóż mi - powiedział bezgłośny głos.

Słyszałem różne dziwne opowieści o pasażerskich matrycach wyzwajających się ze swych elektrycznych obwodów magazynowych i dryfujących po statku jak duchy poszukujące niestrzeżonego ciała, w które mogłyby wniknąć. Źródłami tych opowieści byli całkowicie niewiarygodni starzy dranie jak Roacher czy Bułgar. Odrzucałem takie historyjki,

traktując je jak bajki, podobnie jak odrzucałem bzdury o ogromnych mackowatych stworach przemierzających oceany Kosmosu czy o przywołujących i kuszących żeglarzy syrenach o nagich, lśniących piersiach, tańczących wzdłuż linii grawitacyjnych wirujących punktów. A jednak coś czułem! Badające palce, nagły ostry ból. I poczucie obecności kogoś przestraszonego, przestraszonego, ale silnego, silniejszego ode mnie, unoszącego się w zasięgu ręki.

- Gdzie jesteś?

Brak odpowiedzi. Cokolwiek to było, jeśli w ogóle było to cokolwiek, wymknęło się i skryło po tym jednym ukradkowym sztychu.

Ale czy rzeczywiście zniknęło?

- Wciąż gdzieś tu jesteś - powiedziałem. - Wiem, że jesteś.

Cisza. Bezruch.

- Prosiłeś o pomoc. Dlaczego zniknąłeś tak szybko?

Brak odpowiedzi. Poczulem wzrastającą złość.

- Kimkolwiek jesteś. Czymkolwiek. Przemów. Nic. Cisza. Czy mi się to wszystko wydawało? Te

próby, ten bezgłośny głos?

Nie. Nie. Byłem pewien, że istnieje coś niewidzialnego i nierzeczywistego, krążącego wokół mnie. Rozwścieczyła mnie niemożność nawiązania kontaktu z tym czymś, naigrywanie się ze mnie w ten sposób, drwienie ze mnie.

To jest mój statek, pomyślałem. Nie życzę sobie duchów na pokładzie mojego statku.

- Można cię wykryć - powiedziałem. - Możesz zostać uwięziony. Mogę cię zlikwidować.

Kiedy tak stałem, sypiąc z bezsilności pogroźkami, wydawało mi się, że znów

poczułem to samo dotknięcie w mózgu, tym razem delikatniejsze, smutne i przepraszające.

Być może sam je spowodowałem. Być może sprowokowałem reakcję wsteczną.

Trwało to jednak tylko ułamek chwili, jeżeli w ogóle się zdarzyło - i byłem znów samotny. Samolność ta była rzeczywista, całkowita i niewątpliwa, trzymając się kurczowo bariery ekranu, pochylony ku błyszczącej połyskliwie czerni, kołysany zawrotami głowy, tak jakbym został wypchnięty przez burtę statku w przestrzeń.

- Kapitanie?

Był to głos Henry'ego Henry'ego 49, dochodzący mnie gdzieś z tyłu.

- A czy tym razem coś poczułeś? - spytałem. Informator zignorował moje pytanie.

- Są kłopoty na Pokładzie Pasażerskim. Alarm załogi. Przyjdzie pan?

- Podstaw mi skuter tranzytowy - poleciłem. - Zaraz tam będę.

Światła poczęły migać w powietrzu - żółte, niebieskie, zielone. Wnętrze statku to rozległy, nie przepuszczający światła labirynt, po którym trudno jest się poruszać bez pomocy informatora. Henry Henry 49 wyznaczył optymalną drogę po krzywej Oka w kierunku korpusu statku i stamtąd wzdłuż obrzeża burty zawietrznej do windy prowadzącej w dół, w kierunku Pokładu Pasażerskiego. Wsiadłem do poduszkowego skutera ustawionego przy światłach. Droga nie trwała dłużej niż piętnaście minut. Bez pomocy potrzebowałbym tygodnia.

Pokład Pasażerski to odbijające dźwięki pomieszczenie, wypełnione setkami, czasem nawet tysiącami zamkniętych pomieszczeń ustawionych w szeregach, w każdym po trzy. Tu właśnie śpi nasze żywe cargo do chwili, kiedy przybędziemy, by je zdekantować.

Rozmieszczone wszędzie urządzenia szumią i mruczą, pieszcząc ciała trwające w stanie przejściowym. W dalszej części mrocznego pomieszczenia znajdują się pasażerowie innego rodzaju - pajęcza sieć przewodów sensorowych, zawierających tysiące bezcielesnych matryc.

Są to tysiące kolonistów, którzy pozostawili swoje ciała, wybierając się w przestrzeń. Jest to ciemne i zakazane miejsce, słabo rozświetlone cicho wirującymi kometami, które krążą wysoko, emitując czerwone i zielone iskry.

Kłopoty wystąpiły w obszarze stanu przejściowego. Było już tam pięciu najstarszych członków załogi:

Katkat, Dismas, Rio de Rio, Gavotte, Roacher. Widząc ich zgromadzonych razem zrozumiałem, że sprawa jest poważna. W przepastnych głębiach statku poruszamy się po odległych od siebie orbitach; spotkanie trzech członków załogi w tym samym miesiącu wirtualnym jest czymś niezwykłym. Teraz było ich pięciu. Wyczuwałem łączącą ich przygniatającą więź. Każdy z nich żeglował po morzach Kosmosu więcej lat, niż ja sobie liczyłem. Przebyli razem co najmniej kilkanaście podróży, tworząc zgrany zespół. Byłem wśród nich obcy, nie znany, nie wypróbowany, nie zauważany, mało znaczący. Roacher już zdołał zaczepić mnie za mój ą łagodność, przez którą - jak sądziłem - rozumiał niezdolność do stanowczego działania. Wydawało mi się, że się myli. Ale być może znał mnie lepiej niż ja sam siebie.

Odstąpili na bok, tworząc między sobą przejście. Gavotte, ciężki mężczyzna o potężnych ramionach i zaskakująco delikatnym i starannym sposobie bycia, wskazał otwartymi dłońmi: Tu, kapitanie, widzi pan, widzi pan?

Ujrzałem kłęby zielonkawego dymu wydobywające się z pomieszczenia dla pasażerów oraz półotwarte szklane drzwi, pęknięte na całej długości i oszronione z powodu różnicy temperatur. Słyszałem jednostajne i posępne kapanie. Błękitna ciecz ściekała grubymi kroplami z rozerwanego przewodu. Wewnątrz pomieszczenia widniała blada, naga postać mężczyzny z szeroko otwartymi oczami i ustami rozwartymi w bezgłośnym krzyku. Jego lewa ręka była uniesiona, pięść zaciśnięta. Wyglądał jak posąg bóleści i udręczenia.

Opodal stał sprzęt do demontażu. Kiedy tylko wydał polecenie, nieszczęsny pasażer zostanie rozmontowany, a wszystkie jego użyteczne organy - zmagazynowane.

- Czy on jest nie do odzyskania? - spytałem.

- Niech pan spojrzy - odpowiedział Katkat, wskazując pisaki urządzeń kontrolnych. -

Wszystkie wykresy skierowane były w dół. - Mamy już dziewiętnaście procent degradacji i posuwa się dalej. Czy mamy przystąpić do demontażu?

- Zaczynajcie - odpowiedziałem. - Wydaję zezwolenie.

Lasery błysnęły i rozpoczęły pracę. Ukazały się poszczególne organy, lśniące i wilgotne. Spiralne metalowe ramiona urządzeń demontażowych podnosiły się i opadały, przenosząc organy nie nadające się do naprawy i wrzucając je do pojemnika. Podobnie jak maszyny pracowali ludzie koło nich zgromadzeni, usiłując zaniknąć uszkodzone pomieszczenie, pod-wiązując pozrywane przewody kroplówek i urządzeń chłodniczych.

Zapytałem Dismasa, co się stało. Był konserwatorem tego sektora, odpowiedzialnym za utrzymanie we właściwej formie pasażerów w stanie przejściowym. Miał szczerą i dobroduszną twarz, ale sympatycznemu zarysowi ust i policzków zdumiewająco przeczył wyraz bladych i pochmurnych oczu. Powiedział, że pracował w niższych częściach pokładu, wykonując zwykłe czynności przy pasażerach zdążających do Strappado, kiedy odczuł nagle, że coś jest nie w porządku, szybkie ukłucie, znaczące, że coś jest nie tak.

- Ja też odniosłem takie wrażenie - powiedziałem. - Kiedy to się stało?

- Może pół godziny temu. Nie zrobiłem z tego żadnej notatki. Myślałem, że to coś w moim brzuchu. Mówi pan, że też pan to czuł?

Skinąłem głową.

- Tylko ukłucie. Jest w zapisie.

Słyszałem odległą muzykę Henry'ego Henry'ego 49. Być może informator usiłował

przeprzeć mnie za uprzednie powątpiewania.

- Co było dalej? - spytałem.

- Wróciłem do pracy. Po pięciu, może dziesięciu minutach poczułem następny, silniejszy wstrząs. - Dotknął głowy na skroni, pokazując miejsce. - Poszły czujniki, pękło szkło. Przybiegłem i zobaczyłem tego pasażera do Cul-de-Sac w konwulsjach. Wyrywającego się z umocowań, miotającego się. Uwolnił się ze wszystkiego, trzasnął w szybę, stłukł ją. Bardzo szybka śmierć.

- Wtargnięcie matrycy - orzekł Roacher. Skóra na mojej głowie napięła się.

- Opowiedz mi o tym - zwróciłem się do niego. Wzruszył ramionami.

- Co pewien czas ktoś w obwodach magazynu czuje się przez chwilę jakby skrępowany, znajduje drogę na zewnątrz i rozpoczyna włączkę po statku, szukając ciała, do którego mógłby się podłączyć. One tak zawsze robią, te matryce. Podłączyć się do mnie, do Katkata, nawet do pana, kapitanie. Ktokolwiek jest pod ręką, byle tylko znowu poczuć na sobie cielesną powłokę. Podłączenie do tego tu faceta - i klops.

Błądzące palce, tak. Bezgłośny głos. Pomóż mi.

- Nigdy nie słyszałem o kimś, kto by się podłączył do pasażera w stanie przejściowym

- rzekł powątpiewająco Dismas.

- A czemu by nie? - rzucił Roacher.

- Cóż z tego za pożytek? Tak czy owak, jesteś związany z magazynem. Zamrożenie nie jest o wiele lepsze od pozostawiania matrycą.

- Pięć do dwóch, że było to wtargnięcie matrycy - zaproponował Roacher, wściekle patrząc na Dismasa.

- Stoi - zgodził się Dismas.

Gavotte roześmiał się i też przystąpił do zakładu. Również pokręcony mały Katkat

wziął udział w grze, stojąc po przeciwnej stronie. Rio de Rio, który nie przemówił do nikogo ani słowa podczas ostatnich sześciu podróży, parsknął i wykonał obsceniczny gest w kierunku obu stron.

Czułem się jak beczynny obserwator. Aby odzyskać przynajmniej pozór dowodzenia, powiedziałem:

- Jeśli nastąpiło zaginięcie matrycy, będzie odnotowane podczas inwentaryzacji cargo.

Dismas sprawdzi to u informatora służbowego i zda mi raport. Katkat i Gavotte, sprzątnijcie ten cały bałagan i zabezpieczcie wszystko w pomieszczeniu. Później chcę mieć raport w dzienniku, kopia dla mnie. Będę w mojej kabynie. Następne instrukcje później. Zaginiona matryca, jeśli to właśnie z tym mamy tu do czynienia, zostanie zidentyfikowana, zlokalizowana i odzyskana.

Roacher wyszczerzył do mnie zęby. Wydawało się, że ma zamiar złożyć serię ukłonów.

Odwróciłem się, wsiałem do skutera i ruszyłem śladami żółtych, niebieskich i zielonych świateł, przez labirynt pokładów w kierunku Oka.

Kiedy tylko wszedłem do kabiny, coś dotknęło mojego mózgu i niesłyszalny głos powiedział:

- Pomóż mi, proszę.

Starannie zamknąłem za sobą drzwi i przykręciłem zasuwkę, ładując ekrany odosobnienia. Kabina kapitańska na statku Megaspore jest światem samym w sobie, pogodnym, prywatnym i pojemnym. Spiralnie skrzycone galaktyki obracały się i iskrzyły na ścianach. Miałem tu potok, jezioro, za nim - srebrzysty wodospad. Powietrze było miękkie i migocące. Dotknięciem dłoni mogłem włączyć światło, muzykę, zapach, kolor, wydobywające się z jednego z tysiąca ukrytych w ścianach kabiny otworów. Mogłem również zmienić ściany na przezroczyste, pozwalając przepływać wzdłuż nich świetlistym wspaniałościom kosmicznej przestrzeni.

Gdy tylko wygodnie się zainstalowałem, chroniony i odizolowany, powiedziałem:

- W porządku. Czym jesteś?

- Obiecujesz, że nie zdradzisz mnie przed kapitanem?

- Niczego nie obiecuję.

- Ale pomożesz mi? - Głos wydawał się jednocześnie przestraszony i nalegający, natarczywy i bezbronny.

- Jak mogę ci obiecać? Nie dajesz mi nic, na czym mógłbym się oprzeć.

- Wszystko ci powiem. Ale najpierw musisz mi obiecać, że nie zawiadomisz kapitana.

Zastanawiałem się przez chwilę i wybrałem drogę bezpośrednią.

- To ja jestem kapitanem - powiedziałem.

- Nie!

- Czy widzisz to miejsce? Myślisz, że co to jest? Pomieszczenie załogowe?

Pomywalnia?

Czułem wznoszące się i opadające fale strachu, płynące od mojego niewidzialnego towarzysza. A potem nic. Czyżby odszedł? Moja szczerość była więc błędem. Fantom trzeba

było uwięzić, odesłać, być może zniszczyć, zanim narobi jeszcze większych szkód.

Powiniennem być bardziej ostrożny i przewidujący, że -jeżeli się wymknie - będę tego żałował i w inny sposób; odczuwałem bowiem szczególną przyjemność, mogąc rozmawiać z kimś - czymś - kto nie był ani członkiem mojej załogi, ani wszechmocną i nadętą sztuczną inteligencją.

- Czy ciągle jeszcze tu jesteś? - spytałem po chwili.

Cisza.

Odeszło, pomyślałem. Przelatuje teraz przez Miecz Oriona jak hulający wiatr.

Prawdopodobnie jest już gdzieś w odległych głębinach statku.

I nagle, jak gdyby w ogóle nie było przerwy w rozmowie, usłyszałem:

- Nie mogę w to uwierzyć. Ze wszystkich miejsc, w jakie się można udać, trafić akurat do kapitańskiej kabiny!

- Istotnie. Następna pauza.

- Wyglądasz młodo jak na kapitana.

- Lepiej uważaj - ostrzegłem.

- Niczego nie chcę przez to powiedzieć, kapitanie - i z pewną zuchwałością i

wyzwaniem, połączonymi z niepewnością i lękiem, głos poprawił się: - panie kapitanie.

Patrząc na sufit, gdzie błyszczące węzły rezonatora migotały w górę i w dół widma jak zniewolone światła, miotając się od złącza do złącza, wzdłuż kabli iluminatora, ściagałem wzrokiem ich pulsowanie jak mikroskopijne elektromagnetyczne ślady. Niczego tam jednak nie było.

Wyobraziłem sobie sieć niewyczuwalnych sił, tańczący błędny ognik, fruujący

beładnie po kabinie, przysiadający to na moim ramieniu, to na wyposażeniu pomieszczenia,

to znów wypełniający sobą całą przestrzeń; zjawiskowy powietrzny duszek, rozigrany i

kapryśny. Dziwne, że nie tylko się nie bałem, ale czułem się doń silnie przywiązany. Było coś niezwykle pociągającego w tym roztańczonym elfie, tak ożywionym sprzecznościami. A jednak spowodował on śmierć jednego z moich pasażerów.

- No, cóż - odezwałem się - jest ci tu bezpiecznie. Kiedy jednak zdecydujesz się powiedzieć mi, czym jesteś?

- Czyż to nie oczywiste? Jestem matrycą.

- Mów dalej.

- Wolną matrycą, błąkającą się matrycą. Matrycą, która znalazła, się w poważnych kłopotach. Mam wrażenie, że kogoś poturbowałam. Może nawet zabiłam.

- Któregoś z pasażerów? - spytałem.

- A więc wiesz?

- Tak, mamy martwego pasażera. Nie byliśmy pewni, co się stało.

- To nie moja wina. To był wypadek.

- Niewykluczone - odparłem. - Opowiedz mi o tym. Opowiedz mi o wszystkim.

- Czy mogę ci zaufać?

- Bardziej niż komukolwiek innemu na statku.

- Ale ty jesteś kapitanem.

- Właśnie dlatego.

Miała na imię Leeleaine, ale chciała, bym nazywał ją Vox. Powiedziała, że to znaczy głos w jednym z tych starych języków Ziemi. Miała siedemnaście lat, pochodziła z Jaana Head, która jest wyspą na Zachodnim Palabarze, na Kansas Four. Jej ojciec był hodowcą szkła, matka obsługiwała dziurę grawitacyjną; miała pięciu braci i trzy siostry, wszyscy starsi od niej.

- Czy wiesz, co to znaczy, kapitanie, być najmłodszą z dziewięciorga rodzeństwa?

Mieć rodziców pracujących przez cały czas, a rodziców zastępczych również zajętych? Czy możesz to sobie wyobrazić? Dorastanie na Kansas Four, gdzie pomiędzy miastami są tysiące kilometrów, a nie mieszka się nawet w mieście, tylko na wyspie?

- Coś o tym wiem - odrzekłem. - Czy też jesteś z Kansas Four?

- Nie - odpowiedziałem - nie z Kansas Four, ale z miejsca bardzo podobnego, jak mi się wydaje.

Opowiadała o trudnym, nieuporządkowanym dzieciństwie, pełnym samotności i zła.

Kansas Four, jak słyszałem, jest pięknym światem, jeśli ma się skłonności do odnajdywania w światach piękna, dzikim i wspaniałym miejscem, gdzie niebo jest szkarłatne, a nagie bazaltowe skały wyrastają na wschodzie jak majestatyczna czarna ściana. W ujęciu Vox był on jednak brudny, ponury i niegościnnie. Widziała go jako pozbawione miłości miejsce, w którym toczyła pozbawione miłości życie. Opowiadała mi jeszcze o blado fioletowych morzach, rozjarzonych połyskującymi żółtawo rybami, o drzewach wybuchających kaskadami purpurowych liści w okresach kwitnienia i o ciepłych deszczach, śpiewających w powietrzu jak harfy. Nie przebywałem tak długo w Kosmosie, by zapomnieć o pięknie mór, drzew czy deszczów. Teraz jednak były dla mnie pustymi słowami. Vox tak zniechęciła swoje życie na Kansas Four, że pragnęła opuścić nie tylko ojczysty kraj, ale i własne ciało.

W tym miejscu byliśmy ze sobą zgodni; ja również porzuciłem mój świat i uprzednie życie, jeśli nawet nie ciało.

Ale w zamian wybrałem życie w Kosmosie - i Służbę. Vox natomiast dobrowolnie zdecydowała się zmienić jedną nędzną lądową egzystencję na inną.

- Wreszcie nadszedł dzień - ciągnęła - kiedy nie mogłam już tego wszystkiego wytrzymać. Byłam zrozpaczona i pusta wewnątrz: kiedy myślałam o następnych dwustu czy więcej latach takiego życia, miałam ochotę wrywać skaliste wzgórza i ciskać nimi, czy dostać się do sondy mojej matki i poprowadzić ją na samo dno morza. Sporządziłam listę metod, jakimi mogłabym odebrać sobie życie. Wiedziałam jednak, że nie mogę tego zrobić, w żaden sposób. Nie chciałam jednak tak żyć. Tego samego dnia - mówiła dalej - z Cul-de-Sac do Kansas Four nadeszło zapotrzebowanie na dusze. Tysiące opuszczonych ciał czekało tam na wypełnienie ich matrycami dusz. Bez chwili wahania umieściłam swoje imię na liście. Między światami istnieje stała migracja dusz. Podczas każdej podróży przewoziłem tysiące, przepelnionych nadzieją i gotowych do zamieszkania w nowych ciałach na obcych planetach.

Każdy świat dysponuje zapasem ciał czekających na wymianę duszy. Większość z nich była ofiarami nagłych wypadków. Życie na lądach jest pełne ryzyka, a śmierć czai się wszędzie. Regenerowanie i naprawianie ciał nie stanowi, co prawda, żadnego problemu, ale odzyskanie dusz, które je opuściły, nie jest możliwe. Tak więc opróżnione ciała tych, którzy utonęli, wypadli z pojazdów, zostali śmiertelnie ukąszeni przez owady czy też ugodzeni podczas pracy spadającymi gałęziami - są gromadzone i starannie sprawdzane. Jeżeli nie nadają się do naprawy, demontuje się je, a ich użyteczne organy i narządy przechowuje w celu zainstalowania u innych. W przypadku jednak, kiedy ciała mogą być złożone powtórnie - są składowane w komorach magazynowych, dopóki nie znajdzie się dla nich nowych dusz.

W końcu istnieją ci, którzy dobrowolnie opuszczają swoje ciała - może dlatego, iż są nimi znużeni czy też znużeni światami macierzystymi, czy też po prostu chcą się przenieść gdzie indziej. To oni właśnie zapisują się do wypełnienia czekających w odległych światach ciał, podczas gdy inni wnikają w ciała przez nich opuszczone. Najtańszym sposobem podróży między światami jest oddanie do dyspozycji własnego ciała i przelot w formie matrycy. Zamienia się w ten sposób życie nieciekawe na życie nieznanne. To właśnie zrobiła Vox. W bólu i rozpaczycy zgodziła się na to, by jej esencja, wszystko to, o czym kiedykolwiek wiedziała, co czuła, widziała, o czym marzyła, myślała czy śniła, zostało przetworzone w sieć impulsów elektrycznych, które Miecz Oriona przewiezie z Kansas Four do Cul-de-Sac. Leżało tam nowe, zarezerwowane dla niej ciało. Jej własne, puste i zbyteczne, pozostanie w oczekiwaniu na Kansas Four. Któregoś dnia stanie się, być może, domem dla jakiejś wędrującej duszy z innego świata czy też - jeśli nie będzie na nie zapotrzebowania - może zostać rozmontowane, a jego części przeznaczone do innego użytku. Vox nigdy się o tym nie dowiedzie; Vox nigdy nie będzie to obchodziło.

- Mogę zrozumieć zamianę nieszczęśliwego życia na szansę życia szczęśliwego - powiedziałem - ale dlaczego uwalniać się na statku? Jakiemu celowi miałyby to służyć?

Czemu nie zaczekać do momentu osiągnięcia Cul-de-Sac?

- Ponieważ to była tortura - odrzekła.

- Tortura? Co takiego było torturą?

- Życie w postaci matrycy. - Roześmiała się gorzko. - Życie? To było gorsze od śmierci!

- Opowiedz mi o tym.

- Ty nigdy nie byłeś matrycą?

- Nie - odpowiedziałem. - Wybrałem inny sposób ratunku.

- A więc nie wiesz. Nie możesz wiedzieć. Dowodzisz statkiem pełnym matryc w obwodach magazynowych, ale kompletnie ich nie rozumiesz. Wyobraź sobie więc swędzenie karku, kapitanie. Nie masz jednak ręki, by się podrapać. Zaczyna cię swędzieć udo. Pierś. Kładziesz się, czując wszędzie swędzenie. I nie możesz się podrapać. Czy teraz mnie rozumiesz?

- Jak matryca może odczuwać swędzenie? Jest przecież tylko szablonem elektrycznym...

- Och, jesteś niemożliwy! Jesteś głupi! Nie mówię przecież o rzeczywistym, dosłownym swędzeniu. Daję tylko przykład, ponieważ inaczej nigdy nie zrozumiałbyś rzeczywistej sytuacji. Wyobraź sobie: przebywasz w obwodzie magazynowym; wszystko, czym jesteś, to elektryczność. I rzeczywiście - mózg jest elektrycznością. Ale przywykło się do posiadania ciała. Ciało doznaje rozmaitych wrażeń. Ciało ma uczucia. Pamięta się je. Jest się więźniem. Więzień doskonale pamięta wrażenia, jakie niegdyś były dlań oczywiste. Oddałoby się wszystko, aby poczuć znów wiatr we włosach, smak zimnego mleka, zapach kwiatów. Nawet ból skaleczonego palca. Słony smak własnej krwi, kiedy się polize skaleczenie. Wszystko. Znienawidziłam własne ciało, rozumiesz? Nie byłam w stanie dłużej czekać na uwolnienie z niego. Ale kiedy to nadeszło, zaczęło mi brakować wszystkich jego doznań. Brakowało mi uciskającej mnie cielesnej powłoki, która przywiązywała mnie do ziemi, powłoki usianej nerwami, powłoki zdolnej odczuwać przyjemność. Lub ból.

- Rozumiem - odparłem i pomyślałem, że rzeczywiście rozumiem. - Ale przecież podróż do Cul-de-Sac jest krótka. Kilka wirtualnych tygodni i będziesz tam, poza obwodem, w swoim nowym ciele i...

- Tygodnie? Pomyśl o tym swędzeniu w karku. Swędzącym miejscu, w które nie można się podrapać. Myślisz, że jak długo mógłbyś wytrzymać, leżąc tu i czując to

swędzenie? Pięć minut? Godzinę? Tygodnie?

Wydawało mi się, że nie podrapane swędzenie samo zanika, być może w ciągu minut.

Ale to mnie się tylko tak wydawało. Nie byłem Vox; nie byłem matrycą przechowywaną w obwodzie.

- Tak więc uwolniłaś się. Jak? - spytałem.

- To nie było takie trudne. Nie miałam niczego innego do roboty; tylko o tym myślałam. Dostosowujesz się po prostu do polaryzacji obwodu. Stanowisz również matrycę, elektryczny wzorzec, utrzymujący cię w punkcie przecięcia się pasm. Jest to tak, jakby się było związanym, a później wyzwoliło z więzów. A potem można już iść, dokąd się chce. Podłączasz się do któregośkolwiek bioprocesora na pokładzie i czerpiesz z niego energię zamiast z obwodu magazynowego i właśnie ona pozwala funkcjonować. Mogę teraz przemieszczać się po całym statku z szybkością światła. Dokądkolwiek. Trwa to tyle, co mrugnięcie powiekami. Byłam już wszędzie: na dziobie i na maszcie, wędrowałam po niższych poziomach, kajutach załogi, pomieszczeniach cargo; byłam też blisko czegoś, co jest położone na zewnątrz, ale nie jest całkiem realne, jeśli wiesz, co mam na myśli. Czegoś, co przypomina kołysankę otaczających cię fal prawdopodobieństwa. To tak, jak być duchem. To jednak niczego nie rozwiązuje. Rozumiesz? Tortura trwa dalej. Chciałoby się czuć, ale nie można; znów tworzyć całość, mieć zmysły, odbierać wrażenia zakończeniami nerwów. Właśnie dlatego usiłowałam przedostać się do tego pasażera. Ale on mnie nie wpuścił. Zacząłem w końcu rozumieć.

Nie wszyscy podróżują w światach Kosmosu w formie matrycy. Zazwyczaj każdy, kogo na to stać, zabiera swoje ciało ze sobą. Stosunkowo jednak niewielu może sobie na to pozwolić. Ci podróżują w stanie przejściowym, w najgłębszym ze snów. Z reguły nie wozimy na statkach Służby pasażerów żywych - za żadną cenę. Byliby dla nas niezmiernie kłopotliwi,

wtykając nos tu i tam, zadając setki pytań i wymagając, żeby ich obsługiwać i niemal przewijać. Zakłócaliby spokój podróży. A tak, skryci głęboko w zamkniętych magazynach, przesypiają spokojnie całą podróż, ze wstrzymanymi wszystkimi procesami życiowymi, śmierć- w- życiu, stan, z którego wychodzą dopiero po przybyciu na miejsce przeznaczenia.

Natomiast biedna Vox, uwolniona z więziennego magazynowego obwodu i spragniona bodźców zewnętrznych, usiłowała wślizgnąć się do ciała pasażera...

Słuchałem, przerażony i przygnębiony, opowiadania o jej koszmarnej odysei przez statek. Rozpoczęła ją, wyłączając się z obwodu: było to owo dziwne uczucie, piknięcie, szarpnięcie na progu mojej świadomości.

Jej pierwsze chwile na wolności pełne były radości i ożywienia. Potem jednak nadeszła świadomość, że w istocie nic się nie zmieniło. Była wprawdzie wolna, ale wciąż bezcielesna, sfrustrowana tą bezcielesnością, tęskniąca za dotknięciem. Ten rodzaj cierpienia był, być może, powszechny wśród matryc; może to właśnie on powodował, że - tak w przeszłości, jak i teraz - wyzwały się one jak Vox, błakając się po statku jak złe i kłopotliwe duchy. Tak przecież powiedział Roacher. Co pewien czas ktoś w obwodach magazynu czuje się przez chwilę niczym nie skrzepowany, znajduje drogę na zewnątrz i rozpoczyna włóczęgę po statku, szukając ciała, do którego mógłby się podłączyć. One tak zawsze robią. Połączyć się do mnie, do Katkata, nawet do pana, kapitanie. Ktokolwiek jest pod ręką, byle tylko znowu poczuć na sobie cielesną powłokę. Tak.

Potem nastąpiło silniejsze szarpnięcie, które odczuł również Dismas, kiedy Vox, wybrawszy przypadkowego pasażera, nagle, impulsywnie, wślizgnęła się do jego mózgu. Natychmiast zauważyła pomyłkę. Pasażer, zagubiony w snach, jeżeli przytrafiają się one pasażerom w stanie przejściowym, zareagował na jej wtargnięcie dzikim przerażeniem. Rzucali nim konwulsje; zerwał się, demolując urządzenia podtrzymujące jego procesy

życiowe, desperacko usiłując wyrzucić demona, który weń wniknął. Podczas tej beładnej walki rozbił ściany pomieszczenia - i u-marł. Vox pierzchnęła przerażona, powodując alarm załogi, napotkała mnie, stojącego przy ekranie Oka i dokonała gwałtownej próby wejścia do mojego mózgu. Ale właśnie wtedy śmierć pasażera zarejestrowały czujniki Henry'ego Henry'ego 49 i kiedy informator skontaktował się ze mną, by donieść o alarmie, Vox uciekła znowu, krążąc żałośnie, dopóki nie wróciłem do kabiny. Powiedziała, że nie miała zamiaru zabić pasażera. Było jej przykro, że umarł. Odczuwała teraz zakłopotanie i strach - lecz nie winę. Odrzucała j ą niemal prowokująco. Umarł? No to umarł. To bardzo przykre. Ale skąd mogła wiedzieć, że to się może zdarzyć? Szukała przecież tylko ciała, w którym mogłaby się ukryć. Słyszając od niej to wszystko, odbierałem j ą jako kogoś całkowicie się ode mnie różniącego, kogoś zmiennego, chwiejnego, być może nawet gwałtownego. A jednak czułem z nią dziwne pokrewieństwo, nawet tożsamość. Tak, jakbyśmy byli dwiema częściami tego samego ducha; lub nawet - ona i ja - jednym i tym samym. Nie byłem w stanie tego zrozumieć.

- I co teraz? - zapytałem. - Powiedziałaś, że potrzebujesz pomocy. Jakiej?

- Wpuść mnie do środka.

- Co?!

- Ukryj mnie. W sobie. Jeżeli oni mnie znajdą, zlikwidują mnie. Sam powiedziałaś, że może być tak, że zostanę odszukana, zamknięta, zlikwidowana. To się nie zdarzy, jeśli mnie ochronisz.

- Jestem kapitanem - powiedziałem, zdumiony.

- Tak.

- Jak więc mogę...

- Wszyscy będą mnie szukać. Informatory, załoga. Przeraza ich świadomość, że jedna

z matrycy jest na wolności. Będą chcieli mnie zniszczyć. Jeśli jednak mnie nie znajdą, zaczną powoli zapominać. Pomyślą, że uciekłam w Kosmos czy coś w tym rodzaju. A jeżeli będę ukryta w tobie, nikt nie będzie mógł mnie znaleźć.

- Odpowiadam za...

- Proszę - powiedziała. - Może mogłabym zwrócić się do kogoś innego. Ale czuję, że ty jesteś mi najbliższy. Proszę. Proszę.

- Najbliższy?

- Nie jesteś szczęśliwy. Nigdzie nie przynależysz. Ani tu, ani nigdzie. Nie pasujesz, dokładnie tak, jak ja na Kansas Four. Poczułam to, kiedy po raz pierwszy dotknęłam twojego mózgu. Jesteś nowym kapitanem, czyż nie? A inni na pokładzie tylko ci utrudniają. Dlaczego masz się troszczyć o nich? Mnie uratuj. Mamy ze sobą więcej wspólnego niż ty z nimi.

Proszę... Po prostu nie możesz im pozwolić mnie zlikwidować. Jestem młoda. Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Wszystko, czego chcę, to dostać się do Cul-de-Sac i znaleźć się w ciele, które tam na mnie czeka. Zacząć nowe życie, wszystko po raz pierwszy. Pomożesz mi?

- Po co pytasz o zgodę? Możesz przecież włączyć się we mnie, kiedy tylko zechcesz.

- Tamten umarł? - odpowiedziała.

- Był w stanie przejściowym. Nie twoje wtargnięcie go zabiło, a zaskoczenie i przerażenie. Sam się zabił, miotając się wokoło i niszcząc pomieszczenie.

- Nawet jeżeli tak było - odparła Vox - to nie chciałabym jeszcze raz próbować w ten sposób, jak nieproszony gość. Musisz się zdecydować, czy wpuścisz mnie, czy mam odejść.

Milczałam.

- Pomożesz mi? - spytała jeszcze raz.

- Wejdz - odrzekłam.

Nie różniło się to od jakiegokolwiek innego połączenia: elektrochemiczna więź mózg-mózg, sprzężenie za pomocą gniazdka wszczepionego u nasady mojego kręgosłupa. Jedna z tych rzeczy, którą może zrobić dwoje ludzi chcących stworzyć łączność duchową. Była tylko jedna różnica - nie używaliśmy kontaktu. Ominęliśmy całą zawiłą procedurę sprawdzania szerokości pasm i różnic potencjałów oraz wybierania właściwego przetwornika. Vox mogła to wszystko zastąpić prostym dobraniem wytworzonych potencjałów. Poczulem nagle, ostre szarpnięcie - a potem była już ze mną.

- Oddychaj - prosiła. - Naprawdę głęboko oddychaj. Wypełnij płuca. Złóż ręce.

Dotknij policzków. Podrap się za lewym uchem. Proszę. Proszę. Tak długo niczego nie czułam.

Jej głos brzmiał tak samo, jak przedtem, równocześnie realny i nierzeczywisty. Był niematerialny, pozbawiony gęstości barwy, jak gdyby nie został wytworzony wibracją strun głosowych, poruszanych słupem powietrza. Był jednak czysty, pewny, w jakiś zasadniczy sposób materialny, prawdziwy głos pod każdym względem, z wyjątkiem tego, iż brak było wydającej go osoby. Wydawało mi się, że kiedy Vox była na zewnątrz, musiała przedłużać swoje pasma aż do mojego systemu nerwowego, aby go w jakiś sposób pobudzić. Teraz było to zbędne. Ciągłe jednak odbierałem jej głos tak, jakby powstawał na zewnątrz mnie, chociaż przecież rezydowała już we mnie.

Miała mnóstwo wymagań.

- Napij się wody - nalegała. - Zjedz coś. Czy możesz chrupnąć stawami palców? Zrób to, och, zrób to! Włóż ręce między kolana i ściśnij. Tyle rzeczy chciałam czuć! Czy masz tu muzykę? Możesz mi coś puścić? Coś głośnego, z prawdziwym czadem.

Robiłem wszystko, co chciała. Stopniowo stawała się spokojniejsza.

Ja sam byłem dziwnie spokojny. Nie uświadamiałem sobie jej obecności we mnie, nie czułem żadnego obcego ciśnienia w czaszce, mrowienia wzdłuż kręgosłupa. Jej strumień świadomości nie łączył się z moim. Wydawało się, że nie miała żadnego sposobu kontrolowania ruchów i reakcji mojego ciała. W tym zakresie nasz kontakt był mniej intymny, niż na ogół bywa zwykła ludzka łączność duchowa. Jak miałem się wkrótce dowiedzieć, był to jej wybór. Nie mogliśmy jednak pozostać w takim rozdzieleniu przez dłuższy czas.

- Czy teraz jest ci lepiej? - spytałem.

- Myślałam, że oszaleję, jeśli nie zacznę szybko znów czegoś odczuwać.

- Czy teraz wszystko czujesz?

- Tak, poprzez ciebie. Czegokolwiek dotykasz, ja też dotykam.

- Wiesz, że nie mogę cię długo ukrywać. Odbiorą mi komendę, jeśli mnie złapią na udzielaniu pomocy uciekinierowi. Albo gorzej.

- Nie będziesz musiał do mnie głośno mówić.

- Nie rozumiem.

- Po prostu wysyłaj myśli. Mamy teraz przecież ten sam system nerwowy.

- Możesz odczytywać moje myśli? - spytałem, ciągle głośno.

- Nie dosłownie. Nie jestem podłączona do ośrodków wyższych czynności mózgowych, lecz do nerwowych przewodów ruchowych, do całego systemu odbioru sygnałów. I chwytam sygnały preartykulacyjne. Wiesz, na czy to polega? Słyszę twoje myśli, jeśli ty tego chcesz. To jest tak, jak łączność duchowa. Czy miałeś kiedyś taką łączność?

- Od czasu do czasu.

- Więc wiesz. Musisz tylko otworzyć dla mnie swój kanał. Nie możesz przecież krążyć po statku, głośno mówiąc do kogoś niewidzialnego. Tylko wysyłaj. To nietrudne.

- Tak jak teraz? - spytałem wizualizując strumień informacji werbalnych, przechodzący przez kanały mojego mózgu.

- Widzisz, jakie to łatwe?

- Nawet i w ten sposób - powiedziałem - nie będziesz mogła długo ze mną zostać. Musisz to zrozumieć.

Roześmiała się. Był to bezgłośny, ale oczywisty śmiech.

- To zabrzmiało tak poważnie! Założę się, że jesteś wciąż zaskoczony, przede wszystkim tym, że pozwoliłeś mi wejść.

- Oczywiście, że jestem. Myślałaś, że cię wpuszczę?

- Pewnie, że tak. Od pierwszej chwili. Jesteś z gruntu dobry.

- Doprawdy?

- Naturalnie. Po prostu powinieneś sobie tylko na to pozwolić - znów ten bezgłośny śmiech. - Nawet nie wiem, jak masz na imię. Jestem w środku twojej głowy i nie znam twojego imienia.

- Adam.

- To ładne imię. Czy to imię ziemskie?

- Tak, stare, ziemskie imię. Bardzo stare.

- I pochodzisz z Ziemi?

- Nie. Chyba że w tym sensie, w jakim wszyscy pochodzimy z Ziemi.

- Więc skąd?

- Wolałbym o tym nie mówić - odparłem. Zastanowiła się.

- Tak bardzo zniechędziłeś miejsce, gdzie dorastałeś?

- Proszę cię, Vox...

- Oczywiście, zniechędziłeś. Tak, jak ja zniechędziłam Kansas Four. Jesteśmy z

jednej gliny, ty i ja. Jesteśmy jednym i tym samym. Ty jesteś przezorny, a ja impulsywna, ale poza tym jesteśmy tą samą osobą. Dlatego tak dobrze się rozumiemy. Cieszę się, że jestem z tobą, Adamie. Nie chcesz już, żebym odeszła, prawda? Należymy teraz do siebie. Pozwolisz mi zostać, dopóki nie osiągniemy Cul-de-Sac. Wiem, że pozwolisz.

- Może tak, a może nie. - Nie byłem wcale pewien.

- Och, na pewno, na pewno, Adamie. Znam cię lepiej, niż ty sam siebie.

I tak się zaczęło. Przebywałem w jakiejś nowej rzeczywistości, na zewnątrz utrwalonego poczucia samego siebie, tak daleki od zwykłego dla mnie zachowania, że nawet nie byłem zdziwiony tym, co robię. Przyjąłem ją do siebie, to wszystko. Kogoś obcego do wnętrza własnej czaszki. Zwróciła się do mnie o pomoc i nie odrzuciłem jej prośby.

Wyglądało na to, że jej lekkomyślność była zaraźliwa. I chociaż nie miałem zamiaru udzielać Vox schronienia dłużej, niż to było absolutnie konieczne, już wiedziałem, że nie uczynię żadnego kroku w kierunku usunięcia jej, zanim nie będzie miała zapewnionego bezpieczeństwa.

Lecz jak miałem ją ukryć?

Mogła być niewidzialna, nie była wszakże nie-wykrywalna. I wszyscy na statku będą jej szukać.

Na pokładzie żyło szesnastu ludzi i każdy z nich tak bardzo obawiał się zagubionej matrycy, jak gdyby była wampirem. Będą jej szukać dopóty, dopóki będzie pozostawała na wolności. I to nie tylko załoga. Informatory również uruchomią swoje urządzenia kontrolne; nie ze strachu, ale z prostej konieczności: nie miały się czego obawiać z jej strony, ale będą chciały, żeby list przewozowy cargo bilansował się, gdy osiągniemy miejsce przeznaczenia.

Po pierwsze, nie ufała mi załoga. Byłem zbyt młody, nowy, zielony, zbyt łagodny.

Byłem akurat takim typem, który mógłby zawinić, udzielając schronienia zbiegowi.

Prawdopodobnie jej obecność we mnie mogłaby się okazać oczywista dla innych, choć nie była oczywista dla mnie. Co do informatorów, miały one dostęp do wszystkich danych jako do elementu swych działań rutynowych. Może nawet były w stanie mierzyć minimalne zmiany psychologiczne, różnice w przebiegu reakcji, natężeń obiegu elektrycznego czy cokolwiek innego, co mogłoby naprowadzić je na ślad prawdy. Skąd mógłbym to wiedzieć?

Musiałbym pełnić ciągłą straż, chroniąc tajemnego gościa mojej świadomości przed wykryciem.

Czas pierwszej próby nadszedł w mniej niż godzinę od chwili, gdy Vox wniknęła we mnie. Włączyło się światło i usłyszałem odległą muzykę będącego na służbie informatora. Był nim Jason 612, pracujący na ostatniej wachcie. Jego aura była złotawa, a muzyka głęboka i pulsująca. Jasony wydawały się bardziej szorstkie i mniej protekcyjne niż seria Henry i w zasadzie wolałem je od tych ostatnich. Ale teraz było okropne ujrzeć to światło, słyszeć tę muzykę, wiedzieć, że informator statku chce ze mną rozmawiać. Cofnąłem się w pełnym zażenowania napięciu jak ktoś chcący uniknąć zetknięcia się z kimś twarzą w twarz. Oczywiście informator nie miał twarzy. Był jedynie głosem przemawiającym do mnie z siatki głośnika i sieczką magnetycznych impulsów gdzieś na kontrolnym poziomie statku. Tak czy owak, odbierałem teraz Jasona 612 jako wielkie jarzące się oko, wpatrujące się przeze mnie w ukrytą Vox.

- O co chodzi? - spytałem.

- Streszczenie raportu, kapitanie. Zmarły pasażer i zaginiona matryca.

Głęboko wewnątrz poczułem szybki ruch, a skóra na ramionach i barkach poczęła palić, jakby odpowiedzialne za uczucie strachu hormony przepłynęły przez moje żyły nagłą falą. Wiedziałem, że to gwałtowna reakcja Vox, otwierająca zawory mojego systemu hormonalnego. Przeraziłem się. Jak mógłby Jason 612 nie zauważyć tej nagłej reakcji mojego organizmu?

- Co dalej? - zwróciłem się do niego tak chłodno, jak tylko mogłem.

Jednakże zauważyć to jedno, zinterpretować zaś dane to drugie. Zaburzenia ludzkiego systemu wydzielania wewnętrznego mogą mieć najrozmaitsze przyczyny. Dla mojego nieczystego sumienia wszystko było widowym przejawem winy. Jason 612 jednak nie dał po

sobie poznać, że cokolwiek podejrzewa.

- Zmarły pasażer nazywa się Hans Eger Olafssen, 54 lata, pochodzi z...

- Daj spokój z tymi danymi. Możesz przekazać mi wydruk.

- Zaginiona matryca - ciągnął niewzruszenie Jason 612 - Leeleaine Eliani, 17 lat, pochodzi z Kansas Four, miejsce przeznaczenia Cul-de-Sac w Archipelagu Vainglory, list przewozowy nr D- 14871532 datowany dnia 27. miesiąca...

- To też w wydruku - przeciąłem. - Chcę tylko wiedzieć, gdzie ona jest teraz.

- Ta informacja nie jest dostępna.

- To nie jest żadna odpowiedź, Jasonie 612.

- W tej chwili nie mogę udzielić lepszej, kapitanie. Obwody przeszukujące zostały uruchomione i pozostają w trybie nieustannego poszukiwania.

- I?

- Nie mamy danych o obecnym miejscu pobytu zaginionej matrycy.

Vox natychmiast zareagowała na beznamiętne i spokojne stwierdzenie informatora.

Reakcja hormonalna zmieniła się ze spowodowanej strachem na pełną ulgi. Moja rozpalona skóra zaczęła natychmiast się ochładzać. Czy Jason 612 zauważy ten fakt, na podstawie tak nikłej poszlaki złoży reakcje mojego organizmu w oczywistą sekwencję i odkryje przestępcze naruszenie przepisów?

- Nie rozluźniaj się zbyt szybko - zwróciłem się bezdźwięcznie do Vox. - To może być jakaś pułapka.

- Jakie więc masz dane? - odezwałem się do Jasona 612.

- Znane są dwa fakty: czas, w którym matryca Eliani osiągnęła niezależność od obwodu magazynowego, oraz czas jej prawdopodobnego usiłowania wtargnięcia do systemu nerwowego Olafssena, pasażera w stanie przejściowym. Innych danych brak.

- Prawdopodobnego usiłowania? - zdziwiłem się.

- Brak dowodów, kapitanie.

- A konwulsje Olafssena? Zdemolowanie pomieszczenia magazynowego?

- Wiemy, że Olafssen zareagował na impuls elektryczny, kapitanie. Źródło tego impulsu jest obecnie niemożliwe do odkrycia, chociaż można założyć, iż pochodził on z zaginionej matrycy Eliani; sprawy te będą podlegać dalszym badaniom. Nie jestem odpowiedzialny za ustalenie ostatecznych związków przyczynowych.

Brzmi jak prawdziwy informator serii Jason, pomyślałem.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie masz żadnego skutecznego sposobu wytropienia ruchów matrycy Eliani? - spytałem.

- Mamy tu do czynienia z niezwykle małą opornością pozorną, kapitanie. W zwykłym trybie funkcjonowania statku bardzo trudno odróżnić impulsy matrycy od zwykłych fal i drgań występujących w ogólnym systemie elektrycznym.

- Myślisz, że mogłyby one powtórnie wprowadzić coś tak dużego, jak wartość matrycy do własnego obwodu magazynowego i potem wykazać ją w systemie monitorowym?

- To bardzo prawdopodobne, kapitanie.

- Czy istnieje jakiś powód, by sądzić, że matryca Eliani jest w ogóle na statku?

- Nie ma powodu przypuszczać, że tak nie jest, kapitanie.

- Innymi słowy, nic nie wiesz o matrycy Eliani.

- Dostarczyłem panu wszelkich obecnie dostępnych danych. Poszukiwania są kontynuowane, kapitanie.

- Czy myślisz, że to pułapka? - spytała Vox.

- To wszystko brzmi z minuty na minutę lepiej. Bądź cicho i nie rozpraszaaj mnie, dobrze?

Z kolei zwróciłem się do informatora.

- W porządku, informuj mnie o sytuacji. Teraz mam zamiar się przespać. Podaj mi raport stanu zakończenia dnia, a potem wynoś się i zostaw mnie samego.

- Bardzo dobrze, kapitanie. Piąty wirtualny dzień podróży. Pozycja statku: szesnaście jednostek za ostatnim portem, Kansas Four. Planowany kontakt ze stacją przekaźnikową pędu na Ultima Thule został nawiązany o godzinie...

Informator mówił monotonię: zwykły raport zwykłego przebiegu dnia, zakłócony jedynie informacją o utracie pasażera i drugą - o ucieczce matrycy; powrócił do danych standardowych: poziom paliwa, sondowanie szybkości, i tak dalej. Przez pierwsze cztery noce podróży ucziwie próbowałem przyswoić sobie cały ten potok zrytualizowanego załadowywania dziennika pokładowego, ponieważ moja kapitańska funkcja zależała od włączenia danych do pamięci. Tego wieczoru słuchałem jednak nieuważnie i o mało nie zapomniałem udzielić koniecznego zezwolenia na włączenie zegara informatora na noc. Vox musiała mnie szturchnąć, bym zauważył, że informator na coś czeka. Dałem Jasonowi 612 potwierdzenie odłączenia i z ulgą słuchałem zanikającej muzyki informatora, gdy ten się oddalał.

- Co o tym myślisz? - spytała Vox. - Chyba nic nie wie?

- Jeszcze nie.

- Jesteś pesymistą.

- Myślę, że jakoś nam się uda - odpowiedziałem - ale jeśli staniemy się zbyt pewni siebie, to będzie nasz koniec. Wszyscy na statku chcą wiedzieć, gdzie jesteś. Najmniejszy błąd - i po nas.

- Okay. Nie ucz mnie.

- Próbuję tego nie robić. Teraz się trochę prześpimy.

- Nie chce mi się spać.

- Ale mnie się chce.

- Czy możemy przedtem trochę porozmawiać?

- Jutro - odpowiedziałem.

Ale oczywiście sen nie nadciągał. Byłem zbyt świadomy obecności we mnie kogoś obcego, kto teraz prawdopodobnie grasował w najbardziej ukrytych sferach mojej psychiki lub czekał, aby wejść w sny, kiedy w nie odpłynę. Po raz pierwszy pomyślałem, że czuję jej obecność nawet wtedy, gdy milczy: gorący węzeł tożsamości, uciskający ściany mózgu. Może mi się zresztą tak tylko zdawało. Leżałem usztywniony i spięty, tak jak zwykle. Po pewnym czasie byłem zmuszony wezwać Jasona 612 i poprosić go, by mnie podłączył do obwodu usypiającego; ale nawet wówczas mój sen był niespokojny.

Do tej pory prawie wszystkie posiłki spożywałem w mojej kabinie. Wydawało mi się, że to podnosi mój autorytet. Nieobecnością w jadalni stwarzałem wrażenie surowego i pełnego rezerwy kapitana; unikałem przy tym zakłopotania, które wynikało z pełnienia funkcji dowódcy wśród ludzi w tak wielu sprawach bardziej ode mnie doświadczonych. Nie stanowiło to wielkiego poświęcenia z mojej strony. Pomieszczenie przeze mnie zajmowane było bardziej komfortowe, jedzenie to samo, co dla wszystkich, serwosteward, który je dostarczał - milczący i sprawny. Nikt nie komentował mojej izolacji. Zawsze było we mnie coś z samotnika, podobnie jak w większości ludzi Służby.

Ale kiedy obudziłem się następnego ranka, po tej nie kończącej się nocy, udałem się na śniadanie do wspólnej jadalni.

Nie była to żadna świadoma zmiana dotychczasowej polityki czy decyzja wynikająca ze starannych przemyśleń. To w ogóle nie była żadna decyzja. Vox też niczego nie zasugerowała, choć jestem pewien, że była inspiratorką tej odmiany. Było to działanie zupełnie automatyczne. Wstałem, wziąłem prysznic i ubrałem się. Przyznaję, że zapomniałem o wszystkich wydarzeniach ostatniego wieczoru. Vox zachowywała się we mnie spokojnie. Przypomniałem sobie o jej istnieniu dopiero wtedy, gdy poczułem na sobie przyjemne ciepło ultradźwiękowych wibracji prysznicza: niepokojące wrażenie bycia równocześnie w dwóch różnych miejscach i zaraz potem dziwny wstyd, spowodowany moją nagością. Oba te uczucia szybko minęły. Ale jednocześnie pozostawiły w mojej świadomości nową jakość - którą zresztą zdołałem stłumić po kilku minutach - że już nie rezyduję sam we własnym ciele.

Vox nie odzywała się - i ja również milczałem. Po zdumiewającym sojuszu zawartym poprzedniego dnia chciałem się jakby ukryć w milczeniu, w niemyśleniu, w świadomości automatu. Wreszcie pojawiła się potrzeba zjedzenia śniadania i wezwałem skuter, aby zawiózł

mnie do jadalni. Kiedy wyszedłem z pokoju, ku swemu zdziwieniu spotkałem serwestewarda, właśnie nadchodzącego z tacą. Prawdopodobnie on również poczuł się zaskoczony, gdy zobaczył mnie wychodzącego, chociaż oczywiście jego metalowa twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Będę dziś jadł śniadanie w jadalni - zwróciłem się do niego.

- Bardzo dobrze, kapitanie.

Nadjechał skuter. Wspiąłem się na siedzenie i pojazd na powietrznej poduszce natychmiast skierował się ku jadalni.

Jadalnia na Mieczu Oriona jest wspaniałym pomieszczeniem na Pokładzie

Załogowym od strony Oka, z jedną szklaną ścianą, umożliwiającą widok na światła niebios.

Kaprysta projektanta sprawił, iż ścianę tę stanowiła podłoga, tak więc gwiazdy i ich spiralnie

skręcone światy dryfowały pod stopami. Pozostałe ściany wykonane były z jakiegoś

błyszczącego metalu, pokrytego złotymi warkoczami; wszystko to lśniło odbitym światłem

mijających nas gwiazdnych rojów. Środek pomieszczenia zajmował stół z czarnego kamienia,

z miejscami przyporzędowanymi każdemu z siedemnastu członków załogi. Jest to okazałe,

choć cokolwiek śmieszne miejsce, dobitne przypomnienie bogactwa i siły Służby.

Kiedy wszedłem, siedziało już tam trzech moich współtowarzyszy. Był Pedregal,

odpowiedzialny za cargo, zamknięty w sobie, posępny mężczyzna, którego wielka kopuła

głowy zdawała się wyrastać bezpośrednio z ramion. Był również nawigator Fresco, smukły i

nieuchwytny, gibka, ciemnoskóra osobistość o zagadkowej płci, zmieniającej się - jak mi

mówiono - z podróży na podróż z męskiej na żeńską i odwrotnie, zgodnie z jakimś jemu

właściwym rytmem. Trzecią osobą był Raebuck, łącznościowiec, starszy człowiek, którego

płaskie, chłodne spojrzenie mogło wyrażać zarówno znudzenie, jak i groźbę, nigdy nie

wiedziałem, które z nich.

- O - zauważył chłodno Pedregal - kapitan zaszczyca nas jedną ze swych rzadkich wizyt.

Wszyscy trzej patrzyli na mnie z ową badawczą intensywnością, która - jak się później przekonałem - stać się miała nieodłączną częścią mojego życia na statku: ciągła nieufność towarzysząca każdemu nowo przybyłemu do Służby, nieskończone testowanie kandydata na kapitana, na to najłatwiejsze do utracenia stanowisko. Nieufność do mnie miała szerokość parseka i wiedziałem, że dostrzegli to natychmiast. Byłem zdecydowany przeciwstawić ich spojrzeniom moje, ich podejrzliwości moją, ich sprawdzianowi własny.

- Dzień dobry panom - powiedziałem, po czym, obrzucając Fresco spojrzeniem, dodałem: - Dzień dobry, Fresco.

Zająłem miejsce u szczytu stołu i zadzwoniłem na obsługę.

Począłem sobie zdawać sprawę, dlaczego tego ranka wyszedłem z kabiny. Po części był to przejaw obecności we mnie Vox, nowy pierwiastek brawury i impulsywności, które wraz z jej przybyciem stały się i moimi cechami. Głównie jednak - jak to teraz widzę - był to mój własny fortel, który wykłuł się na niedostępnym i ukrytym poziomie mojej podwójnej jaźni. Aby staranniej jeszcze ukryć Vox, musiałem podjąć działania ofensywne: zamiast chować się w kabynie, wywołując prawdopodobnie ryzykowne podejrzenia w umysłach współtowarzyszy, musiałem wystąpić przeciwko nim ostentacyjnie, niemal wyzywająco, udając, iż nic niezwykłego się nie stało, i zmuszając ich, by w to uwierzyli.

Tego typu agresywne zachowanie nie było zgodne z moim usposobieniem.

Niewykluczone, że miałem niejakie rezerwy, dostarczone przez Vox. Jeśli nie, obydwójce byliśmy zgubieni.

Pierwszy odezwał się Raebuck, nie zwracając się do nikogo określonego:

- Mam wrażenie, że wczorajsze wydarzenia wywołały w kapitanie potrzebę

towarzystwa.

Spojrzałem na niego zaczepnie.

- Mam towarzystwo, jakiego potrzebuję, Raebuck. Ale zgadzam się, że to, co się wczoraj wydarzyło, jest kłopotliwe.

- Paskudna sprawa - rzekł Pedregal, kręcąc ciężko głową - i dziwna: matryca, usiłująca wtargnąć do pasażera. To dla mnie coś całkowicie nowego. A oprócz tego strata pasażera. Fatalne. Całkiem fatalne.

- Utrata pasażera czasami się zdarza - powiedział Raebuck.

- Dawno temu wydarzyło się coś takiego na moim statku - przyłączył się Pedregal. -

Straciliśmy na Cesarzu Callisto całą grupę? - Weszliśmy w wibracje Supernowej i informator wpadł w drganie. W jakiś sposób walnął w ładunek soli aluminiowych w przewodach żywnościowych i zabił piętnastu czy szesnastu pasażerów. Widziałem ciała przed wrzuceniem do konwertora. Były kompletnie nie do użytku.

- Rzeczywiście - rzekł Raebuck - słyszałem o tym. A potem była Królowa Astarte, parę lat później. Czeliczew, mała zielonooka Rosjanka ze światów Trojki była jej kapitanem. Przeprowadzali rutynową inwentaryzację, kiedy dwie cytry zostały przestawione, co spowodowało impuls fałszywego sygnału dostarczenia. Chyba było sześciu zabitych, przedwcześnie zdekantowanych, zatrutych powietrzem. Czeliczew przyjęła to źle, doprawdy źle. Kapitan zawsze jakoś tak reaguje.

- A potem Hekuba - powiedział Pedregal. - Dzięki Bogu, nie mój statek. Był na nim kapitan, który wpadł w amok, wydawało mu się, że na statku jest spokojnie, chciał, żeby pasażerowie zaczęli się kręcić po pokładzie i zaczął ich budzić...

Raebuck drgnął, zaskoczony.

- Słyszałeś o tym? Myślałem, że to zostało wyciszone.

- Wieści się rozchodzą. - Pedregal uśmiechnął się sztucznie. - Kapitan nazywał się

Catania-Szu, jak mi się wydaje, facet ze Śródziemnomorza, ciągle w gotowości, jak to oni zwykle. Pracowałem wtedy na Valparaiso, podróżowaliśmy z Mendax Ninę do Scyllii, Charybdy i okolic, i kiedy zatrzymaliśmy się, by wyładować część cargo w układzie Seneki, usłyszałem całą tę historię od pewnego urzędnika ze statku...

- Byłeś wtedy na Valparaisol - spytał Fresco. - Czy to na tym statku była również wolna matryca, dziesięć czy jedenaście lat temu? Prawdziwy pochłaniacz dusz, jak podawał raport...

- To było później. - Pedregal machnął od niechcienia ręką. - Ale słyszałem o tym. O wszystkim się słyszy podczas wyładunku cargo. Ten pochłaniacz dusz, jak mówisz, przypomina mi...

I wdał się w jakąś straszliwą historię dziejącą się w stacji pędu w odległym kwadrancie Galaktyki. Ale mniej więcej w połowie tej opowieści przerwał ją Raebuck, wtrącając jakąś własną reminiscencję, a później Fresco, kipiąc z niecierpliwości, przerwał jemu z kolei, opowiadając o statku nawiedzonym równocześnie przez trzy uwolnione matryce. Nie miałem wątpliwości, że wszystko to zostało wyreżyserowane ku mojemu oświeceni, aby ukazać mi, jak poważnie takie sprawy były oceniane przez Służbę i jak kapitanowie statków, na których się wydarzyły, przechodzą do legendy, naznaczeni niezmywalnym piętnem. Ich wysiłki - jeśli w istocie do tego zmierzały - nie uczyniły tego. Vox, milcząca, napępiała mnie dziwną pewnością pozwalającą ignorować ponure implikacje tych historyjek.

Po prostu słuchałem, odgrywając moją rolę neofity zafascynowanego niesłychaną głębią doświadczeń z podróży kosmicznych, wynikających z ich opowieści.

- Ile czasu uwolnione matryce mogą przebywać na swobodzie? - odezwałem się w

końcu.

- Na ogół godzinę lub dwie - odpowiedział Raebuck. - Ponieważ błąkają się po statku, tracą równocześnie związek z obwodem elektrycznym. Śledzimy je i zamykając za nimi drogi dostępu, wyłapujemy w zamkniętych pomieszczeniach. Nie jest trudno zamknąć je później do butli.

- A jeśli podłączą się do któregoś z członków załogi?

- Wtedy nawet łatwiej je znaleźć.

- Czy kiedykolwiek zdarzył się przypadek, że uwolniona matryca podłączyła się do członka załogi i zdołała się w nim ukryć? - zapytałem bezczelnie.

- Nigdy - odpowiedział nowy głos. Należał do Roachera, który właśnie wszedł do jadalni. Stał w przeciwległym końcu długiego stołu, wpatrując się we mnie. Jego dziwne, fosforyzujące oczy szorstko i badawczo wpiły mi się w twarz. - Nie ma znaczenia, jak sprytna jest matryca, prędzej czy później jej gospodarz znajdzie jakiś sposób zawołania o pomoc.

- A jeśli gospodarz zaniecha wzywania pomocy? Roacher przyglądał mi się z wielką uwagą. Czyżbym był zbyt zuchwały? Czy poszedłem za daleko?

- Ależ to stanowiłoby naruszenie przepisów! - wykrzyknął tonem pozornego zdumienia. - To byłby akt przestępczy!

Poprosiła mnie, by ją wziąć na gwiazdny spacer i pokazać jej pełen widok Wielkiej Przestrzeni.

Nastąpiło to trzeciego dnia jej ukrywania się we mnie. Życie na pokładzie Miecza Oriona powróciło do normy czy też - mówiąc dokładniej - przybył jej nowy czynnik: stały element obecności na pokładzie nie wytropionej i najwyraźniej niemożliwej do zlokalizowania matrycy.

Vox sugerowała, że niektórzy szybko uwierzą, iż poszukiwana matryca musiała wyślizgnąć się w przestrzeń, jako że czujne informatory statku nie zdołały odnaleźć jej śladu. Byli jednak również i inni, którzy nie przestawali - dosłownie i w przenośni - patrzeć sobie na ramiona, jak gdyby się spodziewali, że uciekiniarka będzie usiłowała wcisnąć się bez ostrzeżenia w rdzeniowe gniazdka, dające dostęp do ich systemów nerwowych. Zachowywali się dokładnie tak, jak gdyby statek został nawiedzony przez duchy. W celu zjednania podejrzliwych zarządziłem całodobowy przegląd obwodów, który winien wykazać każdy zabłąkany prąd i przypadkowy przepływ. Każdy taki niepożądany przypadek był starannie badany i oczywiście żadne z tych badań nie doprowadziło do znaczących efektów. Teraz gdy Vox stanowiła część mojego mózgu, a nie część obwodów statku, była poza zasięgiem możliwości odkrycia.

Nie wiedziałem, czy ktoś podejrzewał prawdę. Być może Roacher zdawał sobie z niej sprawę; nie uczynił wszakże nic, aby mnie zadenuncjować, ani też nie poruszał ze mną tego tematu po owym śniadaniu. Mógł nie wiedzieć niczego; mógł wiedzieć wszystko i nie dbać o to; mógł wreszcie czekać z własnymi odkryciami na właściwy moment. Nie byłem w stanie tego stwierdzić.

Przyzwyczajalem się stopniowo do podwójnego życia i codziennej dwoistości. Vox

szybko zaczęła mi się wydawać częścią ciała jak ręka czy noga. Kiedy milczała - a często zdarzało mi się nie słyszeć jej godzinami - nie byłem bardziej świadomy jej obecności niż istnienia ręki czy nogi; pomimo to zdawałem sobie w jakiś sposób sprawę z jej obecności. Granice pomiędzy naszymi umysłami wciąż się zacierały. Uczyła się, jak mnie przenikać. Czasami wydawało mi się, że jesteśmy połączonymi lokatorami tego samego mieszkania raczej, niż ja - gospodarzem, a ona - gościem. Począłem traktować własny umysł jako coś niezbyt wyraźnie różniącego się od jej umysłu, jako zwykłą pajęczynę sił elektrycznych chwilowo istniejących w miękkiej, wilgotnej kuli, stanowiącej mózg kapitana Miecza Oriona. Wydawało się, że każde z nas może się na zewnątrz i wewnątrz niej swobodnie poruszać, na wzór widmowej matrycy.

Kiedy indziej było inaczej: zupełnie nie myślałem o jej obecności i wykonywałem swoje zadania tak, jak gdyby nic się we mnie nie zmieniło. Zaskakiwało mnie więc, kiedy Vox zwracała się do mnie z niespodziewaną uwagą czy szybkim pytaniem. Musiałem nauczyć się wystrzegać ujawniania reakcji, kiedy zdarzało mi się przebywać w towarzystwie innych członków załogi. I chociaż nikt nie mógł słyszeć naszych dialogów, wiedziałem, że będzie to koniec maskarady, jeśli ktokolwiek przyłapie mnie na niekontrolowanym fragmencie rozmowy z niewidzialnym partnerem.

Jak dalece Vox wniknęła do mojego umysłu, okazało się dla mnie oczywiste w momencie, kiedy poprosiła o gwiazdny spacer.

- Więc wiesz o takiej możliwości? - powiedziałem zaskoczony, bo spacer w przestrzeni jest prywatną przyjemnością międzygwiazdnej podróży i ja sam nie wiedziałem o jego istnieniu, póki nie zostałem przyjęty do Służby.

Vox wydawała się zaskoczona moim zdziwieniem. Lekko zauważyła, że nawet szczegóły tej rozrywki są powszechnie znane. Wyczułem jednak w jej głosie fałszywą nutę.

Czy istotnie szczury lądowe są tak detalicznie poinformowane o tej szczególnej przyjemności? Czy też może wyłapała coś na ten temat z tak dotychczas ukrywanych zakamarków mojej świadomości?

Wolałem nie pytać. Niepokoiłem się jednak możliwością zabrania jej ze sobą w

Wielką Pustkę znacznie bardziej, niż wtedy, gdy sam o tym marzyłem. Nie należała do nas.

Była związana z lądem; nie przechodziła szkolenia w Służbie.

Powiedziałem jej to.

- Weź mnie jednak ze sobą - odrzekła. - To jedyna moja szansa.

- Ale szkolenie...

- Nie potrzebuję szkolenia, jeśli ty je przechodziłeś.

- A jeśli to okaże się niewystarczające?

- Na pewno wystarczy - powiedziała z przekonaniem. - Wiem o tym, Adamie. Nie ma się czego obawiać. Byłeś przecież na treningu, czyż nie? A ja jestem z tobą.

Jechaliśmy razem tranzytowym skuterem z Oka do Pokładu Napędowego, gdzie spoczywała dusza statku, zagubiona w pulsujących snach odległych galaktyk, które jakby wciągały nas w nie kończącą się noc. Mijaliśmy strefy głębokiej ciemności i strefy zalane światłem, miejsca, w których obracające się spirale srebrzystego promieniowania wybuchały jak zorze; przebywaliśmy przejścia o tak szaleńczo skomplikowanej geometrii, że powodowały pierwotny paniczny strach u każdego, kto je przekraczał. Statek gwiazdny jest siedzibą tajemnic. Vox skuliła się, zmrożona przerażeniem, we własnej części naszego mózgu. Czułem przyływ jej strachu, kiedy tak przemierzaliśmy statek.

- Czy jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - spytałem.

- O, tak! - wykrzyknęła dziko. - Nie zatrzymuj się!

- Niewykluczone, że cię odkryją - ostrzegłem. - Niewykluczone, że nie - odparła.

Opuszczaliśmy się dalej. Znajdowaliśmy się teraz

w królestwie trzech cyborgowych przetworników energii: Gabriela, Banąua i Fleece'a.

Byli to trzej członkowie załogi, których nigdy nie widziałem przy wspólnych posiłkach w jadalni, ponieważ przebywali w ścianach Pokładu Napędowego, na stałe podłączeni do obwodu, bezustannie tłocząc własną energię do ogromnej paszczy statku. Wspomniałem już o popularnym w Służbie powiedzeniu, że kiedy się do niej przyłączyć, to oddaje się ciało i w zamian dostaje duszę. Dla większości z nas jest to jedynie figura retoryczna: tym, co porzucamy, na zawsze żegnając powierzchnię planet i rozpoczynając nowe życie na statkach, nie jest jako takie, lecz jego błaha potrzeby, uciążliwe wymagania, tak drogie dla ludzi planet. Niektórzy z nas wszakże są bardziej dosłowni w swojej rezygnacji. Powłoka cielesna jest dla nich jedynie zawadą; całkowicie ją z siebie zrzucają mniemając, że i bez niej będą mogli doświadczyć równie pełnego życia na statku. Akceptują przekształcenie się w rodzaj

napędu statku. Oni to właśnie są źródłem owej surowej energii, będącej tworzywem siły wiodącej nas przez Kosmos. Ich praca nie ma końca; zapłata jest rodzaj nieśmiertelności. Nie jest to wybór, którego ja mógłbym dokonać - ani, jak sądzę, wy. Dla nich jednak to szczęście. Nie może być co do tego żadnych wątpliwości.

- Tak szybko następny spacer, kapitanie? - zagadnął Banquo, ponieważ byłem tu już drugiego dnia podróży, nie tracąc czasu, by wykorzystać ten wielki przywilej Służby.

- Czy to coś złego?

- Nie, nic złego - odparł Banquo. - To tylko niezwykle.

- W porządku - rzuciłem. - To nie ma dla mnie znaczenia.

Banquo jest lśniącym metalicznie owoidem, dwukrotnie większym od ludzkiej głowy, zamocowanym w ścianie. Wnętrze owoidu zawiera matrycę, która dawno temu była Banquiem w świecie zwanym Światem Wschodzącego Słońca, gdzie noc jest nieznaną. Najwyraźniej złociste poranki i rozświetlone dni mu nie wystarczały. Wszystko, czym Banquo chciał zostać, to lśniący metalicznie owoid zamocowany w ścianie Pokładu Napędowego na Mieczu Orion.

Każdy z tych trzech cyborgów mógł zorganizować gwiazdny spacer. Ale Banquo zrobił to dla mnie poprzednim razem i wydawało mi się właściwie skorzystać z jego usług. Był z całej trójki najsympatyczniejszy. Odniosłem wrażenie, że jest uprzejmy i miły. Gabriel z kolei wydał mi się podczas mojej pierwszej wizyty surowy, obcy i niepojęty. Jest on wczesnym modelem, który przeżył na statkach jako cyborg trzy ludzkie życia i nie było w nim już nic ludzkiego. Fleece, znacznie młodszy, bystry i wykrętny, nie budził zaufania: na swój dziwaczny i nerwowy sposób mógł jakoś odkryć zbiega, który mi towarzyszył.

Musicie zdać sobie sprawę z faktu, że kiedy spacerujemy w Kosmosie, to nie opuszczamy statku dosłownie, choć tak nam się wydaje. Gdybyśmy się prawdziwie odłączyli,

w następnej sekundzie zostalibyśmy zdmuchnięci i na zawsze zagubieni w przepastnych głębiach niebios. Wychodzenie z naszego statku w żaden sposób nie przypomina wychodzenia ze zwykłego promu planetarnego, poruszającego się w normalnej przestrzeni. Ale nawet gdyby to było możliwe, nie miałyby żadnego sensu. Na zewnątrz nie ma niczego do oglądania. Statek zdąża przez głęboką i pustą ciemność.

Ale to, że nie ma niczego do oglądania, nie oznacza, że w ogóle niczego nie ma. Jest tam wszak cały Wszechświat. Gdybyśmy mogli go ujrzeć w czasie podróży przez tak szczególną przestrzeń, jaką są niebiosa, zobaczylibyśmy jego płaskość i krzywiznę, mielibyśmy więc tym samym złudzenie postrzegania równocześnie tych wszystkich daleko od siebie rozrzuconych galaktyk, wracających do początku Czasu. Tak wygląda Wielka Pustka, całość continuum. Nasze ekrany zewnętrzne ukazują ją w formie symulacyjnej, ponieważ od czasu do czasu potrzebujemy potwierdzenia, iż rzeczywiście się tam znajduje.

Statek gwiazdny porusza się wzdłuż linii potężnych sił, które krzyżują się w ogromnej pustce, podobnie do wyznaczonych kompasem linii, widniejących na starożytnej marynarskiej mapie. Kiedy spacerujemy, poruszamy się po tych liniach i jesteśmy przez nie przytrzymywani, mocno związani ze statkiem, na którego pokładzie przemierzamy niebiosa.

Mamy wrażenie wstępowania w przestrzeń, spoglądania w dół na statek, na gwiazdy, na cały świat Kosmosu. Stajemy się sami przez chwilę małymi gwiazdnymi statkami, lecącymi wzdłuż wielkiego - macierzystego. To magia; to złudzenie; ale jest to magia tak bardzo zbliżona do tego, co postrzegamy jako rzeczywistość, że właściwie nie ma sposobu zmierzyć różnicy, co w efekcie oznacza, że tej różnicy nie ma.

- Gotowa? - spytałem Vox.

- Całkowicie. Wciąż się wahałem.

- Jesteś pewna?

- Ruszaj - odrzekła niecierpliwie. - Zrób to wreszcie!

Wcisnąłem wtyczkę do własnego kręgosłupa. Banąo kontrolował oporność pozorną.

Gdyby miał odkryć mojego pasażera, to właśnie w tym momencie. Ale nie dał poznać, że coś jest nie w porządku. Dałem sygnał do startu; przez chwilę czułem nagle ciepło poniżej karku, ponieważ mój system nerwowy i podróżująca z nim matryca przemknęły przez Banąua i popędziły, by złączyć się z duszą statku.

Byliśmy teraz schwytni i pochłonięci przez ogromną siłę, jaką stanowi statek.

Ponieważ pochwyciły nas zwoje silnika, kręciliśmy się w kółko, miotani od wektora do wektora, bezlitośnie rozciągnięci, rozsadzeni przez niewyobrażalny strumień. A potem otoczyła nas jasność, jasność, która krzyczała z niebios potężnym głosem. Znajdowaliśmy się poza statkiem. Spacerowaliśmy wśród gwiazd.

- Och - powiedziała. Prawie niesłyszalny, delikatny okrzyk, przytłumiony bezdech zdumienia.

Płonąca jaskrawo pokrywa statku kładła się na mrokach nieba jak biały cień. Wielki stożek chłodnego, płomienistego blasku wystrzelał daleko przed nami, mierząc groźnie w firmament, za nami zaś sięgał poza granice naszego wzroku. Wysmukły i zwężający się zarys statku był w nim doskonale widoczny, dziesięciokilometrowa szpila i jej Oko, dające się ogarnąć jednym spojrzeniem.

Były tam też gwiazdy i cały świat Kosmosu.

Efektom gwiazdnego spaceru jest zanik poczucia wymiarów, które przenikają się wzajemnie. Beładnie rozrzucone przestrzenie kurczą się i mogą być dostępne ludzkiemu postrzeganiu. Nie ma tu żadnej logiki, żadnej liniowości sekwencji. W którymkolwiek kierunku byśmy spojrzeli, widzimy zakrzywiony Wszechświat, ukazujący się w całej okazałości w nieskończonej serii nieskończonych segmentów. Każdy wycinek gwiazd

zawiera wszystkie gwiazdy. Każdy przedział czasu zawiera w sobie czas, który minął, i czas, który ma nadejść. To co widzimy, wykracza całkowicie poza możliwość naszego pojmowania i takie dokładnie powinno być; dane jest nam bowiem - kiedy tak patrzymy przez Oko statku na nagie niebiosa - oglądanie Wszechświata okiem Boga. Ale nie jesteśmy bogami.

- Co właściwie widzimy? - szepnęła Vox.

Usiłowałem jej powiedzieć. Wy tłumaczyłem, jak może określić swoje położenie względne, tak by umiejscowić górę i dół, przód i tył, przepływ czasu i wydarzeń od początku do końca. Wskazałem dane współrzędne osi, według których określamy nasze położenie w tym szczególnie niepojętym obszarze. Wyszukałem znane gwiazdy i znane światy i wskazałem je.

Niczego nie rozumiała. Była całkowicie zagubiona.

Powiedziałem, że nie ma się czego wstydzić.

Powiedziałem, że byłem tak oszołomiony, kiedy przechodziłem trening w symulatorze. Każdy reaguje podobnie; i nawet gdyby spędził tysiąc lat na pokładzie gwiazdnego statku kursującego po trasach Kosmosu, może jedynie próbować ustalić przybliżone odpowiedniki tego, co ukazuje nam spacer wśród gwiazd. Osiągnięcie rzeczywistego zrozumienia wykracza poza możliwości nawet najlepszych z nas.

Czułem jej rozpaczliwe starania, by pojąć i przyswoić sobie to wszystko, co wyrastało, pędziło i wirowało przed nami. Jej umysł był pojętny, choć wciąż tylko w połowie uformowany, i wyczuwałem starania Vox, by wytworzyć w sobie własny system wyjaśnień i przypuszczeń, analogii i porównań. Ja już jej nie pomagałem. Było dla niej najlepiej, aby sama dała sobie z tym radę; poza tym nie byłem w stanie jej pomóc.

Musiałem poradzić sobie z własnym zdziwieniem i oszołomieniem; był to dopiero mój drugi gwiazdny spacer.

Jeszcze raz spojrzałem na miliardy światów krążących po orbitach. Łatwo było je dostrzec: małe jasne kule, obracające się w Wielkiej Pustce - światy czerwone, niebieskie, zielone, niektóre zwracające się ku mnie pełnym obliczem, inne ukazujące zaledwie zarysy swych półksiężyców. Jakże były wierne wyznaczonym trasom! Jakże przywiązane do macierzystych gwiazd!

Przypomniałem sobie poprzedni spacer, zaledwie kilka wirtualnych dni temu, kiedy odczuwałem takie dla nich współczucie, taki smutek i żal. Wiedziałem, że są na zawsze skazane na podążanie tymi drogami wokół tych samych gwiazd, na więź bez nadziei, bezsensownie powracającą na odwieczne szlaki. We własnym mniemaniu mogły być zagubionymi wędrowcami, mnie wszakże wydawały się żalonymi niewolnikami. Bolałem nad światami niebios; teraz jednak, ku memu zdumieniu, nie czułem żalu, jedynie rodzaj miłości. Nie było powodu, by je opłakiwać. Były, czym były i istniało jakieś nadrzędne prawo w ich stałych orbitach i posłusznym po nich krążeniu. Zadawały się tym. Gdyby choć na chwilę zostały uwolnione z tej więzi, we Wszechświecie powstałby niepowstrzymany chaos. Te obracające się światy stanowiły podstawę wszystkiego: wiedziały o tym i były z tego dumne; pozostawały lojalne względem swych zadań i musieliśmy je szanować za całkowite poświęcenie obowiązkom. Z szacunkiem zaś przychodzi miłość.

To musi być Vox przemawiająca we mnie, powiedziałem do siebie.

Nigdy przedtem nie miałem takich myśli. Kochać planety na ich orbitach? Cóż to za pojęcie? Może nie mniej dziwne niż wcześniejsze uczucie żalu za to, że nie są gwiazdowymi statkami; ale myśl ta powstała spontanicznie w głębi mojej własnej duszy i zawierała bliski mi sens. Pozwoliła mi teraz na całkowicie odmienne spojrzenie.

Kochałem światy poruszające się przed moimi oczami, a zarazem trwające w bezruchu w wielkiej nocy nieba.

Kochałem dziwną, uciekającą dziewczynę wewnątrz mnie, która dostrzegła te światy i pokochała je za ich bezruch.

Czułem, że bierze mnie teraz w posiadanie, niecierpliwie prowadząc w niebiosy. Teraz rozumiała; wiedziała, jak się to dokonało. I była znacznie odważniejsza niż ja kiedykolwiek. Razem przemierzaliśmy gwiazdy. Nie tylko spacerowaliśmy, ale i pogrążaliśmy się, pikowali, szybowali wśród nich jak bogowie. Ogarniała nas ich pulsująca jasność. Spokojne ruchy grzmiały w nas potężną muzyką. Zdażaliśmy wciąż przed siebie, ręka w rękę, Vox prowadząc, ja - dając się prowadzić głębiej i głębiej w lśniącą przepaść uniwersum. Wreszcie zatrzymaliśmy się, zawieszeni w Kosmosie, statku już nie dostrzegając. Tylko nas dwoje, otoczonych tarczami słońc.

W tej chwili moją duszę wypełniała oczyszczająca ekstaza. Poczulem, iż chwytam całą wieczność. Nie, to złe określenie, bo sugeruje, że byłem ogarnięty złudzeniem królewskiego majestatu, a tak nie było. To ja sam, uchwycony przez wieczność, objęty kochającym uściskiem całkowitego i doskonałego Kosmosu, w którym nic nie było i nie mogło być nie na miejscu.

To właśnie osiągamy wśród gwiazd. Poczucie przynależności, poczucie połączenia z boską doskonałością Wszechświata.

Gdy nadciąga, nie mówi się o jego rezultatach; zazwyczaj wszak powoduje głęboką wewnętrzną zmianę. Wróciłem z pierwszego spaceru wśród gwiazd nieświadom żadnej przemiany: ale w ciągu trzech dni impulsywnie otworzyłem się na przyjęcie wędrującego ducha, nie tylko naruszając przepisy, ale i naturę własnego charakteru. Zawsze byłem człowiekiem w wysokim stopniu zamkniętym w sobie. Nawet wtedy, gdy udzieliłem Vox schronienia, odczuwałem ulgę i wdzięczność, że nasze umysły pozostały oddzielnymi całościami w wspólnym mózgu.

Teraz zrobiłem wszystko, co mogłem, by przełamać dzielące nas bariery.

Jak dotąd nie wspomniałem jej wcale o moim poprzednim życiu. Reagowałem na jej sporadyczne pytania bojaźliwymi wykrętami, półprawdami, tępą odmową. Zawsze się tak odnosiłem do wszystkich, kultywując nawyk prywatności, niechęć do odkrywania się. Byłem może nawet bardziej skryty wobec Vox niż wobec innych przez niezwykle bliskość jej umysłu. I chociaż unikałem ujawniania przed nią własnego wnętrza, to jednak otworzyłem drogę, by mogła mnie całkowicie przyjąć, wchłonąć mnie do swej własnej żywej i niezdiscyplinowanej duszy.

Teraz z kolei ofiarowałem Vox moją przeszłość w radosnym odruchu. Rozpoczęliśmy powolną drogę powrotną z apokaliptycznego miejsca w centrum wszystkiego; unosząc się w Wielkiej Pustce, dryfując między ciemnością a wytwarzanym przez statek jaskrawym światłem, opowiedziałem jej o sobie wszystko to, co dotychczas starannie ukrywałem. Wydaje mi się, że były to drobne i zwykłe, choć dla mnie pełne zasadniczego znaczenia sprawy. Powiedziałem, jak się nazywała moja rodzinna planeta. Pozwoliłem Vox ujrzeć ją: ołowiane morze, niebo koloru dymu. Pokazałem z rzadka rozsiane i pokryte zaroślami szare połacie za naszym domem, gdzie uganiałem się godzinami, smukły i wysoki chłopak, przedzierający się niestrudzenie przez skrzypiące piaski, jakby goniły go demony. Ukazałem jej wszystko: posępne dziecko, udręczonego młodzieńca, rozważnego i przewrażliwionego młodego człowieka. Rówieśników, którzy na zawsze pozostali obcy, przyjaciół, których głosy przetrwały jedynie nieszczerymi echemi, kochanki, których miłość wydawała się bez treści i znaczenia. Powiedziałem jej o poczuciu, że żyję sam na świecie, że każdy z mojego otoczenia był sztucznym tworem, pełnym przekładni i drutów; że świat był jedynie płaskim, pozbawionym kolorów snem, w który zostałem w jakiś sposób pochwycony, a z którego jednak mogę się obudzić w prawdziwym świecie światła, koloru i bogactwa

kształtów; o tym, że może w ogóle nie jestem istotą ludzką, tylko zostałem porzucony w ludzkiej galaktyce przez stworzenia jakiegoś zupełnie odmiennego rodzaju, które powrócą po mnie któregoś odległego dnia w przyszłości.

Było mi lekko na sercu, kiedy to wszystko z siebie wyrzuciłem, a i ona lekko to przyjęła. Wiedziała, czym były te sprawy - nie objawami szaleństwa, ale jedynie niewesołymi fantazjami samotnego dziecka, poszukującego sensu w niegościnnym Wszechświecie, w którym czuło się obce i załęcznione.

- A jednak wyzwoliłeś się z tego wszystkiego - powiedziała. - Znalazłeś własne miejsce.

- Tak - odparłem. - Znalazłem.

I opowiedziałem jej o dniu, w którym dostrzegłem na niebie nagłe światło. Moją pierwszą myślą było, że to moi prawdziwi rodzice wrócili po mnie; drugą, że przemknęła jakaś kometa. Światło to pochodziło z gwiazdnego statku zmierzającego w kierunku naszego układu. I kiedy tak przez ciemności patrzyłem w górę owego odległego dnia, śledząc świetlne ślady promów, które leciały ku statkowi, unosząc na pokładzie ładunek i pasażerów zabieranych z naszego świata do nieznanych miejsc na przeciwległym krańcu galaktyki, zdałem sobie sprawę, że moim prawdziwym domem jest gwiazdny statek. Pomyślałem, że Służba jest moim przeznaczeniem.

Nadszedł wreszcie moment, mówiłem dalej, gdy pozostawiłem za sobą mój świat, moje imię i moje życie, by dołączyć do tych, którzy żeglują między gwiazdami. Wyznałem Vox, że jest to moja pierwsza podróż i że szczególnym obyczajem Służby jest wypróbowywanie wszystkich nowych oficerów przez powierzenie im dowodzenia. Zapytała, czy odnalazłem tu szczęście. Odpowiedziałem szybko: - Tak, odnalazłem. - I potem, po momencie wahania: - Nie, jeszcze nie, ale widzę przynajmniej możliwość.

Milczała przez pewien czas. Obserwowaliśmy obroty światów i gwiazdy jak wybuchające kolorami kolce, zmierzające ku odległym przeznaczeniom, i biały płomień statku, toczącego swe światło, jak gdyby była to krew jakiegoś obcego boga. Nagle pomyślałem o wszystkim, co ryzykuję, ukrywając ją w sobie. Natychmiast odsunąłem tę myśl. Nie był to czas ani miejsce na wątpliwości, strach czy obawy.

- Cieszę się, że opowiedziałeś mi o tym wszystkim, Adamie - odezwała się Vox.

- Ja też.

- Od samego początku wiedziałam, jakim jesteś człowiekiem. Chciałam jednak, byś powiedział mi to własnymi słowami, własnymi myślami. To tak, jakbym to ja mówiła. Ty i ja jesteśmy ludźmi tego samego rodzaju. Obydwoje byliśmy niedopasowani. Ty uciekłeś do Służby, ja - do nowego życia w czyimś ciele.

Zrozumiałem, że Vox nie mówiła o swoim ciele, ale o tym, które czekało na nią w Cul-de-Sac.

Zdałem sobie również sprawę z ważnej rzeczy, iż nigdy nie zostałaby częścią mnie, gdyby nie jakaś wada jej poprzedniego ciała, z której powodu się go pozbyła. Pomyślałem, że gdybym mógł lepiej ją poznać, to głębiej bym ją kochał, razem z jej wszystkimi niedoskonałościami. Bała się widocznie opowiedzieć mi o tym, a ja nigdy nie nalegałem.

Teraz, w chłodnym blasku niebios, znaleźliśmy się w miejscu całkowitej prawdy, całkowitego zespolenia dusz.

- Pozwól, żebym cię zobaczył - powiedziałem.

- Zobaczyć mnie? Jak mógłbyś...

- Pokaż mi swój obraz. Jesteś dla mnie zbyt abstrakcyjna. Vox. Głos Tylko głos.

Mówisz do mnie, żyjesz we mnie, a wciąż nie mam najmniejszego pojęcia, jak wyglądasz.

- Chcę, żeby tak właśnie pozostało.

- Nie ukazesz mi siebie?

- Nie mogę ci się ukazać. Jestem matrycą. Nie jestem niczym, prócz elektryczności.

- Wiem. Chodzi mi o twój poprzedni wygląd. Ten, który porzuciłaś na Kansas Four.

Nie odpowiedziała.

Pomyślałem, że się waha, nie może się zdecydować; minęła chwila, a ona wciąż się nie odzywała. Jej reakcją była milczenie, milczenie, które rozdzielało nas jak żelazna kurtyna.

- Vox? Cisza.

Gdzie się ukryła? Co powinienem zrobić?

- Co się stało? Czy chodzi o to, o co cię poprosiłem?

Brak odpowiedzi.

- W porządku, Vox. Zapomnij o tym. To wcale nie jest ważne. Nie musisz pokazywać mi niczego, jeśli nie chcesz.

Nic. Milczenie.

- Vox? Vox?

Światy i gwiazdy zawirowały przede mną w chaosie. Światło statku rozdzierało całe spektrum od początku do końca. W rosnącej panice zacząłem jej poszukiwać i nie mogłem odnaleźć jej obecności we mnie. Nic. Zupełnie nic.

- Wszystko w porządku? - zabrzmiał jakiś głos. To Banquo z wnętrza statku. -

Odbieram jakieś dziwne sygnały. Lepiej niech pan wraca. Już i tak jest pan tam wystarczająco długo.

Vox zniknęła. Odeszła. Przekroczyłem jakąś nieprzekraczalną granicę i wypłoszyłem ją.

Odrętwiały dałem Banquowi sygnał i ten wprowadził mnie z powrotem na statek.

Przez ciemności i tajemnice statku przemierzałem samotnie poziom po poziomie dążąc ku Oku. Łomot ciszy narastał wciąż jak huk ogromnej fali rozbijającej się na rozległym brzegu. Rozpaczliwie brakowało mi Vox. Nigdy przedtem nie zaznałem tak całkowitej samotności. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo przywiązany byłem do jej obecności, ani z tego, jaki skutek będzie miało jej odejście. Przez te kilka dni, kiedy chroniła się we mnie, stało się dla mnie w jakiś sposób oczywiste, iż jeden mózg może być siedzibą dwóch dusz i że taka sytuacja jest zwykłym stanem rodzaju ludzkiego, a pozostawanie w samotności w samotności we własnej czaszce - czymś wstydlwym.

Kiedy zbliżyłem się do miejsca, w którym Pokład Załogowy styka się z krzywizną

Oka, jakaś wysmukła postać wyłoniła się nagle z cienia.

- Kapitanie...

Myślałem wyłącznie o utracie Vox i głos zaskoczył mnie całkowicie. Odskokczyłem, przestraszony.

- Człowieku, na miłość boską!

- To tylko ja, Bułgar. Niech się pan nie lęka, kapitanie. To tylko Bułgar.

- Zostaw mnie! - powiedziałem i odsunąłem się szorstko.

- Nie, niech pan zaczeka. Proszę zaczekać, kapitanie.

Kiedy usiłowałem odejść, złapał mnie za ramię. Zatrzymałem się i odwróciłem ku niemu, drżąc z zaskoczenia i ze złości.

Bułgar, kumpel Roachera, był łagodnym, cichym człowieczkiem o szerokich ustach, oliwkowej skórze i wielkich, smutnych oczach. Obydwaj zaczęli żeglować w niebiosach grubo przed moim narodzeniem. Wzajemnie się uzupełniali: podczas gdy Roacher był mały i twardy jak owoc wysuszony przez setki lat na słońcu, Bułgar był również niski, ale delikatny,

pulchny i okrągły. Wyglądali razem jak kompletna i nierozbieralna całość. Mogłem ich sobie łatwo wyobrazić leżących w koi, podłączonych do siebie, jedna osoba w dwóch ciałach, związanych znacznie bardziej intymnie, niż byliśmy ja i Vox. Z wysiłkiem odzyskałem równowagę.

- O co chodzi, Bułgar? - spytałem krótko.

- Czy możemy przez chwilę porozmawiać, kapitanie?

- Właśnie rozmawiamy. Czego chcesz?

- Chodzi o tę matrycę, kapitanie.

Moja reakcja musiała być bardziej gwałtowna, niż się spodziewał. Jego oczy rozszerzyły się i cofnął się o dwa kroki.

Obliznął wargi i powiedział:

-

Zastanawialiśmy się, kapitanie... zastanawialiśmy się, jak przebiegają poszukiwania... czy ma pan jakiś pomysł, gdzie ona się może ukrywać...

- Jacy my, Bułgar? - zapytałem chłodno.

- Ludzie. Roacher. Ja. Kilku innych. Głównie Roacher, kapitanie.

- Ach, tak. Więc Roacher chciałby wiedzieć, gdzie jest matryca.

Mały mężczyzna przysunął się bliżej. Spojrzałem nań, kiedy tak przenikał mnie wzrokiem, jak gdyby poszukiwał Vox za maską mojej pozbawionej wyrazu twarzy. Czy wiedział? Czy oni wszyscy wiedzieli? Chciało mi się wykrzyczeć: Jej już tu nie ma, odeszła, opuściła mnie, uciekła w przestrzeń. Ale tym, co martwiło Roachera i jego towarzyszy, było najwyraźniej coś innego niż możliwość, że Vox znalazła schronienie we mnie.

Głos Bułgara był miękki, nalegający, zaniepokojony.

- Roacher bardzo się denerwuje, kapitanie. On już był na statkach z uwolnionymi

matrycami. Wie, jakie kłopoty mogą sprawiać. On się naprawdę niepokoi, kapitanie.

Musiałem to panu powiedzieć. Nigdy go nie widziałem w takim stanie.

- Myśli, że co mu matryca może zrobić?

- Obawia się, że zostanie zaanektowany - powiedział Bułgar.

- Zaanektowany?

- Matryca dostanie się do jego głowy przez gniazdko. Zmiesza się z jego mózgiem. To się zdarzało, kapitanie.

- A dlaczego miałyby to się przydarzyć akurat Roacherowi, akurat jemu spośród wszystkich ludzi na statku? Dlaczego nie tobie? Albo Pedregalowi? Rio de Rio? Czy znów jednemu z pasażerów? - Zaczerpnąłem oddechu. - Dlaczego w końcu nie mnie, na przykład?

- On tylko chciałby wiedzieć, jaka jest teraz sytuacja w związku z matrycą, kapitanie.

Czy pan zorientował się, gdzie ona może być. Czy pan jest w stanie ją złapać.

W oczach Bułgara było coś dziwnego. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest to znów jakaś próba. Twierdzenie o rzekomym przerożeniu Roachera, że może on zostać przeniknięty i opanowany przez wędrującą matrycę, mogło być po prostu określonym sposobem zorientowania się, czy to się mnie nie przytrafiło.

- Powiedz mu, że jej już nie ma - powiedziałem.

- Nie ma, kapitanie?

- Nie ma. Zniknęła. Nie przebywa już nigdzie na statku. Powiedz mu to, Bułgar. Może przestać się martwić, że wślizgnie się przez jego cenne gniazdko.

- O na?

- Tak, żeńska matryca. Ale to teraz nie ma znaczenia. Odeszła. Możesz mu to powiedzieć. Uciekła. Odleciała w niebiosa. Odwołuję stan pogotowia.

Spojrzałem na niego groźnie. Tęskniłem za pozbyciem się go, by samemu

pielęgnować mój nowy żal.

- Nie powinieneś wracać na stanowisko, Bułgar? Czy mi uwierzył? Czy też myślał, że skleciłem

jakieś przejrzyste kłamstwo, by usprawiedliwić bezradność, spowodowaną przedłużającą się nieobecnością matrycy? Nie mogłem tego wiedzieć.

Bułgar uklonił się służalczo i począł się wycofywać.

- Kapitanie - powiedział - dziękuję panu. Powiem mu to, kapitanie.

Zniknął w cieniu. Ruszyłem dalej.

Po drodze minąłem Katkata, chwilę później Raebucka. Popatrzyli na mnie w milczeniu. Spojrzenie Katkata było pełne wyrzutu, ale i oddania, lecz napotkawszy lodowaty i groźny wzrok Raebucka o mało się nie wzdrygnąłem. W odmienny sposób zdawali się mówić. Winien, winien, winien. Ale czego?

Poprzednio wydawało mi się, że każdy, kogo spotykałem na statku, mógł na pierwszy rzut oka poznać, że ukrywam zbiega, i tylko czekał, bym popełnił jakąś głupią pomyłkę.

Teraz wszystko było odwrotnie. Patrzyli na mnie, a ja mówiłem sobie, że myślą: Jest tu sam, całkowicie sam, nie ma przy sobie absolutnie nikogo i zamykałem się w sobie, zawstydzony własną samotnością. Zdawałem sobie sprawę, że znajduję się na skraju obłądzenia. Byłem zbyt zdenerwowany i przemęczony; może to była pomyłka udać się na drugi spacer wśród gwiazd tak szybko po pierwszym. Musiałem odpocząć, musiałem się gdzieś ukryć.

Zacząłem pragnąć, by na pokładzie Miecza Oriona był ktoś, z kim mógłbym o tym wszystkim porozmawiać. Ale kto? Roacher? Jason 612? Byłem tu całkowicie odizolowany.

Na całym statku mogłem rozmawiać jedynie z Vox. A ona właśnie odeszła.

W zaciszu kabiny podłączyłem się do psycho-analizatora i poddałem się dziesięciominutowemu oczyszczaniu. Pomogło. Złudne lęki i męcząca niepewność, które mną

zawładnęły, zaczęły znikać.

Włączyłem dziennik pokładowy i przejrzałem wykaz kapitańskich obowiązków, które miałem wykonać w ciągu reszty dnia. Zbliżaliśmy się do kolejnego punktu pędu, do jednego z tych węzłów sił grawitacyjnych, rozmieszczonych w równych odległościach w całym Kosmosie, które statek tranzytowy musi namierzyć, aby pozyskać napęd, pozwalający mu przebyć następny sektor Wszechświata. Łączność z punktem pędu jest nawiązywana automatycznie, ale - przynajmniej w teorii A odpowiedzialność za pomyślny przebieg tej operacji spoczywa na kapitanie. Powinienem wydać odpowiednie rozkazy i śledzić cały proces od jego rozpoczęcia do zakończenia.

Ciągle jeszcze miałem na to czas.

Skontaktowałem się z Henrym Henrym 49, który był informatorem na służbie, poprosiłem o nowe dane w sprawie matrycy.

- Bez zmian, kapitanie.

- Co to znaczy?

- Poszukiwania są kontynuowane według rozkazu, kapitanie. Nie wykryliśmy jednak miejsca pobytu zaginionej matrycy.

- Żadnych śladów? Ani cienia tropu?

- Całkowity brak danych, kapitanie. W zasadzie nie ma sposobu, by wyizolować minimalne elektromagnetyczne drgania uwolnionej matrycy od szumu tła całego układu energetycznego statku.

Wiedziałem, że tak jest. Jason 612 poinformował mnie o tym prawie takimi samymi słowami.

- Mam powody - odezwałem się - by sądzić, że matrycy nie ma już na statku.

- Doprawdy, kapitanie? - odparł Henry Henry 49 na swój zwykły, pełen rezerwy i

półdrwiący sposób.

- Istotnie. Po dokładnym zbadaniu sytuacji twierdzę, iż matryca opuściła statek dziś rano i nie będzie nas już więcej trapić.

- Czy mam to wprowadzić jako pozycję oficjalną, kapitanie?

- Wprowadź - poleciłem.

- Zrobione, kapitanie.

- A zatem możesz zlikwidować tryb przeszukiwania i zamknąć zbiór. Wprowadzamy debet jednej matrycy, a księgowi Służby później nad tym popracują.

- Bardzo dobrze, kapitanie.

- Odłącz się - poleciłem informatorowi. Henry Henry 49 ulotnił się. Usiadłem spokojnie

pośród wspaniałości mojej kabiny, powracając myślami do gwiazdnego spaceru i przeżywając na nowo poczucie harmonii, miłości i jedności z Kosmosem, jakie mnie ogarnęło, kiedy Vox i ja spoczywaliśmy na łonie Wielkiej Pustki. Znów zdałem sobie sprawę z dominującego uczucia straty jakie dręczyło mnie od kiedy Vox mnie opuściła. Za chwilę powinienem wstać, pójść do centrum dowodzenia i włączyć się w doglądanie przebiegu kontaktu z punktem obrotowym; pozostałem jednak jeszcze w kabinie bez ruchu, milczący, samotny.

- Nie odeszłam - dotarł do mnie nagle niespodziewanie, cichy głos.

Nadszedł jak cios w serce. Dopiero po chwili mogłem się odezwać.

- Vox? - powiedziałem w końcu. - Gdzie jesteś, Vox?

- Właśnie tu.

- Gdzie? - spytałem.

- W środku. Nigdy nie odeszłam.

- Nigdy...

- Zmartwiłeś mnie. Musiałam się na pewien czas Ukryć.

- Wiedziałaś, że usiłuję cię odszukać?

- Tak.

- Na policzki wystąpiły mi rumieńce. Wściekłość wezbrała w żyłach. Czułem, że płonę.

- Wiedziałaś, jak się czułem, kiedy ty... Kiedy wydawało mi się, że cię już nie ma.

- Wiedziałam - odparła po chwili jeszcze łagodniej.

Zmusiłem się do spokoju. Powiedziałem sobie, że nie jest mi nic winna, z wyjątkiem -

być może - wdzięczności za udzielone jej schronienie i że jeśli zadała mi ból odchodząc w milczeniu, to nie jest to jej sprawa. Uprzytomniłem sobie również, że ona przecież jest dzieckiem - nieopanowanym, niesfornym, niezdyscyplinowanym dzieckiem. Potem powiedziałem:

- Brakowało mi ciebie. Brakowało mi ciebie bardziej, niż mogę to wyrazić.

- Przykro mi - odparła niezbyt skruszonym tonem. - Musiałam na pewien czas odejść.

Zmartwiłeś mnie, Adamie.

- Pytając cię, jak przedtem wyglądałaś? - Tak.

- Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo cię to dotknęło.

- Nie musisz - odpowiedziała. - Teraz nie ma to dla mnie znaczenia. Możesz mnie

zobaczyć, jeśli naprawdę chcesz. Ciągle ci na tym zależy? Oto, jaka byłam. Jeśli ci się nie spodoba, to nie moja wina. Okay? Okay, Adamie? Oto ja. Spójrz - jestem.

Poczułem wewnątrz szarpnięcie, nagły skręt, bolesny nacisk, jakby odsuwanie ciężkiej przeszkody; a potem na ekranie mojej wyobraźni wykwitło wspaniałe, promiennie purpurowe niebo Kansas Four.

Ona nie tylko mi to pokazała, ale również zaprowadziła mnie tam. Czuję na twarzy delikatny, wilgotny wiatr, oddychałem łagodnym, lekko ostrym powietrzem, słyszałem figlarny szelest połyskliwych jak skóra palmowych liści, kołyszących się na jasnozielonych drzewach. Czarna ziemia pod nagimi stopami była ciepła i elastyczna.

I oto byłem Leelaine, która chciała, żeby nazywać ją Vox. Miałem siedemnaście lat i miały mną uczucia o sile huraganu.

Byłem nią od wewnątrz, a równocześnie widziałem ją od zewnątrz.

Miałem gęste, czarne włosy, opadające na ramiona swobodną falą loków, skrętów i splotów. Moje biodra były szerokie, piersi pełne i obfite; czułem ich bolesne ciężenie, prawie tak, jak gdyby były napęczniałe mlekiem. Moja twarz była napięta, czujna, posępna, promieniejąca złą inteligencją. Była to jednak twarz pociągająca. Vox była pociągającą dziewczyną.

Po jej uprzedniej odmowie ukazania się myślałem, że okaże się brzydka, czy też w jakiś sposób zdeformowana, wlokąca się w pospolitej, uciążliwej, ciężkiej łupinie ciała, będącej dla niej nieustannym wyrzutem. Opowiadała wszak o swoim życiu na Kansas Four, o życiu tak posępnym, smutnym i żalonym, że nie dostrzegała tam dla siebie żadnej nadziei. I oddała swe ciało, zamieniając je w zwykłą elektryczność, w zamian za obietnicę, że będzie miała nowe -jakikolwiek - kiedy znajdzie się w Cul-de-Sac. Znienawidziła własne ciało, mówiła. Nie mogłam dłużej czekać na uwolnienie się z niego. Odmówiła mi nawet zerknięcia na nie, wycofując się na tak długo w rozpaczliwe milczenie tak całkowite, iż byłem pewien,

że odeszła na zawsze.

Wszystko to teraz wydawało mi się wielce tajemnicze. Leeleaine, jaką ją teraz widziałem, którą byłem, jawiła się jako wspaniała, silna dziewczyna. Nie, nie była piękna, zdawała mi się zbyt silna i mocno zbudowana, ale przecież nie brzydka: jej oczy były ciepłe i inteligentne, wargi pełne, nos zgrabny. Miała również zdrowe ciało, krzepkie i pełne życia. Naturalnie żadnych deformacji; nie wiem dlaczego wyobrażałem sobie, że je ma, skoro za sprawą prostej chirurgii retrogenetycznej można było usunąć jakikolwiek defekt. Nie, nie, ciało, które Vox porzuciła i do którego odczuwała taki wstręt, było w porządku.

Uświadomiłem sobie nagle, że patrzę na nią od zewnątrz.

Postrzegałem ją jak gdyby pośrednio, filtrując i interpretując przekazywane od niej informacje przez umysł obiektywnego obserwatora - przez mój umysł. A ja nie rozumiałem niczego, doprawdy niczego, co nie byłoby mną samym.

W jakiś sposób - to jeden z tych automatycznych, nieświadomych odruchów - zmieniłem ogniskową mojej percepcji. Wszystkie uprzednie ograniczenia informacyjne zniknęły i całkowicie straciłem jakiekolwiek poczucie naszej odrębności.

Byłem teraz nią. W pełni, bezwarunkowo, nierozzerwalnie.

I wtedy zrozumiałem.

Postacie ukazujące się koło niej były niewyraźne, zaskakujące, szalone. Bracia, siostry, rodzice, przyjaciele: wszyscy oni byli dla niej obcy. Każdy na Kansas Four był dla niej obcy. Na zawsze.

Znienawidziła swoje ciało nie dlatego, że było słabe czy szpetne, ale dlatego, że stało się dla niej więzieniem. Była w nim zamknięta jak w ciasnych, kamiennych ścianach.

Ograniczało ją, cielesną klatką zniewalając i przyszpilając do wspaniałego i cudownego świata zwanego Kansas Four, w którym знаła jedynie ból, osamotnienie i obcość. Jej ciało -

to doskonałe, zdrowe ciało - stało się dla niej nienawistne, ponieważ było godłem i symbolem uwięzienia jej duszy. Dziko i nieuleczalnie niespokojna z powodu usposobienia, nie potrafiła odnaleźć sposobu życia w łatwo przewidywalnym świecie Kansas Four, na planecie, na której nigdy nie byłaby nikim innym, jak tylko wewnętrznym wyrzutkiem. Jedyным sposobem opuszczenia Kansas Four było opuszczenie ciała, które ją doń przywiązywało: dlatego zwróciła się przeciwko niemu z wściekłością i obrzydzeniem, odrzucając je, opuszczając, gardząc nim, nie mogąc go ścierpieć. Nikt, kto oglądał ją tylko od zewnątrz, nie był w stanie tego pojąć.

Ja jednak już rozumiałem.

Zrozumiałem nawet więcej w tym jedynym, oświecającym momencie naszej wspólnoty. Począłem pojmować, co miała na (myśli mówiąc, że jestem jej bliźniakiem, jej kopią, jej drugą jaźnią. Byliśmy naturalnie całkowicie Odmienni: ja, trzeźwo myślący, zrównoważony, pracowity i pilny mężczyzna i ona - lekkomyślna, zmienną, impulsywna i burzliwa dziewczyna. Ale w głębi Byliśmy tymi samymi ludźmi: nieprzystosowanymi, wyobcowanymi, udreńczonymi wędrowcami przez światy, których nawet sami nie stworzyliśmy. Znaleźliśmy całkowicie odmienne sposoby poradzenia sobie z naszym cierpieniem. A jednak stanowiliśmy jedno i to samo, dwie głowy jednej całości.

Pozostaniemy teraz na zawsze razem, powiedziałem sobie.

I w tej właśnie chwili nasza wspólnota pękła. To ona ją złamała, to musiała być ona, przestraszona możliwością nieopanowanego rozwoju tego nowego rodzaju intymności - i znów zostałem od niej odseparowany, goszcząc ją wciąż w mózgu ale oddzielony od niej granicami własnej indywidualności i osobowości. Czułem ją tuż obok, wewnątrz, ciepłą lecz odosobnioną obecność, wciąż we mnie, tak, ale znów oddzielną.

Na statku mieliśmy dużo pracy. Od wielu już dni obecność Vox była dla mnie nie lada rozterką. Nie odważyłem się jednak zapomnieć, że jesteśmy w samym środku kosmicznego trawersu. Życie nas wszystkich i naszych pasażerów zależało przecież od właściwego wykonywania obowiązków, nawet moich obowiązków. Światy zaś oczekiwały wiezionego przez nas ładunku. Moim obecnym zadaniem osiągnięcie pędu.

Poprosiłem Vox, by mnie opuściła na czas przeprowadzania procedury połączenia.

Przez pewien okres musiałem być podłączony do innych członków załogi; oni zaś mogli dostrzec jej we mnie obecność. Nie sposób było przewidzieć co się stanie. Ona jednak odmówiła

- Nie - powiedziała. - Nie chcę od ciebie odchodzić. Nie chcę tam przebywać. Ale ukryję się głęboko, gdzie schowałam się, kiedy mnie zdenerwowałeś.

- Vox - zacząłem.

- Nie. Proszę. Nie chcę o rym więcej mówić. Nie było czasu na sprzeczkę. Poza tym czułem głębię i moc jej determinacji.

- Więc się ukryj - powiedziałem - jeśli tego właśnie chcesz.

I rozpocząłem wędrówkę z Oka na Pokład Silnikowy.

Reszta zespołu połączeniowego zebrała się już w Głównej Sali Nawigacyjnej: Fresco, Raebuck, Roacher. Zadaniem Raebucka było zapewnienie drożności kanałów

komunikacyjnych, Fresca - ustalanie współrzędnych nawigacyjnych, Roachera zaś, jako mechanika pokładowego - monitorowanie przepływu w kanałach oraz cykl wejść-wyjść.

Moja rola polegała dostarczaniu sygnałów rozpoczęcia poszczególnych etapów połączenia. W rzeczywistości byłem zupełnie zbędny, jako że i Raebuck, i Fresco, i Roacher wykonywali te czynności wiele razy podczas swych licznych podróży i niezbyt potrzebowali mojego

kierownictwa.

Szczerze mówiąc, oni również byli zbędni, ponieważ Henry Henry 49 doglądał nas wszystkich i mógł przeprowadzić cały proces bez żadnej ludzkiej pomocy. Należało jednak przestrzegać formalności i nie było to takie głupie.

Informatory górują znacznie nad ludźmi pod względem możliwości intelektualnych, zdolności połączeniowych i czasu reakcji, ale i tak jedynie wykonują polecenia, są sztucznymi pomocnikami i jako takie nie posiadają rzeczywistej ludzkiej świadomości, delikatności i złożoności moralnej. Muszą być użyteczne jedynie jako narzędzia, nie mogą zaś podejmować żadnych decyzji. Społeczeństwo, które przesuwa odpowiedzialność za życie czy śmierć na własne sługi, może poczuć kiedyś ich dłonie na gardle. Dla mnie, nowicjusza, to co miałem wykonać, było również ważne: byłem centralnym ośrodkiem całego przedsięwzięcia, jego inicjatorem, kierownikiem i obserwatorem. Prawdopodobnie każdy mógł wykonywać te funkcje, ale pozostawało faktem, że k t o ś je wykonać musiał, a tradycyjnie już tym kimś był kapitan. Można to nazwać, jak się chce: rytuałem czy stylizowanym tańcem, ale nie sposób odejść od ludzkiej potrzeby rytuału i stylizacji. Te aspekty przeprowadzanych na statku manewrów mogą się wydawać nieistotne, ale są mimo to ważne i znaczące i w końcu można by się w nich dopatrzeć również i zasadniczego znaczenia.

- Czy mamy zaczynać? - spytał Fresco.

Dokonaliśmy połączenia: Roacher bezpośrednio do statku, Raebuck do Roachera, Fresco do mnie, ja do statku.

- Symulacja - poleciłem.

Reabuck uruchomił kod inicjujący i rozległa przestrzeń Głównej Sali Nawigacyjnej ożyła nagle pulsującymi światłami: stanowiły one obraz otaczającego nas nieba, linii sił, węzłów obrotowych, gwiazd, planet. Poruszaliśmy się bez przeszkód w swobodnym

spadaniu, dryfując przypadkowo jak aniołowie. Można łatwo uwierzyć, że znajdujemy się na gwiazdnej spacerze.

Obraz symulacyjny statku był jasno świece strzałą, położoną niżej i nieco w lewo od nas. Przed nami, pulsując jak gniazdo dwóch identycznych rozzłoszczonych węży, widniała kula punktu pędu *Lasciate Ognì Speranza*, ciasno skręcone matowo kable, poprzecinane włóknami płonącej purpury.

- Przystąpić do trybu podejścia - rozkazałem Uruchomić receptory. Rozpocząć porównywanie momentów. Przygotować się do kontroli przyspieszenia. Sprawdzić prędkość kątową. Rozpocząć łączenie spinów. Włączyć dobór przemieszczenia. Wysunąć maszt. Przygotować się do wykonania podejścia.

Po każdej komendzie jeden z trzech mężczyzn wciskał klawisz kontrolny lub panel operacyjny, czy też po prostu wysyłał impuls przez gniazda, którymi - bezpośrednio czy pośrednio - był połączony z mózgiem statku.

Z czystej dla mnie uprzejmości czekali na komendy, ale szybkość ich działań mówiła mi, że ich umysły pracowały już, kiedy je wydawałem.

- To jest fantastyczne, prawda? - nagle odezwała się Vox.

- Na Boga żywego, Vox! Co ty wyprawiasz?! Ponad wszelką wątpliwość inni słyszeli jej okrzyk

tak wyraźnie, jakby wydobywał się z głośnika.

- Mam na myśli - ciągnęła - że nigdy nie wyobrażałam sobie niczego takiego. Czuję cały...

Rzuciłem jej ostry, udręczony rozkaz, by zamilkła. Jej ujawnienie się, po moich ostrzeżeniach, było postępkim wprost obłąkanym. W ciszy, która później nastąpiła, czułem rodzaj wewnętrznego pogłosu, nadąsane mruknięcie dezaprobaty. Nie miałem jednak teraz

czasu, by przejmować się jej nastrojami.

Łukowaty wzór siły przemieszczenia przebiegł rykoszetem przez Główną Salę

Nawigacyjną, gdy nasz maszt wyprostował się; nie była to podpora dla żagli, jak na statkach kursujących przez planetarne morze, ale raczej gigantyczna antena, mająca nas połączyć z punktem pędu. Statek i punkt pędu spotkały się, chwytając się wzajemnie jak wieloramienni zapaśnicy. Gorący zygzak purpury, szmaragdu, złota i fioletu przebił powietrze wijąc się i koziółkując. Punkt pędu, uruchomiony teraz i dygocący pomiędzy różnymi stanami energii, obejmował nas swymi milionowymi mackami, wiążąc nas, gotowy do wirowania na swych osiach i ciśnienia nami błyskawicznie w kierunku następnej stacji w drodze przez Kosmos.

- Podejście - oznajmił Reabuck.

- Zezwalam na przystąpienie do ujęcia - odparłem.

- Jest zezwolenie.

- Tryb kierunkowy. Siatka wymiarowa jedenaście. Cała sala zdawała się płonąć.

- Wspaniale - wyszeptała Vox. - Tak pięknie...

- Vox!

- Żądanie upoważnienia do spinu - rzekł Fresco.

- Udzielam upoważnienia - odparłem. - Siatka jedenaście.

Falujące drzenie przebiegło przeze mnie - i przez Fresco, Raebucka, Roachera. To statek, uosobiony przez Henry'ego Henry'ego 49, kończył proces podejścia. Zostaliśmy przechwyceni przez Lasciate Ognie Speranza, doznaliśmy wchłonięcia szybkości i zmiany kierunku, przekazany nam został nowy spin i z nową siłą wypchnęło nas w niebiosy ku nadchodzącemu portowi przeznaczenia. Vox łkała we mnie; nie był to szloch rozpacz, lecz ekstazy i spełnienia.

Wszyscy rozłączyliśmy się. Reabuck, ten tak zwykle chłodny facet, wyprodukował

uśmiezek, z którym zwrócił się do mnie:

- Dobrze zrobione, kapitanie - powiedział.

- Tak - dorzucił Fresco. - Doskonale. Szybko się pan uczy.

Spostrzegłem Roachera, przyglądającego mi się badawczo swymi małymi, błyszczącymi oczami. Dalej, sukinsynu, pomyślałem. Ty też mnie teraz pochwal - jeżeli wiesz jak.

Ale on tylko się na mnie gapił. Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się. To, co Roacher mógłby pomyśleć czy powiedzieć, nie ma dla mnie żadnego znaczenia, stwierdziłem.

Gdy opuściliśmy Główną Salę Nawigacyjną, rozchodząc się w różnych kierunkach, spostrzegłem koło siebie Fresco. Bez słowa pomaszzerowaliśmy w kierunku czekających na nas skuterów. Kiedy już miałem wsiadać, zwrócił się - a może zwróciła - miękko:

- Kapitanie?

- O co chodzi, Fresco?

Podszedł bliżej. Łagodny, nieco przebiegły wzrok; poczułem serdeczność emanującą od nawigatora.

- Prowadzi pan bardzo niebezpieczną grę, kapitanie.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Owszem, wie pan - odrzekł. - Nie ma sensu udawać. Byliśmy tam razem połączeni.

Czułem to. Wiem.

Nie było nic do powiedzenia, więc milczałem.

- Lubię pana - rzekł po chwili Fresco. - Nie chcę panu szkodzić. Ale Roacher wie również. Nie mogę powiedzieć, czy wiedział przedtem, ale teraz wie na pewno. Gdybym się znajdował na pańskim miejscu, bardzo by to było dla mnie kłopotliwe. Mądrej głowie...

Rozumie pan?

Jedynie głupiec pozostałby ze mną na tej drodze, którą podążałem. Vox również dostrzegła ryzyko. Niczego już nie można było przed nikim ukryć; jeśli wiedział Roacher, to również Bułgar, a wkrótce dowiedzą się wszyscy. Nie było wątpliwości, że i Henry Henry 49 wiedział. W atmosferze bliskości naszych kontaktów w Sali Nawigacyjnej obecność Vox musiała być tak widoczna jak czerwona opaska na moim czole.

Nie było sensu zabierać ją ze sobą, aby odkryła swą obecność we mnie jak ostatnio, przy operacji połączenia. Co się stało, to się stało. Z początku trudno było zrozumieć, dlaczego coś takiego zrobiła; potem jednak wszystko stało się aż nazbyt oczywiste. Był to ten sam rodzaj nieprzewidywanego, niezbadanego, impulsywnego zachowania, jakie skłoniło ją do wpakowania się do mózgu pasażera w stanie przejściowym i spowodowania jego śmierci. Ona po prostu nie była kimś, kto zastanawia się, zanim coś zrobi. Takie jej postępowanie zawsze wprowadzało mnie w oszołomienie. Była zarówno moim dopełnieniem, jak i przeciwieństwem. A w końcu, czy i ja sam nie robiłem podobnych rzeczy, decydując się na ukrycie jej w sobie, kiedy prosiła o schronienie, bez chwili namysłu nad grożącymi konsekwencjami?

- Dokąd mam się teraz udać? - zapytała rozpaczliwie. - Jeżeli znów zacznę się swobodnie poruszać po statku, niechybnie mnie wyśledzą i zamkną. A potem zlikwidują. Oni...

- Tylko spokojnie - powiedziałem. - Bez paniki. Ukryję cię w takim miejscu, gdzie cię nigdy nie odnajdą.

- We wnętrzu jakiegoś pasażera?

- Nie możemy tego próbować powtórnie. Nie ma sposobu na przygotowanie na to pasażera i na pewno wpadłby w panikę. Nie. Umieszczę cię w jednym z aneksów lub

pomieszczeń wirtualnych.

- Wir... co?

- Dodatkowa przestrzeń załadunkowa. Podwymiarowe rozszerzenia otaczające statek.

Zupełnie ją zatkało.

- Przecież one nawet nie są rzeczywiste! Byłam tam, kiedy krążyłam po statku. To są po prostu wiązki fal prawdopodobieństwa!

- Będiesz tam bezpieczna - odparłam.

- Wątpię. Wystarczy, że ja sama nie jestem realna. A przechowanie w miejscu, które też jest nierealne...

- Jesteś tak samo rzeczywista, jak ja. A struktury zewnętrzne - tak samo realne, jak reszta statku. Po prostu inny rodzaj rzeczywistości, to wszystko. Nic złego tam ci się nie stanie. Sama mi dasz znać, kiedy tam się znajdziesz, dobrze? Wydostaniesz się stamtąd bez żadnych trudności. Nie będą w stanie tam cię wykryć. A jeszcze i to ci powiem, że jeśli pozostaniesz we mnie czy w którejkolwiek z głównych części statku, z pewnością wytropią cię, znajdą i zlikwidują. A razem z tobą prawdopodobnie zlikwidują i mnie.

- Mówisz poważnie? - spytała i zabrzmiało to ugodowo.

- Chodź, nie mamy zbyt dużo czasu.

Pod pretekstem rutynowej kontroli, która zresztą znajdowała się na liście moich obowiązków, uzyskałem dostęp do jednego z pomieszczeń wirtualnych. Był to magazyn, gdzie składowane były stabilizatory prawdopodobieństwa. Najprawdopodobniej nikt by jej tu nie poszukiwał. Szansę natknięcia się po drodze do Cul-de-Sac na strefy turbulencji prawdopodobieństwa były minimalne, a podczas normalnego przebiegu podróży nikt nie miał żadnych interesów w przemieszczeniach wirtualnych.

Kłamałem albo przynajmniej mówiłem pół prawdy, kiedy zapewniałem Vox, że

wszystkie nasze struktury zewnętrzne są na tym samym poziomie rzeczywistości.

Oczywiście, aneksy są namacalne i stałe; różnią się od właściwego samego statku jedynie spisem swej polaryzacji wymiarowej. Są niewidoczne z wyjątkiem sytuacji, w których zostają uruchomione, i nie wymagają dodatkowego wydatkowania paliwa, nie ma jednak wątpliwości co do ich realnego istnienia, a to umożliwia nam przewożenie w nich wartościowego ładunku, w szczególnych okazjach - nawet i pasażerów.

Pozszerzenia są o jeden poziom bardziej oddalone od rzeczywistości podstawowej.

Nie tylko różnią się w zakresie polaryzacji wymiarowej, ale i w dostępie czasowym, co oznacza, iż zabieramy je ze sobą w czasie przesuniętym względem rzeczywistego o jakieś dziesięć do dwudziestu lat wirtualnych w przód lub w tył. Ryzyko ich uszkodzenia jest minimalne, a oszczędności w ogólnych kosztach - ogromne. Bardziej jednak starannie dobierany jest rodzaj przewożonego w nich ładunku.

Co się zaś tyczy pomieszczeń wirtualnych...

Jak już sama ich nazwa wskazuje, są one nieokreślone. Są tworamami czystego prawdopodobieństwa, istniejącymi przez większość czasu jedynie w próżni stochastycznej otaczającej statek. Mówiąc prościej, to, czy one rzeczywiście są, czy też ich nie ma w danym przedziale czasowym, jest faktem, o który się warto założyć. Wiemy, jak uzyskać do nich dostęp podczas największego natężenia prawdopodobieństwa - a na naszych metodach technologicznych można całkowicie polegać - co pozwala na użytkowanie tych przestrzeni w celu składowania nadmiaru frachtu w sytuacjach, gdy ładunek jest cięższy niż zazwyczaj. Generalnie jednak wolimy nie umieszczać w tych pomieszczeniach towarów szczególnie ważnych, jako że zakres czasu dostępu do nich może się znacznie wahać, od mikrosekund do megalat, co sprawia, że ich szybkie uruchomienie staje się czasem kwestią ryzykowną. Zdając sobie z tego wszystkiego sprawę, umieściłem jednak Vox w pomieszczeniach

wirtualnych.

Musiałem ją ukryć i to ukryć w miejscu, do którego nikt nie zagląda. Ryzyko, że nie zdołam przywołać jej z powrotem ze względu na fluktuacje wirtualności, było niewielkie. Istniało jednak znacznie większe i bardziej rzeczywiste ryzyko, że gdybym jej pozwolił na pozostanie w tych częściach statku, które miały wyższy stopień prawdopodobieństwa, to mogłaby zostać odkryta i - razem ze mną - ukarana.

- Chcę, żebyś tu została, dopóki niebezpieczeństwo całkowicie nie minie - odezwałem się surowo. - Żadnych niespodziewanych wycieczek dookoła statku, żadnych wypraw w struktury zewnętrzne, w ogóle się nie poruszaj - bez względu na to, jak będziesz zmęczona. Jasne? Wezwę cię z powrotem, gdy tylko uznam, że to bezpieczne. 4i - Będzie mi cię brakowało, Adamie.

- Mnie cię też. Ale tak musi być. - Wiem.

- Gdybyś została wykryta, zaprzeczę, że cokolwiek o tobie wiem. Mówię serio, Vox.

- Rozumiem.

- Obiecuję, że nie będziesz tkwiła tu długo.

- Czy mnie odwiedzisz?

- To nie byłoby rozsądne - odparłem.

- Ale może jednak.

- Może. Nie wiem. - Otworzyłem kanał dostępu. Pomieszczenie wirtualne stało przed nami otworem.

- Ruszaj - powiedziałem. - Do środka. Idź teraz. Idź, Vox. Prędkiej.

Czułem jak mnie opuszcza. Przypominało to amputację. Milczenie i pustka, która nagle mnie ogarnęły, były dziesięciokrotnie większe niż wówczas, gdy skryła się głęboko we mnie. Teraz odeszła. Po raz pierwszy od wielu dni zostałem naprawdę sam.

Odciałem pomieszczenie wirtualne.

Gdy wróciłem do Oka, Roacher czekał na mnie przy mostku dowodzenia.

- Ma pan chwilkę, kapitanie?

- Co jest, Roacher?

- Brakująca matryca. Mam dowód, że wciąż jest na statku.

- Dowód?

- Wie pan, co mam na myśli. Czuł to pan tak samo jak ja, kiedy dokonywaliśmy podłączenia. Coś powiedziało. Przemówiło. Było z nami w samym środku sali nawigacyjnej, kapitanie.

Spokojnie wyszedłem na spotkanie jego lśniącego spojrzeniu.

- Całą uwagę - powiedziałem zrównoważonym głosem - skupiłem na tym, co robiliśmy, Roacher. Podłączanie do punktu pędu nie jest dla mnie czynnością tak rutynową, jak dla ciebie. Nie miałem czasu, żeby zauważyć jakiegokolwiek matryce.

- Nie zauważył pan?

- Nie. Czy to cię martwi?

- To by mogło oznaczać, że właśnie pan jest nosicielem matrycy - powiedział

Roacher.

- Jak to?

- Jeżeli znajduje się gdzieś w panu, na poziomie subnerwowym, może pan nawet nie zdawać sobie sprawy z jej istnienia. Natomiast my - owszem. Raebuck, Fresico, ja. Wszyscy coś wyczuliśmy, kapitanie. Jeśli to nie było w jednym z nas, musiało siedzieć w panu. Nie możemy mieć kapitana z krążącą w nim matrycą, rozumie pan. Nie da się nawet powiedzieć, jak bardzo by to mogło zaburzyć jego rozum. Jakie niebezpieczeństwo mogłoby na nas sprowadzić.

- Nie ma żadnych matryc, Roacher.

- Czy możemy być tego pewni?

- Chciałbyś spojrzeć?

- Ma pan na myśli połączenie? Pan i ja? Pomysł był dla mnie obrzydliwy, musiałem jednak to zaproponować.

- Po... połączenie, tak - odparłem. - Łączność duchowa. Ja i ty, Roacher. Natychmiast.

Zmierzy szerokość pasm, wyrównajmy potencjały i skończmy z tym.

Przyglądał mi się przez długą chwilę, jak gdyby rozważając prawdopodobieństwo blefu. Wreszcie musiał dojść do wniosku, że jestem zbyt naiwny, aby prowadzić grę, która mogłaby się okazać dla mnie tak ryzykowna. Wiedział, że nie blefuję, że z pewnością nie mam żadnego lokatora, bo w innym przypadku nigdy bym mu nie zaproponował połączenia.

- Nie - odezwał się wreszcie. - Nie ma potrzeby zawracać tym sobie głowy.

- Jesteś pewien?

- Jeśli pan mówi, że jest pan czysty...

- Ale przecież mogę ją mieć w sobie i nawet o tym nie wiedzieć - odparłem. - Sam mi to powiedziałeś.

- Niech pan o tym zapomni. Wiedziałby pan, gdyby ją pan w sobie miał.

- Nigdy nie będziesz tego pewien, dopóki sam nie sprawdzisz. Połączmy się, Roacher.

Popatrzył na mnie spode łba.

- Nie ma o czym mówić. Niech pan o tym zapomni - powtórzył i odwrócił się. - Musi być pan czysty, jeśli tak bardzo chce pan połączenia. Ale coś panu powiem, kapitanie. Mamy zamiar ją znaleźć, gdziekolwiek by się ukrywała. A kiedy ją znajdziemy...

Pozostawił groźbę bez zakończenia. Stałem patrząc na jego oddalającą się postać, dopóki nie zniknęła mi z oczu.

Po kilku dniach wszystko zdawało się wracać do normy. Pędziliśmy dalej w kierunku Cul-de-Sac. Wykonywałem moje codzienne zajęcia, choć wydawały mi się zupełnie pozbawione wszelkiego znaczenia. Większość z nich istotnie takiego znaczenia nie miała. Jak dotąd, nie miałem poczucia, że Miecz Oriona jest pod moim dowództwem, chyba że tylko hipotetycznie. Robiłem jednak to, co robić musiałem.

Nikt w zasięgu mojego słuchu nie rozmawiał o zaginionej matrycy. Podczas rzadkich okazji, kiedy miałem możliwość spotykać innych członków załogi podczas obchodów statku, z rzucanych spode łba spojrzeń wiedziałem, że wciąż mnie podejrzewają. Nie mieli jednak dowodów. Matryca w żaden sposób nie była uchwytna na pokładzie. Informatory statku nie były w stanie odnaleźć najmniejszego jej śladu.

Byłem samotny i było to ogromnie bolesne.

Wydaje mi się, że kiedy się już doświadczyło takiego rodzaju stałego duchowego połączenia, bezustannej łączności - nie jest się już tym samym człowiekiem. Nie wiem tego na pewno: brak wiarygodnych informacji o wtargnięciu uwolnionej matrycy, jedynie opowiadają o tym pokładowe gadki, które trudno brać poważnie. Wszystko, co mogłem wiedzieć, zawierało się w moim własnym cierpieniu po odejściu Vox. Była ona tylko niedoroślą dziewczyną, niesfornym dzikim stworzeniem, chwiejnym i nieukształtowanym; a jednak, a jednak żyła we mnie i dążyliśmy jedno ku drugiemu, by zbudować wspólnotę najgłębszą, coś w rodzaju małżeństwa. Można to tak określić.

Po pięciu czy sześciu dniach wiedziałem, że muszę ja znów zobaczyć. Bez względu na ryzyko.

Otworzyłem dostęp do pomieszczeń wirtualnych i dałem sygnał, że wchodzę. Nie było odpowiedzi; przez straszną chwilę obawiałem się najgorszego, że na skutek tajemniczego

funkcjonowania wirtualności Vox została w jakiś sposób porwana i zniszczona. Tak jednak nie było. Przekroczyłem lśniące, ograniczone różowością pole, będące bramą do pomieszczeń wirtualnych, i nagle poczułem ją koło siebie, przytuloną, drżącą z radości.

Powstrzymała się od wejścia we mnie. Chciała, żebym powiedział, czy to bezpieczne.

Zaprosiłem ją do siebie; nastąpiło to znane mi dobrze wrażenie, kiedy wślizgnęła się do mojego systemu nerwowego i staliśmy się jednością.

- Mogę tu być króciutko - odezwałem się. - Wciąż jeszcze przebywanie z tobą jest dla mnie niebezpieczne.

- Och, Adamie, było mi tu tak okropnie...

- Wiem, mogę sobie wyobrazić.

- Czy ciągle mnie szukają?

- Sądzę, że zaczynają wyrzucać cię ze swych myśli - odparłem i obydwójce roześmieliśmy się.

Nie śmiałem pozostawać z nią dłużej niż kilka minut. Chciałem tylko, by nasze dusze zetknęły się ze sobą, pragnąłem przekonać się, czy wszystko jest z nią w porządku i zmniejszyć ból rozłąki. Kapitan jednak nie ma dostępu do pomieszczeń wirtualnych.

Łamałem przepisy. Pozostając z nią przez jakikolwiek czas, wystawiałem się na rzeczywiste zagrożenie.

Mimo to moja następna wizyta była dłuższa, a trzecia - dłuższa od drugiej. Byliśmy jak potajemni kochankowie, spotykający się w ciemnym lesie na pospiesznych, uroczych schadzках. Ukryci w nierzeczywistych strukturach statku, łączyliśmy nasze dusze i szeptali do siebie z pospieszną intensywnością, dopóki nie czułem, że już czas wracać. Za każdym razem usiłowała zatrzymać mnie dłużej, jednak jej nalegania nie były zbyt uporczywe; nigdy też nie proponowała, że odprowadzi mnie do stałych części statku. Poczynała rozumieć, że

jedynym miejscem, w którym możemy się spotykać, są pomieszczenia wirtualne.

Tymczasem coraz bardziej zbliżaliśmy się do Cul-de-Sac. Wkrótce mieliśmy się ku niemu skierować tak, by statki transportowe mogły wyruszyć na nasze spotkanie i zabrać przeznaczony dla nich ładunek. Najwyższy czas, by zastanowić się, co stanie się z Vox, kiedy dotrzemy do miejsca przeznaczenia.

Odsuwałem tę myśl od siebie, jak tylko mogłem. Nie byłem w stanie zmusić się do konfrontacji z wyłaniającymi się już trudnościami.

Vox natomiast starała się stawić im czoło.

- Chyba już zbliżamy się do Cul-de-Sac - powiedziała.

- Tak, wkrótce tam będziemy.

- Zastanawiam się, jak sobie z tym poradzę.

- Co masz na myśli?

- Jestem zagubioną duszą - odparła. - Dosłownie. Nie widzę sposobu, w jaki mogłabym ożyć.

- Nie różu...

- Czyż nie widzisz, Adamie? - zawołała gwałtownie. - Nie mogę tak po prostu poszybować do Cul-de-Sac, porwać jakieś ciało i umieścić się na liście kolonistów. A i ty pewnie nie będziesz mógł przesmugłować mnie na dół, gdy nikt nie będzie widział. Pierwsza kontrola ładunku czy paszportów - i będę martwa. Jedynym sposobem dostania się tam jest staranne zainstalowanie mnie powtórnie w moim pierwotnym obwodzie magazynowym. A gdybym nawet mogła wyobrazić sobie, jak tam się dostać, to i tak będę jak na talerzu - gotowa do poniesienia kary czy nawet do likwidacji. W liście przewozowym figuruję jako zaginiona, czyż nie? I poszukuje się mnie za spowodowanie śmierci pasażera. Wyobraźmy sobie nawet, że jestem w moim obwodzie. Myślisz, że wyładują mnie uprzejmie w Cul-de-

Sac i wręczą mi ciało, które tam na mnie czeka? Niezbyt to prawdopodobne. Niezbyt nawet prawdopodobne, że kiedykolwiek wyjdę żywa z tego obwodu. Założmy, że mogłabym tam wrócić. Ale przecież nawet nie wiem, jak obsługuje się obwód magazynowy. I nikogo nie możesz o to zapytać.

- Co próbujesz przez to powiedzieć, Vox?

- Niczego nie próbuję powiedzieć. Po prostu mówię. Muszę sama opuścić statek i zniknąć.

- Nie, tego nie możesz zrobić!

- Z pewnością mogę. To będzie tak jak gwiazdny spacer. Mogę się udać, dokądkolwiek zechcę. Przez skórę statku wprost w niebiosa. Cały czas do przodu.

- Do Cul-de-Sac?

- Chyba jesteś głupi - odparła. - Oczywiście nie do Cul-de-Sac. Donikąd. Wszystko już skończone. Ten pomysł z nowym ciałem. Nie mogę już nigdy legalnie istnieć. Wszystko zaprzepaściłam. Przyznaję. I przyjmuję to, co jest przede mną. To nie będzie takie złe, Adamie. Pójdę na gwiazdny spacer. Naprzód, naprzód i naprzód - na zawsze.

- Nie wolno ci - powiedziałem. - Zostań tu ze mną.

- Gdzie? Tu, w tym pustym magazynie?

- Nie - odrzekłem. - Wewnątrz mnie. Tak, jak w tej chwili. Tak, jak przedtem.

- Jak długo byśmy tak wytrzymali? - spytała. Nie odpowiedziałem.

- Za każdym razem, kiedy musiałbyś podłączyć się do urządzeń, ja musiałabym chować się tam, głęboko - ciągnęła. - I nie mam żadnej gwarancji, że to by było dostatecznie głęboko albo że pozostawałabym tam wystarczająco długo. Prędzej czy później zauważono by mnie. Odnaleziono. Zlikwidowano. A ciebie wyrzucono by ze Służby lub również zlikwidowano. Nie, Adamie. To nie ma sensu.

Nie mam zamiaru niszczyć cię razem ze sobą. Wystarczająco dużo krzywdy już ci wyrządziłam.

- Vox...

- Nie. Tak być musi.

A oto, jak się to wszystko odbyło. Znajdowaliśmy się teraz w głębi Spook Cluster, na ekranie przestrzeni realnej jasno płonął Vainglory Archipelago. Gdzieś niżej była planeta zwana Cul-de-Sac. Zanim się ku niej skierujemy, Vox powinna wyślizgnąć się w przepastną noc niebios.

Dokonywanie podejścia do jakiegoś świata jest prawdopodobnie najtrudniejszym manewrem statku gwiazdowego, kapitan zaś musi - wraz z całą załogą - wykorzystać maksimum swych umiejętności. I chociaż byłem nowicjuszem, musiałem sprostać temu złożonemu i trudnemu zadaniu. Gdybym zawiódł, mogliby interweniować inni członkowie załogi lub - gdyby okazało się niezbędne - zrobiłyby to informatory statku; gdyby jednak tak się zdarzyło, moja kariera zostałaby zaprzepaszczone, a nawet istniało niewielkie lecz określone prawdopodobieństwo poważnych uszkodzeń lub utraty Miecza Oriona.

Jednocześnie byłem zdecydowany zapewnić Vox najbezpieczniejsze, jakie potrafiłem, opuszczenie statku.

Rankiem, w dzień naszego podejścia, stałem przez pewien czas na Poziomie Ekranu Zewnętrznego, wpatrując się w Cul-de-Sac. Błyszczał na tle nocy jak czerwone oko.

Wiedziałem, że jest to świat, który wybrała Vox, zarazem jednak wydawał mi się odpychający, niemal fatalny. To samo czułem teraz wobec wszystkich światów. Służba zmieniła mnie i wiedziałem, że zmiana ta jest nieodwracalna. Nigdy już nie wyląduję na żadnym z nich.

Moim światem był teraz statek. Udałem się z kolei do pomieszczeń wirtualnych, gdzie czekała na mnie Vox.

- Chodź - powiedziałem i wtedy umieściła się we mnie.

Przemierzaliśmy razem statek w kierunku Głównej Sali Nawigacyjnej.

Zespół podejścia już tam był: Raebuck, Fresco, Roacher, a także Pedregal, odpowiedzialny za wyładunek cargo. Jason 612 był informatorem na służbie. Skinąłem im na powitanie i połączyliśmy się w szereg podejścia.

Prawie natychmiast poczułem, że Roacher szpera we mnie, usiłując odszukać matrycę, co do której był przekonany, że udzielam jej schronienia. Vox wycofała się poza jego zasięg. Nie obchodziło mnie to. Niech szpera, pomyślałem, już i tak wkrótce będzie po wszystkim.

- Żądanie instrukcji do podejścia - odezwał się Fresco.

- Symulacja - rozkazałem.

Płomieniście czerwone oko Cul-de-Sac rozjarzyło się w sali.

- Kapitanie - powiedział cicho Fresco.

- Spokojnie, Fresco. Pilnuj energii.

- Kapitanie, wskaźniki wskazują, że coś jest nie tak...

- Spokojnie, tylko spokojnie.

- Sprawdźmy koordynaty, kapitanie.

- Za chwilę - odparłem.

- Ale...

- Spokojnie, Fresco.

Nagle ujrzałem również zaniepokojenie Pedregala i pytający gest Raebucka; później powtórne szperanie Roachera, który bądź to znów szukał Vox, bądź też usiłował stwierdzić, co się dzieje. Wiedzieli, że coś jest nie tak, ale nie byli pewni co.

Statek prawie osiągał już żądane przeze mnie położenie. Przebiegł mnie elektryczny dreszcz: Vox wznosiła się po poziomach mojego mózgu, kierując się ku powierzchni, przygotowując się do opuszczenia mnie.

- Kapitanie, wykonujemy zwrot w złym kierunku! - krzyknął Fresco.

- Wiem - odparłem. - Spokojnie. Za chwilę wyrównamy.

- On oszalał! - wykrzyknął Pedregal.

Odczułem Vox, wyslizgującą się swobodnie z mojego mózgu. Ciągle byłem świadomy jej ruchów, może dlatego, że byłem podłączony do Jasona 612, on zaś odbierał wszelkie sygnały. Płynnie i łagodnie Vox przeniknęła do skóry statku.

- Kapitanie! - zawył Fresco i począł walczyć ze mną, by przejąć kontrolę nad sytuacją.

Utrzymując nawigatora na odległość wyciągniętego ramienia, obserwowałem w dziwnym i cudownym skupieniu, jak Vox przebiegła przez obwody statku, w mgnieniu oka wydostając się na szczyt masztu i kierując ku gwiazdom. Zdała się całkowicie na łaskę niebios.

Ponieważ odwróciłem statek wokół jego osi, nie mógł zostać namierzony i przechwycony przez potężną sieć nawigacyjną Cul-de-Sac, miał natomiast możliwość swobodnego skierowania się w stronę otwartych niebios. Dla Vox było to jak odpłynięcie na otwarte morze. Po chwili znajdzie się już tak daleko, że utraci połączenie z bioprocessorami statku, które utrzymywały konstrukcję jej świadomości, i sieć elektrycznych impulsów, która stanowiła matrycę Vox, będzie podróżować tu i tam na zawsze. A zespół indywidualnych cech, który stanowił samą Vox, straci wkrótce spójność, zacznie falować i zanikać. Po krótkim czasie, może nie tak krótkim, ale za to nieuchronnie, zaginie poczucie własnej osoby jako niezależnej całości. Innymi słowy - Vox umrze.

Podążałem za nią tak długo, jak tylko mogłem. Ujrzałem wreszcie iskrę, przecinającą głęboką czerń nocy. A potem już nic.

- W porządku - zwróciłem się do Fresco. -

Zwróćmy teraz statek we właściwym kierunku i dajmy im ich ładunek.

Działo się to wiele lat temu. Może już nikt nie pamięta tych wydarzeń, a i dla mnie stają się one już snami. Od tego czasu Miecz Oriona przenosił mnie po bez mała wszystkich zakątkach galaktyki. Byłem kapitanem, kiedy indziej ładowaczem, oficerem cargo, wymóźdzaczem, nawet czasami przetwornikiem energii. Nie ma znaczenia, jaką funkcję wykonuje się w Służbie.

Często o niej myślę. Był taki okres, kiedy wspomnienie o niej znaczyło uczucie smutku, bólu, niepowetowanej straty, ale dawno już znikło. Ona nie żyje od lat, bez względu na to, jak twarda i odporna była iskra jej duszy. Dla mnie jednak żyje. Co do tego jestem pewien. Istnieje gdzieś we mnie takie miejsce, w którym czuję jej ciepło, jej siłę, jej kapryśną żywotność, jej impulsywną zmienność. Czuję te cechy, te dary, pozostawione przez krótki okres schronienia we mnie, jako jej ciągle żywą obecność; i myślę, że tak będzie już zawsze przez moją drogę od jednego spętanego świata do drugiego, kiedy wędruję wiecznie, pochłaniając czarne lata świetlne na pokładzie wielkiego niebiańskiego statku.

TEBY TYSIĄCA BRAM

Niebiosa się otwarły, opromienia nas panteon
bogów! Amon-Re, Pan Karnaku, wyniesiony ponad
wielkie morze!

Wielkich Dziewięciu wyniesionych na swoje miejsca!

Twe piękne przymioty są twymi, o, Amonie-Re,

Panie Karnaku!

- Liturgia Amona

O, Płomieniu, który przybyłeś cofając się - nie
kradłem ofiar złożonych bogu.

O, Wielki Drapieżny Ptaku, któryś dotarł tu z Heraklei - nie mówiłem kłamstw.

O, Wydziobyczu Wnętrznosci, który przybyłeś z Domu Trzydziestu - nie
popelniłem krzywoprzysięstwa.

O, Panie Ciemności, który nadszedłeś z ciemności - nie byłem kłótlivy.

O, Nefertum z Memfis - nie czyniłem źle, nie widziałem zła.

- *Spowiedź przeczeń*

Od pierwszego, oślepiającego momentu, w którym się zjawił, atakowały go ze wszystkich stron doznania zmysłowe. Odczuwał gwałtowny napór zapachów, widoków, dźwięków, a wszystko to było obce, zbyt intensywne, żyjące nieznanym, własnym życiem. Nacierają na niego rozświetlone wizje. Wędrował przez jakiś nieokreślony przeciąg zdumionego czasu w migotliwych baśniowych puszczech. Nawet powietrze było namacalne, dając sprzeczne, mylące odczucia miękkości i szorstkości, ciężaru i oszałamiającej lekkości. Egipt pędził przez niego jak rzeka nie do powstrzymania, błyszcząca i hałaśliwa, oszałamiająca swoim ogromem, otumaniająca żywotnością.

Wchłaniał magię i dławił się nią. Oddychanie przychodziło mu z trudnością - czuł się tak ogłupiały, że musiał sobie przypomnieć, jak to się robi. Prawdziwy problem stanowiła jednak dezorientacja. Docierało do niego zbyt wiele informacji i miał kłopoty z ich przetworzeniem. Przypominało wsadzanie do gniazdka z prądem już nie koniuszka palca, ale całej głowy. Miał kilkanaście różnych rozmiarów i przeżywał każdą z chwil swojego życia, łącznie z tymi, których jeszcze nie było, w jednym, krótkim jak mgnienie oka momencie.

Przygotowywał się do tego od miesięcy - właściwie można by powiedzieć, że przez całe swoje życie - ale w gruncie rzeczy nie dało się przygotować do czegoś takiego. Wykonał trzy skoki próbne, najpierw dwieście, potem czterysta, wreszcie sześćset lat wstecz i wydawało mu się, że wie, czego oczekiwać - wywołującego mdłości uczucia braku oddechu, zawrotu głowy, wrażenia, że z całego rozpędu uderzył o skałę. Wszyscy ostrzegali go jednak, że skutki przeskoczenia nawet sześciu wieków są niczym w porównaniu z uderzeniem przy naprawdę wielkim skoku. Mieli rację. Przeskoczył trzydzieści pięć wieków i to było mordercze. - Po prostu trzymaj się i próbuj złapać oddech - radzili mu doświadczeni koledzy, tacy jak Charlie Farhad, który dotarł do Babilonu; Nick Efthimiou, który widział tancerzy

przeskakujących przez byki na dworze króla Minosa, i Amiel Gordon, który uczestniczył w królewskiej bar micwie w świątyni Salomona, kiedy farba na ścianach była jeszcze świeża. - To jak skok bez spadochronu - mówił Efthimiou - Cała sztuka polega na tym, by przy uderzeniu przetoczyć się na bok i nie stawiać oporu. Jeśli przeżyjesz pierwsze pięć minut, wszystko będzie dobrze. - Cofanie się w czasie powoduje narastanie potencjału temporalnego, a im dalsza podróż, tym większy ładunek, i to w wielu aspektach.

Pomału świat przestawał mu dziko wirować przed oczyma i mijały zawroty głowy.

Z miejsca, w którym się znajdował, widział bardzo niewiele. Starali się zawsze zrzucić cię w takim miejscu, żeby twoje przybycie nie zostało zauważone. Wylądował na nie wybrukowanej alejce, szerokiej na jakieś dwa metry, ograniczonej z obu stron wysokimi murami z pobielonej suszonej cegły, które zasłaniały mu widok. Ostatnie błyszczące ślady złotej aury w polu lądowania były nadal widoczne w postaci otaczających go koncentrycznych kręgów, niczym lśniąca pajęczyna światła; szybko jednak zanikały. Tuż przed nim stały dwa osły, przeżuwając słomę i obserwując go bez większego zainteresowania. Jakieś dziesięć metrów za nim leżała sterta śmieci, blokująca niemal całą alejkę. Jego obuta w sandały lewa stopa znajdowała się kilka centymetrów od rzędka ciepłego zielonego łajna, najwyraźniej pozostawionego tu przez jednego z osłów. Po prawej stronie przepływał cienki strumyk brązowawej wody, tak brudnej, iż miał wrażenie, że dostrzega w niej gigantyczne mikroorganizmy - wielkie ameby i pantofelki oraz ponure, żarłoczne wrotki, gniewnie płynące pod prąd. Z miasta leżącego poza tym paskudnym, niechlujnym zakątkiem, w którym się zmateriałizował, nie widział nic prócz jedynej wysokiej i smukłej palmy przecinającej jak strzała bezchmurne, niebieskie niebo nad ograniczającymi alejkę murami. Mógł być w którymkolwiek ze stu azjatyckich, afrykańskich czy południowoamerykańskich państw. Ale kiedy ponownie spojrzął na mur po lewej stronie, zauważył nagryzmołony na nim napis

przypominający nieco arabskie zawijasy, kropki i kwadraciki, typowe dla hieroglifów z czasów XVIII Dynastii. Jego wyszkolony umysł natychmiast dokonał tłumaczenia: “Niechaj wąż Amachu, pożeracz ducha, połknie duszę handlarza winem Ipuky, niechaj wpadnie on do Jeziora Ognia, uwięźnie w Lochu Potworów, umiera przez milion lat; niechaj jego ka zniknie na wieki, a jego grób będzie pełen skorpionów, albowiem oszustem jest i kłamcą”. W tym momencie świat, w który właśnie wkroczył - z całą swoją nieuniknioną, dziwną rzeczywistością - dotarł do jego świadomości, wywołując gwałtowny przypływ emocji. Thot i Amon, Izyda i Ozyrys, świątynie i grobowce, obeliski i piramidy, bogowie z głowami jastrzębi, czarna ziemia, gadające chrząszcze, węże z nogami, bogowie pawiany, bogowie sępy, mrugające sfinksy, unoszące się dymy z kadzideł, zapach piwa słodowego, worki z jęczmieniem i fasolą, na wpół z mumifikowane ciała w kadziach wypełnionych natronem, ptaki o głowach kobiet i kobiety o głowach ptaków, procesje zamaskowanych kapłanów, wędrujące w gąszczu przysadzistych kolumn, koła młyńskie obracające się leniwie na skraju rzeki, woły i szakale, cielęta i psy, alabastrowe wazy i złote pektorały, pulchny faraon na tronie, pocący się pod ciężarem dwubarwnej korony, a przede wszystkim słońce, słońce, słońce, nieubłagane słońce, przed którym nie było ucieczki, dosięgające swymi mackami wszystkiego, co żyło lub nie żyło w tym kraju żywych i umarłych. Wszystko to dotarło do niego na raz. Głowa rozdymała mu się jak balon. Tonął, zalewany informacjami. Chciało mu się płakać. Był tak strasznie oszołomiony, taki osłabiony skokiem w czasie, taki przytłoczony. Przed tyloma rzeczami powinien się bronić, a tak mało miał środków, których mógłby użyć do tego celu. Był przestraszony. Znowu miał zaledwie osiem lat, nagle przeniesiono go w szkole do starszej klasy ze względu na bystry umysł oraz niespokojnego ducha, niespodziewanie stanął wobec tajemniczych przedmiotów, które po raz pierwszy były dla niego za trudne, a nie, jak dotąd, zbyt łatwe - dzielenia liczb

wielocyfrowych, geografii - i klasy pełnej nieznanymi kolegów, starszych od niego, głębszych, większych, wrogich.

Policzki zarumieniły mu się ze wstydu na wspomnienie tamtych chwil.

Niepowodzenie było niedopuszczalne.

Chyba już czas ruszyć się z tego zaułka, zdecydował. Wyglądało na to, że najgorsze dolegliwości somatyczne minęły, tętno właściwie wróciło do normy, odzyskał ostrość widzenia - „jeśli przeżyjesz pierwsze pięć minut, wszystko będzie dobrze” - i czuł się dość pewnie na nogach. Ostrożnie ominął osły. Ledwie się zmieścił między nimi a ścianą. Jedno ze zwierząt potarło o jego ramię pokrytym szczecina nosem. Był do pasa nagi; miał na sobie jedynie biały lniany fartuszek, sandały z czerwonej skóry i tkaną czapeczkę, która chroniła głowę. Nawet przez moment nie łudził się, że wygląda jak Egipcjanin - ale też nie musiał: w okresie rozkwitu Nowego Państwa było tu mnóstwo obcokrajowców - Hetytów, Kreteńczyków, Asyryjczyków, Babilończyków, a może nawet i Chińczyków, jak też paru uniżonych, drobnych drawidyjskich. wędrowców z dalekich Indii. - Powiedz im, że jesteś Hebrajczykiem - radził mu Amiel - prapradziadkiem Mojżesza i żeby się lepiej do ciebie nie przypieprzali, bo ukarzesz ich dwunastoma plagami o sto lat wcześniej, niż to zostało zaplanowane. - Miał za zadanie przystosować się na krótki czas, wyżywić się, póki nie wypełni swojej misji, nając się do takiej pracy, w której mógłby udawać, że ma kwalifikacje - jako skryba, służący, garncarz czy formierz cegieł. Byle cokolwiek robić. Byle sobie poradzić przez trzydzieści dni.

Jakieś sześć metrów od miejsca, w którym stały osły, alejka zakręcała ostro.

Zatrzymał się, uważnie oglądając to miejsce i zapisując w pamięci wszystkie szczegóły: napis na murze, stertę śmieci, kąt skrzyżowania dróżki, wysokość i nachylenie palmy. Za trzydzieści dni musi przecież odbyć drogę powrotną. Będą go szukali w czasie, a to jest jak łowienie ryb

zagiętą szpilką i powinien dostarczyć im wszelkiej możliwej pomocy. Na moment zamarło mu serce. Uświadomił sobie, że zapewne w Tebach było z pięćdziesiąt tysięcy identycznych zaułków. Podobno jestem inteligentną formą życia, upomniał sam siebie. Może przecież zanotować położenie, wszystkie znaki szczególne. Od tego zależy jego życie.

Wreszcie dotarł do końca alejki.

Wyjrzał na przecinającą ją ulicę i jego oczom ukazały się Teby Stu Bram.

Miasto wywołało w nim tak silny natłok wrażeń, że poczuł się niemal podobnie wstrząśnięty jak tuż po skoku przez czas. Ze wszystkich stron na raz zaatakował go hałas, rozgardiasz, upał, kurz. Zapach łąjna i gnijących owoców był tak silny, że go zemdliło. I wszędzie byli ludzie; wielkie tłumy ludzi poruszających się w zdumiewająco celowy sposób, przeciskających się obok, wpadających na niego, odsuwających go na bok. Jakby był dla nich niewidoczny, kiedy tak stał z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami pośród tego szalonego tłoku. Mogłaby to być Piąta Aleja w Nowym Jorku w wiosenne popołudnie, gdyby nie to, że wielu ludzi było nagich czy niemal nagich w tym zdumiewającym skwarze buchającym jak z pieca i gdyby nie wielkie stada gęsi, owiec, wołów, osłów oraz dziwnych długorogich i garbatych krów beztrosko krążących między przechodniami. U jego stóp pochrząkiwały i parskały świnię. Znalazł się na jakimś rynku, na którym stłoczyły się małe, zbudowane z suszonej gliny sklepiki, tawerny i najprawdopodobniej burdele. Kilkadziesiąt kroków dalej po prawej stronie znajdowała się płytka, lecz wartko płynąca rzeka niczym rączy zielony potwór pokryty setkami statków z wygiętymi ku górze dziobami i wyniosłymi masztami, a tuż przed nim, nie dalej niż w odległości stu metrów stała potężna, otoczona murami budowla. Sądząc po podwójnym rzędzie kamiennych kolumn i widocznych za nimi zawiłych przedpokoi musiał to być budynek współcześnie znany jako Świątynia w Luksorze. A przynajmniej tak można wnioskować z jego północno-południowego usytuowania wzdłuż Nilu. Ale świątynia,

jaką miał w tej chwili przed oczami, bardzo się różniła od tej, którą zwiedzał zaledwie dwa tygodnie temu. Dwa tygodnie temu? Trzydzieści pięć wieków temu! - w czasie swojej wyprawy orientacyjnej do współczesnego Egiptu. Brakowało Alei Sfinksów, a także obelisków i kolosów stojących przed wielkimi, rozszerzającymi się ku górze skrzydłami północnego pylonu. Pylonu chyba też nie było. Oczywiście, że nie. Sfinksy ze Świątyni w Luksorze powstały za XXX Dynastii, czyli kilkanaście wieków później. A obeliski i kolosy były dziełami Ramzesa II, którego panowanie miało nastąpić dopiero po pięciu czy sześciu innych monarchach, licząc od chwili obecnej; to samo zresztą odnosiło się do północnego pylonu. Na ich miejscu była teraz jakaś nieznana kryta kolumnada, wyglądająca niemal zbyt kornie według egipskich norm architektonicznych, oraz dwie kwadratowe świątynie z różowego granitu, za którymi znajdował się niski, smukły pylon, wyraźnie archaiczny, ozdobiony trzepoczącymi jasnymi chorągiewkami. Na widok tego odczuł lekki dreszcz badacza: były to budowle zapewne z czasów XII Dynastii - a zatem starożytne nawet w tej epoce - które niewątpliwie zburzyli nieubłagani budowniczości Ramzesydów, aby zrobić miejsce dla własnych, znacznie okazałszych. Ale o wiele bardziej zdumiewający niż różnica w planie zabudowy był kontrast między tą świątynią a nagimi, brązowymi, podobnymi do szkieletu ruinami, które widział we współczesnym Luksorze. Białe, zbudowane z bloków wapienia fasady i kolumny niemal nieznośnie raziły w oczy odbitym blaskiem bezlitosnego słońca. I całe były pokryte krzykliwymi reliefami, pomalowanymi na niemiłosiernie jaskrawe kolory: czerwień, żółć, błękit i zieleń. Każdy gzyms i legar lśnił od inkrustacji drogocennymi metalami: srebrem, złotem, rzadkimi stopami. Świątynia pulsowała odbitym światłem słonecznym. Była jakby drugim słońcem emitującym wstrząsowe dawki energii na zatłoczony rynek.

Za dużo tego, pomyślał, czując, jak uginają się pod nim nogi. Za dużo. Był

przeziąony. Dudniło mu w głowie. Mdlilo go. Miał kłopoty ze skupieniem wzroku. Pomimo upału odczuwał dreszcze. Albo, co jeszcze prawdopodobniejsze, z powodu upału. Wyobraził sobie, że pod wpływem mdłości robi się zielony.

- Jesteś chory? Tak, widzę, że jesteś bardzo chory - usłyszał nagle głęboki, ochryply męski głos. Na nadgarstku poczuł zaciskającą się mocno czyjąś dłoń. Tuż nad jego twarzą pojawiła się twarz jakiegoś mężczyzny - o wąskich ustach, orlim nosie, wygolonej czaszce. Uważne ciemne oczy wpatrywały się w niego z troską. - Bardzo źle wyglądasz. Myślę, że wkrótce staniesz się Ozyrysem.

- Ja... ja...

- Umierać na ulicy jak świnia... niedobrze, to bardzo niedobrze, mój przyjacielu.

Wydało mu się zdumiewające, że ktoś się do niego odezwał, ale jeszcze bardziej zadziwiające - pomimo nauki - że rozumiał. Naturalnie napełniono jego umysł Egiptem, napompowano go aż po dziurki w nosie wiedzą o języku, sztuce, historii, obyczajach. O wszystkim. A i przedtem sam się dużo nauczył. Ale mimo to zdumiało go odkrycie, że tak łatwo rozumiał słowa owego człowieka. Wprawdzie nauczyciele niezupełnie poprawnie odtworzyli wymowę, ale i tak dość podobnie. Źle wymawiali samogłoski. Wszystko powinno być bardziej gardłowe, "e" przechodzić w "i"; "o" w "u", ale można było dość szybko przystosować się do tego. Jego dobroczyńca podtrzymywał go, ściskając mu rękę jak w imadle. Gdyby nie to, z pewnością by upadł. Starał się ułożyć jakieś zdanie, które mógłby powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Zawiodły umiejętności, kiedy musiał przemówić. Nie mógł ułożyć najprostszego nawet zdania. "Staniesz się wkrótce Ozyrysem". Czyżby naprawdę umierał? Jakie to dziwne określenie. Widocznie zaczął już wyglądać jak Ozyrys, bóg zmarłych, mumia o zielonej twarzy.

Nieznajomy wyprowadzał go ze słońca w słaby cień, rzucając przez palmę o pięciu

gałęziach, która rosła na skraju rynku.

- Jestem bardzo chory - udało mu się w końcu wyjąkać. - Upał... moja głowa...

- Tak, tak. Jakie to smutne. Ale spójrz, przyjacielu, oto nadchodzi bóg.

W pierwszej chwili pomyślał, że zstępuje jakaś zjawą, że Horus albo Thot przyszedli, aby zabrać go do Krainy Zmarłych. Ale nie, nieznanemu wcale nie o to chodziło. Tłum nagle wydał z siebie ogłuszający ryk, który przeistoczył się w rozsadzającą czaszkę falę niesamowitego hałasu. Mężczyzna wskazał na coś. Zmobilizował się i powiódł wzrokiem za wyciągniętą ręką. Obraz znowu zaczął mu się rozmywać przed oczami, ale dostrzegł poruszenie przed świątynią, zbliżających się muskularnych mężczyzn, dzierżących baty i odzianych jedynie w pasy niebieskiej i złotej materii, cofających się ludzi, a wreszcie pojawił się skądś rydwan. Wszystko lśniło, oślepiająco jaskrawe: sokoły na jarzmie, nad nimi wielki dysk przedstawiający słońce, po bokach skrzydlate boginie, z tyłu jakieś rogate stwory. Aż wreszcie wyszedł powoli ze świątyni i wsiadł do rydwanu jakiś postawny człowiek, bogato odziany pomimo upału - z błękitną koroną na głowie, z chepreszem, dwoma berłami w dłoniach, pastorałem i cepem, z przyczepioną sztywną małą sztuczną bródką...

Król, to był... to musiał być... faraon, ten co wsiada do rydwanu... był w świątyni na uroczystości i teraz wraca do swojego pałacu, po drugiej stronie rzeki...

Bębny, trąbki i wysokie tony jakiegoś instrumentu przypominającego obój.

Niesamowity ryk.

- Horus - wołał tłum. Dziesięć tysięcy na raz, jednym głosem. - Horus! Neb-Maat-Re!

Życie! Zdrowie! Siła!

Neb-Maat-Re. To znaczy faraon Amenhotep III. Jego imię z koronacji. Tak, czyli to król. Stoi tu i z uśmiechem pozdrawia zgromadzony tłum.

- Pan Dwóch Ziem! - krzyczeli ludzie. - Syn Re! Żywe wyobrażenie Amona! Potężny!

Dobroczyńca Egiptu! Życie! Zdrowie! Siła!

Za dużo tego, stanowczo za dużo. Czuł się przytłoczony tym wszystkim. Był trzydzieści pięć wieków poza swoim właściwym czasem. Aż do chwili, kiedy faktycznie nastąpiło, wydawało mu się, że poradzi sobie z przemieszczeniem. Ale teraz całym jego ciałem wstrząsał dreszcz wywołany zmęczeniem, zamieszaniem, paniką. Zachwiał się i uchwycił desperacko szorstkiego, łuskowatego pnia palmy. Czuł, jak pod wpływem tej oszałamiającej, niewyobrażalnej rzeczywistości uchodzą z niego resztki nadwątlonych sił. Teby jako tętniące życiem miasto... Amenhotep ni, w błękitnej koronie... ubrani w maski kapłani, o głowach jastrzębi, ibisów, psów... wychodzi teraz ciemna, tajemnicza postać kobiety, z pewnością królowa, i zajmuje miejsce obok faraona... rydwan rusza...

- Życie! Zdrowie! Siła!

Może dla króla. Ale nie dla niego. Jakim cudem zdał testy psychologiczne przed tą misją? Przecież teraz oblewał. Przez całe dotychczasowe życie udawało mu się przechytryć twardszych od siebie. Dopiero teraz prawda wyszła na jaw. Nogi miał jak z waty. Oczy mu wyłaziły z orbit. Przysłali niewłaściwego człowieka, widział to zupełnie wyraźnie. Właściwie było to jedyne, co widział wyraźnie. Jest zbyt skomplikowany, zbyt... delikatny. Powinni tu przysłać jakiegoś obojętnego, pozbawionego wyobraźni faceta, jakiegoś prozaicznego astronautę, niewrażliwego na emocje, na fascynujące, nie dające się wyjaśnić tajemnicze aspekty życia; kogoś pozbawionego romantyzmu i wiary w magię, kto nie czułby się tak przytłoczony widokiem tęgiego człowieka w średnim wieku, ubranego w głupi kostium, wsiadającego do hollywoodzkiego rydwanu.

Czy to z tego powodu? A może po prostu z gorąca i przewlekłego wstrząsu po skoku przez trzydzieści pięć wieków?

- Och, przyjacielu, przyjacielu - użalał się nad nim ciemnooki nieznajomy. - Obawiam

się, że już stajesz się Ozyrysem. To takie smutne dla ciebie. Zrobię, co w mojej mocy, aby ci pomóc. Wykorzystam wszelkie moje umiejętności. Ale musisz się modlić, mój drogi przyjacielu. Proś króla, aby o-szczędził twe życie. Proś Panią Izydę. Proś o miłosierdzie Thota Uzdrawiciela, przyjacielu, albo u-mrzesz jak...

Były to ostatnie słowa, które usłyszał. Zachwiał się i upadł na ziemię tuż przy pniu palmy.

Nieznajomy spoczywał na łożu w Domu Życia w Okręgu Mut, sąsiadującym od południa z Ipet-sut, wielką świątynią Amona, w zawiłym kompleksie świętych budynków, które przysze pokolenia nazwą Karnakiem. Pawilon, w którym się znajdował, był otwarty na niebo - prosta kolumnada ze smukłych filarów wznoszących się jak łodygi ku nabrzmiałym pączkom lotosu na szczycie, pomalowanych w łagodne odcienie różu, błękitu i bieli.

Nieznajomy miał zamknięte, spokojne oczy i oddychał powoli, najwyraźniej bez trudu, ale jego twarz była rozpalona gorączką, a usta ściągnięte w dziwnym grymasie, jakby wykrzywione nieprzyjemnym uśmiechem. Co pewien czas jego ciałem wstrząsał potężny dreszcz.

- Myślę, że on wkrótce umrze - powiedział lekarz, którego nazywano Hapu-seneb. To on towarzyszył nieznajomemu w chwili, gdy ten upadł koło Świątyni Południowego Haremu Amona.

- Nie - oświadczyła kapłanka. - Myślę, że będzie żył. Jestem nawet pewna, że będzie żył.

Lekarz cicho prychnął z pogardą.

Ale kapłanka nie zważała na to. Podeszła bliżej do łóżka, które stało na podwyższeniu wyraźnie obniżającym się od głowy ku stopom. Nieznajomy leżał nagi na materacu ze sznurka, mocno naciągniętym i pokrytym poduszkami, a jego głowa spoczywała na wygiętej drewnianej belce. Budowę miał smukłą, drobnokościstą, niemal tak delikatną jak kobieta, choć szczupłe ciało było muskularne i pokryte gęstwiną wijących się ciemnych włosów.

Dłoń kapłanki lekko dotknęła czoła chorego.

- Bardzo ciepłe - powiedziała.

- Jest w nim demon - odparł Hapu-seneb. - Niewielka nadzieja. Wkrótce stanie się

Ozrysem. Myślę, że posiadał go krokodyl z Zachodu albo może w jego sercu zagnieździł się wąż rerek.

Teraz z kolei kapłanka prychnęła sceptycznie.

Służyła Izydzie, choć to Okręg Kultowy Mut, a cały kompleks świątynny poświęcono Amonowi. Nie było w tym jednak nic niezwykłego. Wszystko tu przeplatało się ze sobą, granice były płynne, jeden bóg bez problemu przemieniał się w innego.

A Izydzie należało służyć, nawet w świątyni Amona. Jak na kobietę kapłanka wydawała się wysoka, a jej skóra miała bardzo blady odcień. Odzież jej siadała się z lekkiej lnianej koszuli, cienkiej jak mgiełka, przez którą prześwitywały piersi i ciemny trójkąt u lędźwi. Wygoloną czaszkę pokrywała ciężka czarna peruczka z naturalnych włosów, zawile splecionych w setki ścisłych warkoczyków.

Nieznajomy mrucał coś teraz przez sen, wydawał z siebie jakieś ochryple, urywane dźwięki, bełkot złożony z obco brzmiących słów.

- Mówi językiem demonów - stwierdził Hapu-seneb.

- Cii! Staram się usłyszeć!

- Rozumiesz język demonów, prawda?

- Cii!

Przysunęła ucho do ust chorego. Wypowiadał jakieś serie słów: bełkot w delirium, następnie przerwa, po czym znów gorączkowe mamrotanie, kapłanka słuchała go z szeroko otwartymi oczyma, zmarszczywszy czoło, ssąc lekko zagryzioną dolną wargę.

- Co mówi? - spytał Hapu-seneb.

- Słowa w obcym języku.

- Ale ty je rozumiesz. Zresztą sama jesteś cudzoziemką. Czy to twój krajan?

- Proszę - odezwała się kapłanka, coraz bardziej zirytowana. - Na co te wszystkie

pytania?

- Na nic - zgodził się lekarz. - No cóż, zrobię, co w mojej mocy, aby go uratować.

Twojego krajana. Jeśli nim jest.

Przyniósł ze sobą swój ekwipunek - drewnianą skrzyneczkę z lekarstwami i woreczek z amuletami. Przez chwilę zastanawiał się nad doborem amuletu, aż w końcu wybrał jeden, przedstawiający Amona z czterema głowami barana, rozdeptującego krokodyla. Ośmioro bogów w tle podziwiała jego wyczyn. Hapu-seneb wyszeptał zaklęcie i przymocował amulet do powiązanego w supły sznura, który przytroczył do fartuszka leżącego. Następnie ulokował wizerunek Amona na sercu nieznanego, wykonał kilka magicznych ruchów i powiedział głębokim, podniosłym tonem:

- Jestem tym Ozyrysem, tu na Zachodzie. Ozyrys zna swój dzień i jeśli nie istnieje w nim, to i ja nie będę istniał w nim. Jestem Re, który jest z bogami i nie zginę; wstań, Horusie, abym mógł zaliczyć cię do grona bogów.

Kapłanka obserwowała go z lekkim uśmiechem.

- Mogę też użyć innych zaklęć - powiedział lekarz. Zamknął na chwilę oczy i głęboko oddychał. - Za mną, krokodylu, synu Seta! - zaintonował. - Nie unosz swego ogona. Nie wyciągaj łap. Nie otwieraj paszczy. Niech woda stanie się ogniem przed tobą! Urok trzydziestu siedmiu bogów jest w twych oczach. Jesteś uwiązany do czterech brązowych filarów Południa, przed paradną łodzią Re. Zatrzymaj się, krokodylu, synu Seta! Ochroń tego człowieka, Amonie, mężu twojej matki!

- To musi być dobre zaklęcie - powiedziała kapłanka. - Spójrz, poruszył się. I jego czoło staje się chłodniejsze.

- Tak, to jedno z najskuteczniejszych zaklęć. Ale lekarstwa też są ważne - stwierdził

lekarz i zaczął szperać w drewnianej skrzyneczce, wyciągając małe słoiczki. W niektórych

były pokruszone insekty, w innych żywe, w jeszcze innych sproszkowane odchody potężnych zwierząt.

Kapłanka położyła lekko dłoń na ręce Hapu-seneba.

- Nie - powiedziała. - Żadnych lekarstw.

- Potrzebuje...

- Potrzebuje odpoczynku. Myślę, że powinieneś już pójść.

- Ale proszek ze skorpiona...

- Kiedy indziej, Hapu-senebie.

- Pani, to ja jestem lekarzem, nie ty.

- To prawda - odparła łagodnie. - I to bardzo dobrym lekarzem. I twoje zaklęcia też są bardzo dobre. Ale czuję w swych żyłach Izydę i bogini mówi mi, że tym, co wyleczy tego człowieka, jest sen. Nic więcej, tylko sen.

- Bez lekarstw umrze, o pani. A wtedy Izyda będzie miała swego Ozyrysa.

- Idź już, Hapu-senebie.

- Choć olejek z węża...

- Idź.

Lekarz zmarszczył się groźnie i zaczął coś mówić, ale w odpowiednim momencie rozmyślił się, zgrabnie zatuszował gniew wzruszeniem ramion, po czym zaczął pakować swój sprzęt medyczny. Kapłanka była faworytą młodego księcia Amenhotepa - wszyscy o tym wiedzieli. Zapewne nie było rozsądne sprzeciwić się jej zbyt ostro. A skoro uważała, że wie lepiej niż on, jakiej pomocy potrzebuje ten obcokrajowiec, to cóż...

Kiedy Hapu-seneb wyszedł, kapłanka wrzuciła parę ziaren kadzidła do paleniska w rogu pawilonu

I przez pewien czas stała, wpatrując się w gęstniejącą ciemność, głęboko oddychając i

usiłując odzyskać spokój. Nie czuła się bowiem ani trochę spokojna, niezależnie od tego, jakie wrażenie wywarła na lekarzu. Z oddali docierały do niej odgłosy śpiewu. Z nieba zstępował coraz ciemniejszy granat, zmieniając kolor rzeki. W górze pojawiały się pierwsze gwiazdy. Kilka światełek zamigotało u szczytów kolumn. Od strony królewskiego pałacu na zachodnim brzegu rozchodził się po rzece żałobny odgłos trąbki obwieszczającej nadejście nocy.

Więc to tak, pomyślała. Zastanawiała się, co należało teraz zrobić. Klasnęła dwukrotnie w dłonie i nadbiegły dwie młode niewolnice.

- Eyaseyab - zwróciła się do starszej i inteligentniejszej - pójdziesz do Domu Gwiazd, który mieści się za grobowcem Men-Cheper-Re, i powiesz astronomowi Senmut-Ptahowi, żeby natychmiast do mnie przyszedł. Z pewnością poinformuje cię, że ma właśnie coś bardzo ważnego do zrobienia. Przekaż mu, że wiem o tym, ale mimo wszystko chcę, żeby się tu zjawił, ponieważ mam do niego absolutnie zasadniczą, nie cierpiącą zwłoki sprawę.

Drugą niewolnicę posłała po ściereczkę zwilżoną w zimnej wodzie, potrzebną jej do ochłodzenia czoła chorego.

Nieznajomy był nadal nieprzytomny, ale przestał bełkotać. Jego twarz nie była już taka napięta i znikł z niej wywołany gorączką rumieniec. Zapewne po prostu spał. Kapłanka stanęła nad nim, marszcząc w zamyśleniu czoło.

- Słyszysz mnie? - spytała, pochylając się ku niemu.

Poruszył się lekko, ale jego oczy pozostały zamknięte.

- Jestem Izydą - powiedziała cicho. - A ty jesteś Ozyrysem. Moim Ozyrysem.

Zagubionym Ozyrysem, który został wyrwany, przywrócony do życia i oddany pod moją opiekę.

Wymruczał coś niewyraźnie, ponownie we własnym języku.

- Jestem Izydą - powtórzyła.

Położyła dłoń na ramieniu chorego i wędrowała nią po jego ciele, zatrzymując na chwilę na sercu, aby poczuć rytmiczne uderzenia, po czym przesuując coraz niżej. Jego łędwia były chłodne i miękkie, ale kiedy położyła na nich palce, poczuła, jak się napinają. Na ustach kapłanki pojawił się uśmiech. Odwróciła się, wzięła przyniesioną przez niewolnicę chłodną ściereczkę i lekko wytarła czoło mężczyzny. Raptownie otworzył oczy. Ciekawe, pomyślała, czy obudził go dotyk zimnego materiału na czole, czy może - chwilę wcześniej - ręki u dołu brzucha?

Wpatrywał się w nią.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Trochę lepiej.

Mówił tak cicho, że musiała wyteżać słuch.

Dostrzegł swoją nagość. Zauważyła to i przykryła mu brzuch paskiem materiału, którego jeszcze nie zdążyła zwilżyć.

- Gdzie jestem?

- W Domu Życia, w Okręgu Mut. Lekarz Hapu-seneb znalazł cię na ulicy przed południową świątynią i przyniósł cię tu. Jestem Nefret. Służę Izydzie.

- Czy ja umieram, Nefret?

- Nie sędzę.

- Tak mówił mężczyzna, który mnie znalazł. Powiedział, że wkrótce stanę się

Ozyrysem A to oznacza, że umieram, prawda?

- Może znaczyć. Ale może znaczyć też coś innego. Hapu-seneb jest bardzo dobrym

lekarzem, ale nie zawsze ma rację. Nie umierasz. Myślę, że byłeś zbyt długo na słońcu i to

wszystko. Może też doszedł wysiłek w czasie podróży. - Spojrzała na niego w zamyśleniu. - Z

daleka przybywasz?

Zawahał się, nim odpowiedział.

- Wiesz o tym, prawda?

- Nawet dziecko by się domyśliło. Skąd jesteś? Kolejna krótka pauza. Zwilżył językiem usta.

- Z miejsca, które nazywa się Ameryka.

- To musi być bardzo daleko.

- Bardzo.

- Dalej niż Syria? Dalej niż Kreta?

- Tak. Znacznie dalej.

- A jak się nazywasz?

- Edward Davis.

- Ed-ward Da-vis.

- Bardzo ładnie to wymawiasz.

- Edward Davis - powtórzyła, nieco mniej nieporadnie. - Czy teraz lepiej?

- Było całkiem dobrze i za pierwszym razem.

- Jakim językiem mówią w miejscu, które nazywa się Ameryka? - spytała.

- Po angielsku.

- A nie po amerykańsku?

- Nie, nie po amerykańsku. Po angielsku.

- Wydaje mi się, że mówiłeś w tym swoim języku angielskim przez sen.

Spojrzał na nią badawczo.

- Naprawdę?

- Tak sędzę. Choć skąd miałabym to wiedzieć?

Wiem tylko tyle, że słyszałam jakieś obce słowa. Ale jak na kogoś, kto przybywa z tak daleka, bardzo dobrze mówisz w naszym języku.

- Dziękuję.

- Naprawdę bardzo dobrze. Dopiero dziś przyjechałeś, prawda?

- Tak.

- Tym statkiem, który przyplłynął z Krety?

- Tak - odparł. - Nie. Nie tym. To był inny statek, taki który płynął z... - Ponownie zrobił krótką pauzę. - To był statek z Kanady.

- Kanada. Czy to blisko Ameryki?

- Tak, bardzo blisko.

- I często przyplływają tu statki z Kanady?

- Właściwie nie. Nie bardzo często.

- Aha. Ale dzisiaj przyplłynął.

- Dzisiaj albo wczoraj. Wszystko mi się pomieszało... odkąd jestem chory...

- Rozumiem - powiedziała kapłanka. Ponownie otarła mu czoło chłodną ściereczką. -

Czy jesteś głodny?

- Nie, wcale - powiedział, po czym zmarszczył czoło. Wyglądało to tak, jakby informacje krążyły po jego ciele. - No, może trochę.

- Mamy kawałek pieczonej gęsi i chleb. I piwo. Będziesz mógł to zjeść?

- Spróbuję.

- W takim razie przyniesiemy ci. Niewolnica, posłana po astronoma, już wróciła.

Stała tuż przy kolumnie pawilonu i czekała. Kapłanka spojrzała na nią.

- Przyszedł kapłan Senmut-Ptah, proszę pani. Czy mam go wprowadzić?

- Nie. Wyjdę do niego. To jest Edward-Davis. Był chory, ale sądzę, że wraca już do

zdrowia. Chciałby coś zjeść i wypić.

- Tak, pani.

Kapłanka ponownie odwróciła się w stronę obcokrajowca.

Siedział teraz na łóżku, patrząc na zachód, w stronę rzeki. Była już ciemna noc i

wzdłuż promenady na zachodnim brzegu oraz na wzgórzach, gdzie znajdowały się grobowce

królów, zapalono pochodnie. Mężczyzna wyglądał na oczarowanego.

- Miasto jest bardzo piękne w nocy - powiedziała Nefret.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jestem.

- Nie ma drugiego takiego miasta w całym kraju. Masz dużo szczęścia, że możesz je zobaczyć w pełnej chwale.

- Tak - przyznał. - Wiem o tym. Błyszczały mu oczy. Odwrócił się, żeby popatrzeć na nią, i kapłanka wiedziała, że przyglądał się jej ciału widocznemu spod cienkiej szaty, kiedy stała oświetlona od tyłu pochodniami. Poczula się obnażona i dziwnie bezbronna.

Nagle uświadomiła sobie, że wolałaby być ubrana w coś mniej przezroczystego. Od dawna już nie miała takich myśli.

Zastanowiła się, ile mógł mieć lat. Dwadzieścia pięć? Może nawet mniej. W każdym razie z całą pewnością był od niej znacznie młodszy.

- To jest Eyaseyab - powiedziała, wskazując na niewolnicę. - Przyniesie ci jedzenie.

Jeśli będziesz potrzebował jeszcze czegoś, po prostu jej powiedz.

- Wychodzisz?

- Jest tu ktoś, z kim muszę porozmawiać.

- A potem wrócisz?

- Później.

- Mam nadzieję, że nie bardzo późno.

- Zjedz. Odpoczywaj. To jest teraz ważne. Eyaseyab zaopiekuje się tobą. -

Uśmiechnęła się i odwróciła. Wychodząc z pawilonu czuła na sobie jego wzrok.

Senmut-Ptah czekał na zewnątrz, koło wielkiego sfinksa, na którym widniała inskrypcja Totmesa III. Ubrany był w fartuszek z czerwonej materii ze wzorkiem przedstawiającym złote ibisy oraz w wysoką kapłańską koronę, w którą wetknięte były trzy długie pióra. Ramiona i klatkę piersiową miał nagie. Był kościsty, o długich kończynach i bardzo szerokich ramionach, a ostre i władcze rysy upodobały jego twarz do sokoła, do Horusa-jastrzębia. W tej chwili wyglądał na rozgniewanego i zniecierpliwionego.

- Wiesz, że przez ciebie stracę wschód Uda Byka - powiedział na jej widok. - Gwiazda Północy pewnie minie południk, zanim ja...

- Cii - przerwała mu. - Gwiazda Północy nie przemieści się dzisiejszej nocy w żadne szczególne miejsce, a Udo Byka będzie jutro wyglądało dokładnie tak samo. Chodź ze mną na spacer. Musimy porozmawiać.

- O czym?

- Chodź. Nie możemy tu rozmawiać. Idźmy w stronę Świętego Jeziora.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możemy...

- Bo nie - wyszeptała gniewnie. - Ruszaj. Chodź ze mną. Astronom i kapłanka Izydy udają się na małą przechadzkę w świetle gwiazd.

- Muszę dokonać bardzo ważnych obserwacji, i to koniecznie dziś w nocy, i...

- Tak, wiem.

Czuła niechęć do przesłaniającej wszystko obsesji obowiązkami astronomicznymi, jaka w ostatnich latach opanowała Senmut-Ptaha. Zachowywał się teraz jak maszyna. Albo jakiś insekt, bez przerwy pracowicie bzyczący, zgodnie z kodem zapisanym w jego genach. Dzień i noc zajęty wyłącznie swoimi astrolabami i teodolitami, swoimi wklęsłymi zwierciadłami, azymutami, zenitami i południkami, zegarami słonecznymi i wodnymi. Niegdyś,

kiedy oboje byli tu nowi i toczyli walkę o stworzenie sobie warunków do życia w Egipcie, rozpałało go zdumienie, żywa ciekawość i jakaś płomienna nieustraszonność. Ale to wszystko już minęło. Teraz jakby nie liczyło się już dla niego nic z wyjątkiem obserwowania gwiazd. Gdzieś po drodze ogromnie bezduszna obojętność zawładnęła całą resztą jego umysłu. Czemu to absurdalne zestawianie danych astronomicznych, prawdopodobnie niedokładne, a w każdym razie bezcelowe, stało się dla niego takie ważne? I gdzie zagubiły się jego ciepło i pasja, które pomogły im obojgu przetrwać trudności, na jakie natykali się z początku w tym dziwnym kraju?

Wpatrywał się w nią teraz tak, jakby miał ochotę wepchnąć ją wzrokiem do Jeziora Ognia. W chłodnym blasku gwiazd jego oczy wydawały się jej okrutne i zimne, a twarz, o twardniejących z upływem lat rysach, wyglądała jak koszmarny wizerunek bogów, których portrety były wymalowane na wszystkich ścianach we wszystkich świątyniach. Kiedyś uważała, że jest przystojny, nawet romantyczny, jednakże czas wysuszył jego twarz i ciało, a duszę przemienił w gład. Teraz jest równie ohydny jak Thot, pomyślała. I równie przerażający jak Set.

Ale to jedyny człowiek, który mógł być jej sojusznikiem w tym wiecznie obcym kraju, jeśli nie liczyć księcia; książę jednak zdradzał niebezpieczną niestałość w uczuciach, a poza tym - był Egipcjaninem. Niezależnie od tego, jak bardzo zmienił się ten stojący przed nią mężczyzna od chwili, kiedy po raz pierwszy przybyli do Teb, mimo wszystko był kimś jej pokroju. Potrzebowała go. I nie mogła sobie pozwolić, by o tym zapomnieć.

Wsunęła mu rękę pod pachę i pociągnęła go za sobą, przez otaczającą Okrąg Mut kolumnadę, wzdłuż nowej, zbudowanej przez faraona drogi ograniczonej po obu stronach podwójnymi rzędami kobr i na przełaj, przez pole, w stronę Świętego Jeziora. Kiedy odeszli wystarczająco daleko od Domu Życia, by nie było ryzyka, że wiatr zanieśie jej słowa do uszu

leżącego w pawilonie chorego, niespodziewanie przemówiła po angielsku.

- Przybył dziś do Teb ktoś z czasu, Rogerze. Z naszej epoki.

Przejście na angielski podziało jak przełączenie kontaktu. Minęły całe lata od chwili, kiedy ostatni raz posługiwała się tym językiem, i użycie go wywołało natychmiast niezwykle silną reakcję. Poczwała, jak jej poprzednia tożsamość, tak długo tłumiona, nagle wysuwa się na czoło z zakamarka, w którym była pogrzebana. Serce biło jej mocno; piersi unosiły się i opadały w rytm przyśpieszonego oddechu.

Mężczyzna, który nazywał sam siebie Senmut-Ptahem, stał tak ogłuszony, jakby właśnie przeżył trzęsienie ziemi. Zakrztusił się i uwolnił rękę z uścisku kapłanki. Po chwili ponownie narzucił sobie chłodną samokontrolę.

- Chyba nie mówisz tego poważnie. I czemu przeszłaś na angielski?

- Ponieważ w egipskim nie ma słów, których potrzebuję, aby wyrazić to, co mam ci do powiedzenia. I ponieważ nie chcę, aby ktokolwiek, kto mógłby nas podsłuchać, zrozumiał, o czym mówimy.

- Nienawidzę rozmawiać w tym języku.

- Wiem o tym. Ale i tak masz się teraz nim posługiwać.

- W porządku. Niech będzie angielski.

- I mówiłam poważnie.

- Jest tu ktoś z czasu? Naprawdę?

- Tak. Naprawdę.

Zadrgały mu kąciki ust. Starał się zrozumieć tę nowinę i najwyraźniej przychodziło mu to z trudnością. W końcu kapłance udało się przebić przez pancierz jego obojętności. Ale potrzeba było czegoś aż tak niezwykłego, aby tego dokonać.

- Nazywa się Edward Davis. Jest bardzo młody i czarująco niewinny. Plątał się dziś po

południu w okolicy Świątyni Luksor, właśnie wtedy, kiedy wychodził z niej król. Pod wpływem porażenia słonecznego oraz szoku temporalnego stracił przytomność, praktycznie u stóp Hapu-seneba. A ten przyniósł go do mnie. Jest teraz w Domu Życia. Eyaseyab usiłuje go nakarmić.

Astronom wpatrywał się w nią. Jego nozdrza poruszały się nerwowo. Widziała, jak walczy ze sobą, aby utrzymać swoją pozę.

- To wszystko fantazja - powiedział wreszcie ponuro. - Zmyślasz.

- Chciałabym. On istnieje naprawdę.

- Istnieje? Tak?

- Mogę cię natychmiast do niego zaprowadzić. Powiesz mu po angielsku "cześć" i usłyszysz, co ci odpowie.

- Nie. Nie chcę tego robić.

- Czego się boisz?

- Niczego. Ale jeśli masz w świątyni kogoś z naszej epoki, z całą pewnością nie mam ochoty iść do niego i serdecznie uścisnąć mu dłoni. W żadnym wypadku.

- A uwierzysz mi, że jest, jeśli go nie zobaczysz?

- Skoro muszę.

- Owszem, musisz. Czemu miałabym wymyślać taką historię?

Poruszał ustami, ale przez moment nie wydał z siebie żadnego głosu.

- Tak, właściwie dlaczego miałabyś to robić? - odezwał się w końcu. A potem, po

kolejnej pauzie: - Z jakich jest czasów?

- Nie wiem, ale to musi być bardzo blisko naszych. Powiedział mi wprost, że jest z Ameryki. Bo czego miał się obawiać, zakładał na pewno, że to słowo nic dla mnie nie znaczy.

I że przybył wczoraj albo dziś na statku z Kanady. Zaczął mówić, że przyplłynął z Krety, ale

chyba przyszło mu do głowy, że mogłabym to sprawdzić. A może po prostu bawi go opowiadanie kłamstw. Czy znałeś jakiegoś Edwarda Davisa, kiedy pracowałeś w Służbie?

- Nie pamiętam nikogo takiego.

- Ja też nie.

- Musiał przyjść później niż my.

- Tak sędzę. Ale niewiele później. Jestem tego pewna.

Astronom wzruszył ramionami.

- Mógł też przybyć z okresu o pięćset lat późniejszego niż nasz. Czyż nie?

- Mógł, ale nie przypuszczam, aby tak było.

- Intuicja?

- Po prostu nie wygląda na to. Edward Davis. Czy tak brzmiałoby twoim zdaniem nazwisko człowieka z dwudziestego siódmego wieku?

- A skąd mam wiedzieć, jak może brzmieć nazwisko kogoś z dwudziestego siódmego wieku? - spytał poirytowanym głosem. W migotliwym świetle pochodni osadzonych w lichtarzach otaczających Święte Jezioro zauważyła, jak na oblicze astronoma powraca wzburzenie. Zazwyczaj jego twarz nie miała żadnego wyrazu, niczym granitowy posąg. Trafiła do niego jednak.

Zaczął gwałtownie maszerować brzegiem jeziora. Ledwie nadążała za nim. W pewnej chwili odwrócił się i spojrzał na nią.

- Jak sądzisz, Elaine, czego on tu chce? - spytał ochrypłym głosem.

- Czego chce? A co mógłby tu robić, jeśli nie badać Egipt za XVIII Dynastii? Zna język bardzo dobrze, więc nie ulega wątpliwości, że został przeszkolony w egiptologii. A zatem przybył tu w zwykłej wstępnej misji badawczej, takiej, jaką my zamierzaliśmy przeprowadzić w Rzymie. Czy naprawdę wierzyłeś, że nikt nigdy tu nie przybędzie?

Wierzyłeś w to, Rogerze?

- Chciałem w to wierzyć. Roześmiała się.

- To się przecież musiało zdarzyć, wcześniej czy później.

- Mają do wyboru pięć tysięcy lat historii Egiptu. Mogli udać się do Mernfis, popatrzeć, jak się buduje piramidy. Albo do Aleksandrii, zobaczyć, jak Antoniusz rżnie Kleopatrze. Lub na dwór Ramzesa II.

- Prawdopodobnie te wszystkie miejsca też zwiedzili - odparła kapłanka. - Ale widocznie chcieli poznać i te czasy. Teby to bajeczne miasto. Poza tym obecnie przeżywają swój niewątpliwie najlepszy o-kres. Są więc oczywistym celem wypraw.

Mężczyzna, który nazywał siebie Senmut-Ptahem, przytaknął ponuro. Przez chwilę milczał. Szedł jeszcze szybciej. Był dziwnie przygarbiony i co pewien czas gwałtownie unosił jedno z ramion, jakby łapał go bolesny skurcz.

- No cóż - odezwał się po dłuższej przerwie obcym, pozbawionym emocji głosem, brzmiącym tak, jakby mówca był martwy - a więc w końcu ktoś się zjawił. I wylądował prosto na twoich kolanach, od razu pierwszego dnia.

- Został na nich posadzony.

- Wszystko jedno. Najistotniejsze, że tu jest, w twojej świątyni, niespełna dwieście metrów od nas. Mógł przecież wylądować gdziekolwiek w Tebach i przez cały swój pobyt nawet nie rzucić na nas okiem; nie mieć zielonego pojęcia, że tu jesteśmy. A zamiast tego pierwszego dnia trafił do ciebie. Jak ślicznie.

- Rogerze, on nic o mnie nie wie.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie.

- Nie mówiłaś mi, że nie jesteś Egipcjanką?

- Nic mu w ogóle nie mówiłam.

- I nie sądzisz, że mógł się domyślić?

- Nie miał powodu. Nadal jest oszołomiony po skoku i uważa, że jestem kapłanką Izydy.

- Bo nią jesteś.

- Naturalnie. Ale to wszystko, co o mnie wie.

- Dobrze. Czyli nic mu nie powiedziałaś. Bo właściwie czemu miałabyś to zrobić? -

Zatrzymał się i stał wyprostowany, zwrócony do niej plecami, wpatrzony w dal, w stronę Okręgu Amona. Po raz kolejny zapadła cisza.

- No więc tak - odezwał się po dłuższej chwili, nadal martwym, bezdźwięcznym głosem. - Mamy więc młodego człowieka z naszych czasów i ty wiesz, kim on jest, ale on nie wie, kim ty jesteś. No, ładnie. Bardzo ładnie. I co z nim zrobimy, Elaine?

- Masz jakieś wątpliwości? Muszę się go pozbyć.

- Pozbyć? Co masz na myśli?

- Chodzi mi o to, że muszę się go pozbyć ze świątyni. Przenieść go gdzieś, żeby poszedł własną drogą. I dopilnować, aby w czasie swojego pobytu w Tebach niczego się o nas nie dowiedział.

Popatrzył na nią dziwnie. Nie miała pojęcia, co za myśli krążą mu po głowie. Robił wrażenie, jakby coś w nim pękało. Przestraszył ją, reagując na przyjazd gościa w taki pełen sprzeczności sposób.

Zwilżył językiem spieczone usta.

- I w ogóle nie chcesz z nim porozmawiać? - spytał.

- O czym?

Jego twarz przybrała jeszcze dziwniejszy wyraz. Chyba nigdy nie widziała go tak

bardzo wytrąconego z równowagi. Nie zachowywał się tak nawet w czasie pierwszych, pełnych zamieszania dni po ich przybyciu do Egiptu.

- O czymkolwiek. Zapytać o wieści z naszych czasów. O to, co się dzieje na świecie.

O Służbę, o naszych przyjaciół. Może zna kogoś z nich. Nie mieliśmy żadnych wiadomości przez piętnaście lat. Nie jesteś ciekawa?

- Oczywiście, że jestem. Ale ryzyko...

- No, tak.

- Tyle razy rozmawialiśmy o tym, co zrobilibyśmy, gdyby zjawił się tu ktoś z naszych czasów.

- Owszem.

- A teraz, kiedy właśnie ktoś...

- To przecież wszystko zmienia, że taki ktoś naprawdę się pojawił.

- Niczego nie zmienia - odparła chłodno. - Tak ci się tylko wydaje. Jestem zdumiona, Rogerze. Zaledwie kilka minut temu oświadczyłeś mi, że w żadnym wypadku nie chcesz mu się pokazać. Twoja obecna sugestia nie jest chyba poważna? Przez chwilę rozważała jej słowa.

- Więc jak?

- Nie. Nie jest poważna - powiedział. - Ty też tego nie chcesz.

- Oczywiście, że nie. Chcę, żeby pozostawiono mnie w spokoju i pozwolono mi żyć moim własnym życiem.

- No cóż, ja też.

- W takim razie nie możemy pozwolić, żeby się o nas dowiedział.

- Masz rację.

- Tyle, że ciebie zupełnie nieoczekiwanie zaczęło kusić. Widzę to. I nie spodziewałam się tego po tobie, Rogerze.

Patrzył gdzieś poza nią, w noc. Robił wrażenie, jakby ponownie udało mu się odzyskać, choćby częściowo, swoją lodowatą obojętność. Ale kapłanka wiedziała, że to tylko poza. Był znacznie bardziej poruszony, niż to sobie wyobrażała.

- Może faktycznie trochę mnie kusi - przyznał niechętnie. - Co w tym dziwnego, że przyszedł mi do głowy taki pomysł? Ale oczywiście nie zamierzam go zrealizować.

- Na pewno?

- Naturalnie.

- To dobrze. W takim razie ja się nim zajmę. Chciałam po prostu, żebyś wiedział, co się dzieje. Teraz możesz już wrócić do obserwatorium. Zapewne zdążysz jeszcze odnaleźć Gwiazdę Północy albo zajmiesz się tym, co tam zwykle robisz.

Zdała sobie sprawę, że w którymś momencie zaczęła z powrotem mówić po egipsku. I on też. Nie była pewna kiedy.

Rano niewolnica Eyaseyab weszła do pawilonu, gdzie na pochyłym łożu leżał Edward Davis.

- Nie śpisz? - spytała. - Lepiej się czujesz? Jesteś silniejszy?

Zamrugnął powiekami na jej widok. Musiało już być całkiem późno. Niebo rozpościerało się nad nim jak błękitna tarcza, a powietrze stawało się coraz cieplejsze, zapowiadając zbliżanie się południowego skwaru. Dotarło do niego, że się obudził i czuje się względnie silny. W ciągu nocy wyraźnie ustąpiły najsilniejsze objawy szoku związanego z pojawieniem się w Egipcie za czasów XVIII Dynastii. Miał wyschnięte gardło i pusty żołądek, ale prawdopodobnie był wystarczająco silny, aby wstać.

Opuścił nogi z boku łóżka i ostrożnie wstał. Okrywający go kawałek materiału zsunął się, pozostawiając go nagim. Czuł się z tym trochę dziwnie, ale Eyaseyab była też niemal naga jak każda z dziewcząt na malowidłach pokrywających ściany grobowców w Dolinie Królów. Miała tylko na biodrach cienki pasek z paciorków i niewielką przepaskę zasłaniającą łono. Małe bransoletki z niebieskich paciorków na kostkach jej nóg dźwięczały, kiedy się poruszała. Trudno mu było ocenić dokładnie, ale wyglądała na szesnaste lub siedemnastolatkę; wesołą, zdrową i względnie czystą. Jej oczy były ciemne i błyszczące podobnie jak włosy, a skóra miała miły oliwkowy kolor, przez który przebijał lekki odcień czerwieni i złota.

Przyniosła miskę z wodą i flakonik pachnącego olejku. Starannie umyła go, a czynność ta była niemal intymna, choć nie do końca. Miał wrażenie, że mogło tak być, gdyby poprosił. Jeszcze nigdy w taki sposób nie myła go kobieta, przynajmniej odkąd przestał być dzieckiem; było to jednocześnie kuszące i drażniące.

Kiedy skończyła, natarła mu klatkę piersiową, plecy i uda ciepłym wonnym olejkiem.

To też było dla niego nowe i dziwne. Jest niewolnicą, pomyślał. Przyzwyczajoną do takich czynności. Od czasu do czasu chichotała przy tym. Raz ich oczy spotkały się i dostrzegł w jej wzroku prowokację, ale wydawało mu się, że nie mógłby sięgnąć po nią teraz, na tej otwartej przestrzeni, w świątyni. Przyciągnąć do siebie, wykorzystać. Jest niewolnicą, powtórzył w myślach. Oczekuje, że zostanie wykorzystana. Tym bardziej było to więc niemożliwe. Podała mu biały fartuszek i bez skrupowania przyglądała się, jak niezgrabnie zakładał go na biodra.

- Przyniosłam jedzenie - powiedziała. - Zjedz, a potem pójdziemy.

- Dokąd?

- Do miejsca, gdzie będziesz mieszkał.

- Na terenie świątyni?

- W mieście. Nie zostaniesz tutaj. Kapłanka Nefret powiedziała, że mam cię zaprowadzić do mieszkania w mieście.

To było przygnębiające. Miał nadzieję, że zostanie tutaj i przydzielą mu jakieś zajęcie w świątyni. Chciał znowu porozmawiać z tą spokojną, tajemniczą, powściągliwą kapłanką; w tym całkowicie nieznanym miejscu ona jedna zaczęła budzić w nim wrażenie oazy bezpieczeństwa oraz pomocy. Żywił do niej dziwne uczucie, coś w rodzaju pokrewieństwa i chętnie pozostałby w jej posiadłości trochę dłużej. Ale wiedział też, że ukrycie się w jakimś bezpiecznym gniazdku nie sprzyjałoby realizacji celu misji, z jaką go tu przysłano.

Eyaseyab wyszła i po chwili wróciła z tacą pełną jedzenia: miską rosółu, kawałkiem smażonej ryby, płaskim chlebem, kilkoma ciastkami i kamienną miseczką daktyli. Wydawało się, że jest tego o wiele za dużo. Ubiegłej nocy był w stanie zaledwie skubnąć trochę mięsa i wypić odrobinę piwa przyniesionego przez dziewczynę. Ale ku własnemu zdumieniu miał dziś niezwykle apetyt; opróżnił kilkoma łykami miskę z zupą, pożarł daktyle, następnie bez namysłu rozprawił się z rybą, chlebem i ciastkami. Mgliście rozważał przy tym, jakiego

rodzaju mikroby pochłaniał wraz z jedzeniem. Ale to nie miało znaczenia. Zanim wyruszył w podróż, został nafaszerowany po dziurki w nosie najróżniejszymi antygenami. Cały wydział Służby zajmował się wyłącznie badaniami immunologicznymi, dzięki czemu wysłannicy w przeszłość wyruszali zabezpieczeni nie tylko przed słynnymi dawnymi plagami, ale i przed najwymyślniejszymi zarazkami dostającymi się do przewodu pokarmowego. Z medycznego punktu widzenia zapewne więcej ryzykował w czasie swojej wizyty orientacyjnej we współczesnym Kairze i Luksorze niż tutaj.

- Przynieść ci jeszcze coś do zjedzenia? - spytała Eyaseyab.

- Sądzę, że nie powinienem już więcej jeść.

- Jedz, jeśli jesteś głodny. Tu, w świątyni, jest mnóstwo żywności.

Rozumiał, co chciała mu powiedzieć. Wszystko świetnie; tyle że nie mógł w czasie jednego posiłku napchać się na zapas, aby mu starczyło na cały miesiąc.

- To chodź - powiedziała. - Zaprowadzę cię tam, gdzie będziesz mieszkał.

Wyszli boczną bramą z obszaru świątynnego i zapyłoną ścieżką doszli szybko do pobliskiej promenady nad rzeką. Świątynie znajdowały się teraz znacznie bliżej Nilu niż trzydzieści pięć wieków później. Tysiąclecia osadzania się mułu przy wylewach zdumiewająco zmieniły bieg rzeki. W czasach jego obecnego pobytu Nil przepływał w miejscu, gdzie we współczesnym Luksorze znajdował się szeroki pas ziemi pokrytej budynkami mieszkalnymi i ulicami, ciągnący się od promenady nad rzeką do postoju taksówek obsługujących ruiny Karnaku, budek z biletami wstępu i dojścia do alei sfinksów przy pierwszym pylonie świątyni.

Eyaseyab szła prędko, kilka kroków przed nim, nie oglądając się za siebie.

Obserwował z rozbawieniem rytmiczne ruchy jej pośladków. Kierowała się na południe, ku oszałamiającemu labiryntowi, jaki tworzyło właściwe miasto.

Teraz rozumiał, dlaczego wczoraj był taki ogłupiały. Nie tylko musiał pokonać szok związany z przemieszczeniem temporalnym nieporównywalnie większym niż te, które przeżywał przy skokach próbnych, ale też samo miasto było ogromne i działało przytłaczająco. Teby faraonów były znacznie większe niż leżący na ich miejscu współczesny Luksor i od pierwszego spojrzenia wywierały ogromne wrażenie. Luksor, poza swymi wspaniałymi ruinami, jest zaledwie prowincjonalnym miasteczkiem: kilka hoteli dla turystów, mieszczące się w jednej sali muzeum, małe lotnisko, stacja kolejowa i kilka sklepów. Teby są metropolią. Jak to napisano w Iliadzie”? “Teby o stu bramach, gdzie z każdej wyjeżdża dwustu rycerzy na rydwanach, co są zaprzężone w rumaki”¹. Tak.

Ogólny zarys tego miejsca był mu znany. Jak i wszystkie inne miejscowości w Egipcie, Teby rozciągały się z północy na południe wzdłuż Nilu. Z dwóch stron miasto zamykały dwie wielkie świątynie, które znał jako Luksor i Karnak. Luksor na południowym krańcu, tam gdzie wczoraj wylądował, a mniej więcej półtora kilometra na północ rozległy kompleks świątynny Karnak, gdzie spędził noc. Kiedy stał teraz zwrócony twarzą w kierunku południowym, po prawej ręce miał rzekę, zatłoczoną okrętami wszelkich rozmiarów i typów, z jaskrawymi żaglami, a dalej, bardziej na zachód, były poszarpane brunatne góry otaczające Dolinę Królów, gdzie wielcy tego państwa mieli swoje grobowce. Bliżej, na nadbrzeżnej równinie stał długi rząd cesarskich pałaców, złoty dom faraona i siedziby królewskiej rodziny. Kiedy popatrzył w drugą stronę, dostrzegł wyraźnie zarysowujące się na tle bezchmurnego nieba wyniosłe szczyty trzech wzgórz, które wyznaczały i wschodnią granicę miasta, i masywne mury ze stu bramami, które dotrwały czasów Homera.

Przytłaczające w Tebach były jednak nie tyle świątynie, pałace i inne okazałe, monumentalne budowle - choć i one wywierały wielkie wrażenie - co gorączkowa różnorodność nieregularnie rozrzuconych ulic wypełniających przestrzeń między nimi.

Rozciągały się jak okiem sięgnąć, wyznaczając strefę zamieszkaną, którą ograniczała z jednej strony tylko rzeka, a z drugiej - nieubłagana pustynia. Urbanistyka była tu pojęciem

1 Cyt. za: Homer, Iliada Księga IX, w. 384-5, Przekład I. Wieniewski, Wydawnictwo Literackie, 1984

(przyp. tłum).

nieznany. Niezrozumiale poskręcane szeregi gęsto zaludnionych osiedli przylegały do willi bogaczy. W jednym miejscu biegła ulica, przy której mieściły się małe zaniedbane, walące się sklepiki - ciasne lepianki z suszonej cegły - a tuż obok wyrastał olbrzymi mur, który odgradzał chłodne ogrody, niebieskie baseny, tryskające fontanny, ciche korytarze zdobione kolorowymi freskami. Na drugim zaś końcu tej okazałej posiadłości szlachcica zjawiały się ponownie splątane alejki, przy których mieszkała biedota. Powietrze było tak gorące, że miało się wrażenie, jakby płonęło i tańczyła w nim nieustannie migocąca mgielka pyłu, niezależnie od tego, jak czyste było niebo w oddali. Bzyczały owady: muchy, szarańcza i chrząszcze, wydające przy mijaniu ludzi gniewne, złowrogie dźwięki, a zwierzęta skubały spokojnie trawę przy ulicy, jakby były u siebie w domu. Dym ze stu tysięcy palenisk kuchennych unosił się wysoko w górę; wszędzie było czuć zapach pieczonego mięsa i ryby smażonej na oleju. We wszystkich kierunkach płynął ciągły strumień przechodniów, wypełniający wąskie, zatłoczone uliczki; szlachciców w rydwanach lub lektykach, ciągniętych przez woły wózków, na których przewożono towary na targ, niemal nagich niewolników biegnących z ogromnymi, starannie ułożonymi na głowach pakunkami, osłów uginających się pod znacznie mniej schludnymi ładunkami, tak wielkimi jak pół piramidy, płaczących się między nogami dzieci, zachwalających swoje wyroby garncarzy. Wszyscy wołali, śmiali się, kłócili, śpiewali, głośno wymieniali pozdrowienia. Edward Davis bywał przedtem w dużych, egzotycznych miastach - Hongkongu, Honolulu, w samym ogłupiająco gigantycznym Kairze - ale nawet one, ze swoimi buchającymi spalinami ciężarówkami, samochodami i motocyklami, nie były w stanie

dorównać zdumiewającemu chaosowi panującemu w Tebach. Był tu nieporządek przewyższający wszystko, czego kiedykolwiek doświadczył; wręcz przekraczający granice jego wyobraźni.

Znajdowali się teraz w pobliżu południowej świątyni. Rozpoznał plac, na którym poprzedniego dnia stracił przytomność. Ale Eyaseyab nagle skręciła ku rzece i poprowadziła go w dół, kamiennymi schodami, do niewidocznej z góry dzielnicy nad rzeką, gdzie wzdłuż kamiennego nabrzeża tłoczyły się nędzne tawerny i zadymione kioski z jedzeniem.

Przy nabrzeżu stała płaska barka, pełna ludzi, a krzepki mężczyzna, który robił wrażenie nadzorcy, machał ramionami i niezrozumiale coś wołał niskim, gardłowym głosem.

- Zaraz odpłynie - powiedziała Eyaseyab. - Szybko, wsiadajmy.

- Dokąd jedziemy?

- Na drugą stronę.

Popatrzył na nią z niewyraźną miną.

- Mówiłaś, że zamieszkam w mieście.

- Tam też jest miasto. Będiesz miał siedzibę w pobliżu miejsca pracy. Kapłanka wszystko przygotowała. Masz dużo szczęścia, Edward-Davisie.

- Nie rozumiem. O jakiej pracy mówisz?

- Z balsamistami. Będiesz praktykantem w Domu Oczyszczania, w Mieście

Zmarłych. - Pociągnęła go za rękę. - Chodź szybko! Jeśli spóźnimy się na prom, będziemy musieli czekać godzinę na następny.

Zbyt zdumiony, by protestować, niezdarnie wszedł za nią na pokład. Niemal

natychmiast nadzorca wydał rozkaz i niewolnicy na nabrzeżu pociągnęli za liny, które przytrzymały barkę, po czym zrzucili je z pali cumowniczych. Potężnych rozmiarów

człowiek zepchnął olbrzymią tyką barkę na wodę. Podryfowała po Nilu. Wielkie czerwono-

żółte żagle złapały tyle wiatru, ile się dało. Szybko oddalali się od hałaśliwych Teb. Edward Davis patrzył ze strachem za siebie.

Balsamista, w Mieście Zmarłych? Mieszkanie po drugiej stronie rzeki? Zaczęło się w nim ponownie odradzać uczucie paniki i zagubienia, jakie przeżywał wczoraj. Popatrzył w stronę odległego zachodniego brzegu. Jego zadanie i tak było wystarczająco trudne, a jak miał je wykonać przebywając w wiosce grabarzy? Prawdopodobnie dwoje ludzi, których miał odnaleźć, mieszka we właściwych Tebach, jeśli w ogóle tu są. Zamierzał krążyć po mieście, pytać i ogólnie węszyć w poszukiwaniu niezwykłych obcokrajowców; iść każdym możliwym śladem, na jaki mógłby natrafić. Ale kapłanka, w swojej wielkiej uprzejmości, właściwie wygnała go z miejsca, w którym powinien przebywać. Jeśli ma się wywiązać ze swojej misji Sherlocka Holmesa, będzie musiał wrywać się z pracy - niezależnie od tego, co to miało być - i w jakiś sposób wracać do głównej części Teb codziennie czy w każdym razie tak często, jak to się okaże i możliwe. Była to komplikacja, której nie przewidział. - Wskutek ścisku na przeładowanej barce niewolnica przylegała do niego całym ciałem. Uświadomił sobie, że sprawia mu to przyjemność. Ale zastanawiał się, jak często promy zanurzały się pod obciążeniem i tonęły. Pomyślał też o krokodylach, które w tych czasach nadal żyły w Nilu. Eyaseyab roześmiała się.

- Za dużo tu ludzi, prawda?

- Tak. O wiele za dużo.

- Zawsze tak jest o tej porze. Lepiej płynąć rano, ale spałeś.

- Czy promy płyną przez cały dzień?

- Tak, przez cały. A nocą rzadziej. Wszyscy ich używają. Czy nadal dobrze się czujesz, Edward-Davisie?

- Tak. - Oparł dłonie na jej nagich ramionach. - Doskonale.

Przez chwilę zastanawiał się, czym będzie płacił za prom, ale zaraz potem przypomniał sobie, że przecież w całym tym imperium radzono sobie bez żadnych pieniędzy. Wszystkie transakcje związane z towarami i usługami były barterowe lub oparte na systemie wymiany, w którym posługiwano się ciężarkami i spiralami miedzianymi pełniącymi rolę waluty, ale tylko abstrakcyjnej: robotnikom płacono miarkami zboża lub oliwy, co mogło być następnie wymieniane na inne potrzebne towary, a bardziej złożone transakcje sprzedaży i kupna odbywały się na piśmie, nie zaś drogą faktycznej wymiany metalu. Promy najprawdopodobniej były bezpłatne; rząd utrzymywał je z podatków, które wszyscy musieli płacić.

Barka, ciężko kołysząc się, przemierzała zieloną, leniwą rzekę. Wschodni brzeg był teraz jedynie ciemną linią na horyzoncie, z wyniosłymi murami i kolumnami dwóch świątyń jako jedynymi dającymi się rozpoznać znakami szczególnymi. Na szybko zbliżającym się zachodnim brzegu widział kolejną płataninę ulic i niskich ceglanych budynków, choć nie tak zagęszczoną jak po drugiej stronie. Tuż za miastem dostrzegł rząd wysokich zakurzonych palm, tworzących jakby linię demarkacyjną oddzielającą część zamieszkaną od leżącego za nią pustkowia. Dalej na zachód była już tylko piaszczysta pustynia, wznosząca się stopniowo ku ponurym, nagim wzgórzom na horyzoncie.

Na nabrzeżu Eyaseyab zamieniła parę słów z jakimś mężczyzną w ubrudzonym ziemią, podartym fartuszk, najwyraźniej pytając go o drogę. Robili wrażenie, jakby się znali; uśmiechali się do siebie ciepło, wymienili szybki uścisk dłoni i parę żartów. Obserwując ich Davis poczuł dziwne, nieoczekiwane ukłucie zazdrości, ale kiedy mężczyzna odwrócił się, wskazując na lewo, okazało się, że jego twarz jest potwornie zdeformowana i ma tylko jedno oko.

- Mój brat - powiedziała Eyaseyab, wróciwszy do Davisa. - Należy do właściciela

promu. Mamy iść tędy.

- Czy on był ranny w bitwie?

Przez moment wyglądała na zaskoczoną.

- Chodzi ci o jego twarz? Ach nie, on nie jest żołnierzem. Raz uciekł, kiedy był chłopcem; spędził noc na pustyni i zaatakowało go jakieś zwierzę. On mówi, że lew, ale ja sądzę, że to był szakal. Chodź, proszę.

Zaczęli zagłębiać się w Mieście Zmarłych. Eyaseyab ponownie szła pierwsza, zmuszając go do podążania jej śladem, ze wzrokiem wbitym w zwięzający się błyszczący klin jej nagich pleców. Po obu stronach drogi, którą szli, na pełnych obrotach pracowali ludzie żyjący ze śmierci. Tu byli stolarze robiący trumny; kawałek dalej pod otwartymi od frontu arkadami rzemieślnicy gromadzili sprzęty pogrzebowe, a przy kolejnej ulicy rzeźbiarze polerowali nagrobne statuy. W jednym z mijanych salonów wystawione były pozłacane skrzynie na mumie, w zdumiewającej różnorodności rozmiarów - niektóre z nich nie większe niż dla kota, inne z kolei ogromne i niezwykle ozdobne. Milczący kapłani z ogolonymi głowami krążyli jak dostojne cienie po zatłoczonych, ruchliwych ulicach. Od czasu do czasu Davis czuł zapach jakichś gryzących oparów; przypuszczał, że pochodziły z roztworów używanych do balsamowania.

Dzielnica, w której mieszkali robotnicy, znajdowała się niedaleko głównego obszaru handlowego, ale układ ulic Miasta Zmarłych był tak zawity, że Eyaseyab musiała jeszcze dwukrotnie pytać o drogę, nim doprowadziła go do nowej siedziby. Był to podobny do jaskiń ciąg ciemnych pokoików o glinianych ścianach, ukształtowany w nierówną literę U wokół piaszczystego podwórza. Motel dla nędzarzy, jak określił to w myślach Davis. Zarządzał tu rumiany, tęgi mężczyzna nazywany Pewero. Miejsce było niemal komiczne, tak posępne, brudne, wilgotne, cuchnące moczem, ale mimo to miało swój mały ogródek, w którym rosła

jedna, zakurzona akacja i sykomora, praktycznie pozbawiona liści.

- Posiłki będziesz jadał tu - wyjaśniła Eyaseyab. - Są dostarczane przez Dom

Oczyszczania. Jeśli chcesz, możesz dostawać piwo, ale wina nie mają. Zanim pójdziesz spać, sprawdzaj, czy nie ma w pokoju skorpionów. Po tej stronie rzeki jest ich dużo.

- Zapamiętam.

Stała przez chwilę w wejściu do jego klitki, jakby czegoś od niego oczekując. Ale nie miał nic, co mógłby jej ofiarować.

Czego mogła chcieć? Upominka? Zapewne to pełne oczekiwania spojrzenie znaczyło coś innego.

- Spędź ze mną to popołudnie - zaproponował bez namysłu.

Uśmiechnęła się niemal wyzywająco. i

- Kapłanka czeka na mnie. Mam dużo pracy.

- To przyjdź wieczorem. Możesz?

- Tak, mogę - odparła. Zabrzmiało nieprzekonywająco. Poglaskała go po policzku. -

Edward-Davis. Jakie to dziwne imię, Edward-Davis. Czy w twoim kraju wszyscy mają takie dziwne imiona?

- Nawet jeszcze gorsze.

Kiwnęła potakująco głową. Prawdopodobnie zaspokoila swoją ciekawość.

Stojąc w drzwiach patrzył, jak odchodziła zakurzona dróżką. Jej smukłe plecy i pulchne nagie pośladki nagle wydały mu się niezwykle pociągające. Skreśliła jednak, niknąc mu z oczu. Nigdy więcej jej nie zobaczę, pomyślał. Poczuł, jak zapada się niespodziewanie w otchłań samotności i ogarnia go swoiste przerażenie na widok ciemnej, małej nory, która ma być jego nowym domem w tym obcym kraju.

Chciałeś tego, upomniał sam siebie.

Zgłosiłeś się dobrowolnie. Poszukiwanie dwojga pracowników Służby, którzy nie wrócili ze swojej misji, było tylko pretekstem, wymówką. Naprawdę chodziło przecież o to, żeby poznać prawdziwy Egipt. No i masz, chłopie, ten swój prawdziwy Egipt, ciesz się nim teraz!

Zaczął rozważać, co powinien zrobić. Zgłosić się do pracy? Gdzie? Do kogo?

- Rano. Idź z nimi, kiedy będą wychodzili - poinformował go Pewero.

- Z kim?

Ale Pewero stracił już zainteresowanie jego osobą.

Davis wyruszył więc na przechadzkę i odnalazł drogę powrotną w tej plątaninie ulic, jaka tworzyła wioskę, przyglądając się ze zdumieniem panującej wokół nerwowej ruchliwości. Wiedział, oczywiście, że dla Egipcjan śmierć była najważniejszym wydarzeniem w życiu, początkiem prawdziwej egzystencji', długotrwałego pobytu w wieczności. Mimo to zdumiewał go widok tych rzesz ciężko pracujących ludzi, szykujących niewiarygodne ilości trumien, bandaży, sprzętów składanych w grobach, rzeźb. Wyglądało to jak gigantyczna fabryka. Na śmierci robiono w tym kraju doskonały interes. Znajdowało przy niej zatrudnienie kilkanaście różnych rzemiosł. Tylko balsamistów nigdzie nie było widać, podejrzewał jednak, że ich warsztaty musiały być niedaleko. Z pewnością skupieni byli w jednym miejscu, w jakimś spokojniejszym zakątku, ze względu na szacunek wobec ciał, nad którymi się mozolili. Poza wszystkim zmarli byli tu aktywną i wszechobecną częścią populacji. Należało uwzględnić ich wrażliwość.

Doszedł do rzeki i przez chwilę stał na nabrzeżu, wypatrując krokodyli. Wyglądało na to, że ich tu nie ma; widział jedynie długie obrzydliwe ryby. Nieoczekiwanie zaczęło go ogarniać uczucie spokoju. Pomału przyzwyczajał się do upału; przestał też tak ostro słyszeć panujący w mieście hałas. Rzeka, nawet pomimo niskiej wody, była uderzająco piękna;

wielka gładka zielona wstęga ciągnąca się od niewyobrażalnie odległego południa i niknąca spokojnie na niepojętej północy; żywiołowa siła, przecinająca pustynię jakby z nakazu Boga. Ale cuchnęło od niej zgnilizną. Davis ze zdumieniem zauważył w pewnej chwili płynące w odległości jakichś stu metrów od brzegu coś, co bez wątpienia było ciałem martwego człowieka. Tego kogoś nie zmumifikowano, nie miał grobowca, nie przysługiwało mu wieczne życie. Widać musiał to być jakiś żebrak, wyrzutek, ktoś z marginesu społecznego. Jakie więc myśli przeszły mu przez głowę w ostatnim momencie życia, kiedy zdał sobie sprawę, że dla niego śmierć oznacza koniec wszystkiego, a nie - jak dla innych - wspaniały początek?

Pod wpływem promieni słonecznych błotniste brzegi nabrały złocistego odcienia. Ciało odpłynęło z prądem i rzeka ponownie stała się piękna. Kiedy Davis wrócił do swojej siedziby, zastał tam czterech mężczyzn smażących płaty ryby nad paleniskiem na węgiel drzewny. Bez słowa podali mu jego porcję i mały kubek ciepłego skwaśniałego piwa. Był jednym z nich, nowym praktykantem. Może dostrzegli, że wygląda na obcokrajowca i ma dziwny akcent, a może i nie. Nie byli ciekawi. Bo i niby dlaczego mieliby być? Ich życie wiodło donikąd. Zdawali sobie sprawę, że był równie mało ważny, co i oni. Wazni ludzie nie zostawali pomocnikami w Domu Oczyszczania. Kapłanka Nefret, kierując się dobrymi intencjami wobec nieznanego, pogrzebała go w nicości pracy uważanej tu za najczarniejszą. Znosi się na długie trzydzieści dni, pomyślał. W tym wymarzonym, prawdziwym Egipcie.

Ku jego autentycznemu zdziwieniu wkrótce po zapadnięciu zmroku, kiedy siedział, wpatrzony ponuro przed siebie, w drzwiach jego pokoju pojawiła się Eyaseyab.

- Edward-Davisie - powiedziała, uśmiechając się radośnie.

- Ty? Ale...

- Powiedziałam, że wrócę.

A więc przynajmniej tyle na pocieszenie.

W ciągu następnych dni Egipt stał się dlań jeszcze prawdziwszy, a nawet zdecydowanie zanadto prawdziwy.

Pierwszego ranka, tuż po wschodzie słońca wyruszył do pracy w ślad za innymi mieszkańcami jego domu. Szli gęsiego, milcząc, przez gwałtownie budzące się Miasto Zmarłych, obok dzielnicy mieszkalnej i dalej, na skraj pustyni. Trudno było nie dostrzec granicy - żadnej strefy przejściowej, tylko zderzenie dwóch skrajnie różnych światów; żyznej próchnicy i zielonej wegetacji z chłodnym powietrzem znad rzeki z jednej strony, a z drugiej - jałowego piachu, skał i buchającego jak z pieca skwaru królestwa zmarłych, niemal zbijającego z nóg nawet o tak wczesnej porze. Poranny wietrzyk przywiał słony zapach chemikaliów używanych przy balsamowaniu, znacznie ostrzejszy niż ten, który Davis czuł wczoraj wieczorem.

Aż wreszcie zobaczył miejsce, do którego zmierzali. Nie żaden dom, ale szmaciana pseudowioska, rzędy małych namiotów z prześcieradeł przymocowanych do drewnianych szkieletów. Wioska ta, niczym cygańskie obozowisko rozpościerała się na pustynnej równinie mającej zapewne z kilometr długości i jakieś pięćdziesiąt metrów szerokości. W czasie kiedy przyglądał się okolicy, robotnicy zaczęli rozbierać stojący w pobliżu namiot, ukazując znajdujący się wewnątrz warsztat: poplamione i pozwijane szmaty, stosy wilgotnych trocin, rzędy fiolek i buteleczek oraz nie malowanych glinianych słoików, porozwieszane na hakach, przerażające narzędzia, szczątki porzucanych bandaży i - w samym środku - niezgrabny prostokątny stół z czterech wielkich drewnianych kłoców rzeźniczych. Robotnicy starannie sprząтали wszystko, zmiatali do wielkich garnków trociny, na wierzchu upychali szmaty, zbierali narzędzia i chemikalia w jedno miejsce i układali w zgrabnych drewnianych skrzynkach. Davisowi wydawało się, że wie dlaczego. W tym namiocie zakończono już

pracę: zmarły został umieszczony w grobie; szopę, w której jego ciało spoczywało w ciągu siedemdziesięciu dni mumifikacji, rozbierano, a każdy odpadek, szmatkę, włoszek należało starannie zebrać, żeby nie trafiły w ręce jakiegoś wroga zmarłego, który mógłby wykorzystać je do skierowanych przeciw niemu czarów. Wszystkie namioty były jednorazowego użytku. Stawiano je dla określonego klienta i likwidowano, kiedy ten został bezpiecznie odprowadzony do następnego świata.

Davis rozglądał się wokół, pełen zdumienia. Ze wszystkich stron wrzała budząca nabożny podziw praca, której celem było przygotowanie zmarłych do wspnianego życia pośmiertnego.

Oczywiście, uczył się o tym. Przygotowując się do swojej misji studiował wszystkie aspekty życia w Egipcie. Dzień i noc napełniano go hipnogogicznie wiedzą, dostarczano oszałamiające ilości faktów, wtłoczono do pamięci elektroniczną encyklopedię. Wiedział, jak Egipcjanie wyciągali mózg przez nozdrza za pomocą żelaznego haka i wstrzykiwali chemikalia, żeby rozpuścić wszystko, co pozostało. I jak robili nacięcie na lewym boku, przez które wydostawali wnętrzności, składane do grobu w osobnych kamiennych garnkach. Znał metodę czyszczenia i przepłukiwania ciała, przemywania winem palmowym, napychania mirrą, kasją i innymi substancjami aromatycznymi. Następnie wielodniowe leżakowanie w wannach z suchym natronem w celu oczyszczenia zwłok z wszelkich gnijących pozostałości, kiedy to higroskopijna sól wysysała z ciała każdą kroplę wilgoci, pozostawiając je twardym jak drewno. Pokrywanie skóry skorupą żywicznej pasty; wreszcie bandażowanie: owijanie mumii ochronnymi warstwami materiału, setkami metrów cienkiego lnu, staranne omotywanie każdego palca z osobna, nakładanie na paznokcie naporstków utrzymujących je na miejscu, smarowanie maściami, odmawianie modlitw i wypowiadanie magicznych formułek...

A jednak, zobaczyć to wszystko na własne oczy... czuć towarzyszące zapachy...

Ktoś uderzył go w plecy.

- Hej, ty! Ruszaj! Bierz się do roboty! Potknął się i mało brakowało, a byłby upadł.

- Tak... panie...

Praca? Gdzie miał pracować? Co chcieli, żeby robił?

Jak we śnie ruszył w kierunku najbliższego namiotu. Lniane drzwi były zawinięte do tyłu, na wpół otwarte i Davis widział poruszające się w nim postacie. Na wielkim drewnianym stole leżało nagie ciało, twarzą do dołu. Stały nad nim dwie osoby, jak wyjęte z koszmarnego snu: mężczyźni w złotych fartuszkach, z głowami zakrytymi ciemnymi maskami Anubisa - boga o głowie psa, czarnego boga śmierci, ze sterczącymi spiczastymi uszami i lekko wysuniętym pyskiem długości około piętnastu centymetrów. Zapewne byli to sami balsamiści, członkowie tajnego, dziedzicznego cechu. Z boku stał kapłan, monotonicznie odmawiający modlitwy. W namiocie byli też trzej inni mężczyźni, bez masek, ubrani jedynie w przepaski na biodrach, którzy na krótkie, warkliwe polecenia podawali i odbierali narzędzia. Czy przyda się tu praktykant? Wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

- Więcej olejku - zwrócił się do niego natychmiast jeden z mężczyzn w przepasce, wciskając mu do rąk olbrzymi słodko pachnący słoje.

Kiwnął potakująco głową i wycofał się z namiotu, po czym z zakłopotaniem rozejrzał się wokół siebie. Spostrzegł, że nadzorca przygląda mu się gniewnym wzrokiem. Unikając kontaktu z nim odwrócił się więc i ruszył truchtem ścieżką udając, że wie, dokąd powinien iść. Jednak obawiał się pytać o drogę. W każdej chwili mógł zostać rozpoznany jako obcokrajowiec, bezbożny intruz, który nie ma tu czego szukać. Nadzorcy złapią go za kark, zaciągną nad rzekę... i wrzucą do wody, gdzie posłuży krokodylom za śniadanie...

Zbliżał się ku niemu z przeciwka jakiś trzynasto czy czternastolatek uginający się pod

olbrzymim zwojem bandażu. Davis uznał, że ten praktykant nie stwarza zagrożenia. Zajął pozycję na środku ścieżki, celowo blokując przejście. Chłopak spojrzał na niego złym wzrokiem, ruchem głowy sygnalizując, aby się odsunął.

- Potrzebuję olejku - powiedział Davis.

- To sobie go weź - odparł praktykant. -Zagradzasz przejście.

- Jestem nowy. Nie wiem, skąd wziąć olejek.

- Głupiec - odrzekł chłopak z pogardą. - Cedrowy? - spytał nieco łagodniej.

- Tak - przytaknął Davis, mając nadzieję, że się nie myli.

- Tam. - Praktykant kiwnął głową, wskazując na lewo. - A teraz zejdz z drogi.

Davis dostrzegł coś jakby punkt wydziału, gdzie stary, posiwiały mężczyzna, wysuszony jak mumia, nalewał ciemny płyn z glinianej beczki niemal tak wysokiej jak on sam. Stało przed nim kilku robotników. Davis poczekał na swoją kolej i podsunął słój, a starzec napełnił go czerpakiem, tak obficie rozlewając przy tym na boki, że ramiona i klatka piersiowa Davisa zostały całe ochlapane olejkiem.

- Długo ci zeszło - burknął jeden z mężczyzn w namiocie, uwalniając go od ciężaru.

- Przepraszam.

- Napełniaj te tuby, dobrze?

Na podłodze namiotu leżała sterta tub przypominających strzykawki. Przez chwilę Davis zastanawiał się, jak je otworzyć, ale wreszcie znalazł metodę i zaczął napełniać olejkiem, po czym podawał do góry mężczyźnie, który przekazywał je dalej, do rąk balsamistów o głowach Anubisa. Ci zaś wyciskali z nich płyn do wnętrza leżącego na stole ciała, używając do tego celu odbytu zmarłego.

Davis uświadomił sobie, że uczestniczy w mumifikacji prowadzonej metodą oszczędnościową. Nie nacięto zmarłego, nie wyjęto z niego wnętrzności. Po prostu

pompowano go do pełna silnym rozpuszczalnikiem, który wyluguje trzewia. Po napełnieniu zmarły zostanie zaszyty i pokryty natronem, który go wysuszy. W tym czasie olejek będzie działał od środka. Po upływie określonego czasu balsamiści przetną szwy, wypuszczą rozpuszczalnik i poślą nowego Ozyrysa na miejsce jego wiecznego spoczynku. Davis wiedział, że był jeszcze tańszy sposób mumifikowania, przy którym nie używano nawet olejku cedrowego; po prostu okładano ciało natronem na tak długo, aż zupełnie wyschło. Zastanowił się, czy ci, którzy otrzymywali tak skąpe przygotowanie, też mogli liczyć na wieczne życie pozagrobowe i wędrówkę po niebiosach wraz z bogami na łodzi słońca. Bez wątplenia liczyli na to. Rozumiał już, dlaczego Egipcjanie byli tacy pogodni. Jak długo mogli zapewnić swoim ciałom jakiegokolwiek przygotowania do życia, które miało nastąpić, mieli zagwarantowaną faktyczną nieśmiertelność - nie tylko królowie, ale nawet pokorni kupcy, wioślarze, rolnicy. Nie mieli powodów do rozgoryczenia, że pełnią taką czy inną rolę w życiu doczesnym: czekały na nich lepsze czasy, które miały trwać wiecznie.

Pierwszy dzień w nekropolii ciągnął się Davisowi w nieskończoność. Krążył między namiotami, włączając się do pracy wszędzie, gdzie miał wrażenie, że może być przydatny, i robiąc wszystko, co - jak mu się zdawało - chcieli, aby robił. Czuł się tak, jakby śnił w malinie o jelitach i ich smrodzie, o solach i olejach, o ciałach zmarłych, leżących jak mięso na drewnianych stołach. Zdumiało go, że śmierć zebrała tego dnia w Tebach tak obfite plony, ale zaraz uświadomił sobie, że zgromadzone tu ciała nie pochodziły z jednego dnia. Proces mumifikacji trwał kilka miesięcy i były tu ciała we wszystkich stadiach przygotowań, od tych, które dopiero przeszły wstępne oczyszczanie, po takie, które uzyskały już wymagany poziom osuszenia i były gotowe do przeniesienia do miejsca spoczynku na wzgórzach. Kilka razy w ciągu tego dnia przybywali tu nowi zmarli. Przynoszono ich w lektykach, a po obu stronach szli przyjaciele i rodzina, pogrążeni w smutku. Z tyłu postępowała grupa zawodowych

żałobnie, szlochających kobiet o nagich piersiach i rozwichrzonych włosach. Davis pomagał przy stawianiu namiotu dla jednego z nowo przybyłych. Była to najprzyjemniejsza z czynności, które wykonywał tego dnia: szybka, porządna, czysta robota. Późnym popołudniem, kiedy niebo zaczynało już czerwienieć za poszarpanymi szczytami wzgórz, był świadkiem drugiego końca procesu: wyruszenia konduktu żałobnego na cmentarz. Zmarły musiał być kimś znaczącym, gdyż w procesji szli najpierw służący, którzy nieśli rzeźbione w zawiły wzór alabastrowe naczynia, najprawdopodobniej z żywnością i wonnymi olejkami niezbędnymi w przyszłym życiu oraz mężczyźni dźwigający ciężkie, bogato zdobione drewniane skrzynie, zapewne z najwspanialszym odzieniem, cennymi przedmiotami użytkowymi i skarbami, które zabierał ze sobą. Za nimi ciągnięto na saniach cztery słoje z polerowanego kamienia, zawierające zabalsamowane wnętrzności nieboszczyka. Obok szedł kapłan, odmawiając modły. Następnie na kolejnych saniach, połączonych i z hebanowymi płozami jechała mumia w eleganckiej skrzyni na łożu z baldachimem. Towarzyszyło jej czterech następnych kapłanów, a za nimi szli członkowie rodziny i przyjaciele, już bez smutku, za to spokojni i dumni, że biorą udział w tak okazałym pogrzebie. Na samym końcu procesji znowu szło kilkanaście jęczących i bijących się w piersi zawodowych płaczek, a każda z nich rozpaczała tak, jakby odprowadzała własnego męża lub ojca, którego śmierć zabrała jej tego ranka.

Kondukt przeszedł przez wioskę balsamistów i skierował się ku odległej ścianie skalnej, majaczej na horyzoncie po zachodniej stronie. Davis pomyślał, że pogrzeb był tak okazały, iż mogło chodzić co najmniej o wezyra, sędziego lub wysokiej rangi kapłana. A może księcia.

- Czy wiesz, kogo tam niosą? - spytał stojącego obok człowieka

- Myślę, że Mahu. Był nadzorcą królewskich spichlerzy.

- Bogaty?

- Bogaty? Mahu? Nie, nie bardzo. Mahu był na to zbyt uczciwy.

Davis patrzył za oddalającym się konduktem. Jak wspaniale wyglądał ten pochód, oświetlony promieniami zachodzącego słońca! A był to pogrzeb zaledwie urzędnika.

Ciekawe, jak wygląda w takim razie procesja żałobna szlachcica albo króla.

W czasie swojej rozpoznawczej wyprawy do Luksoru widział kilka królewskich grobowców, te oszałamiająco nadrealne katakumby, ozdobione cudownie bogatymi malowidłami przedstawiającymi sceny z Księgi Bram, Księgi Nocy oraz Księgi Podziemia.

Widział też mniejsze, ale radośniejsze grobowce szlachty i wysokich urzędników. Czy grobowiec Mahu dotrwał do czasów współczesnych i został udostępniony archeologom i turystom? Nie miał pojęcia. Pewnie tak, ale nikomu na nim nie zależało. Mahu był uczciwym człowiekiem, a zatem jego grobowiec musiał być skromny w porównaniu do tych, w których spoczywali wielcy panowie.

Tych naprawdę wielkich nie mumifikowano w wulgarnym zgiełku wioski balsamistów. Stawiano dla nich namioty bliżej grobowców, z dala od spojrzeń ciekawskich oczu; byli tam strzeżeni dzień i noc, póki nie zostali bezpiecznie umieszczeni w podziemiach, wraz ze swoim ziemskim majątkiem. Co zresztą nie miało znaczenia na dłuższą metę, ponieważ w końcu i tak wszystkie grobowce zostały splądrowane. Wszystkie - z wyjątkiem małego istotnego Tutanchamona, ale nawet tam włamywano się kilkakrotnie, choć złodzieje pozostawiali większość bogactw. Ale same mumie, przynajmniej niektóre, przetrwały. W kairskim muzeum Davis oglądał twarz Ramzesa Wielkiego, twardą i gniewną. Pomimo dziewięćdziesięciu lat faraon był nadal zdumiony faktem, że umierał; to on bowiem zamierzał pozostać na tronie na zawsze, wiodąc równocześnie żywot doczesny i pozagrobowy.

“Nazywam się Ozymandias, król królów. Patrz na me czyny, o potężny, i rozpaczaj!” Nagle

Davis zadrżał, kiedy uświadomił sobie, że oglądał w muzeum także mumię Amenhotepa III, czyli szczątki tego pulchnego mężczyzny o gładkich policzkach, którego zaledwie dwa dni temu widział wychodzącego ze świątyni Luksor; tego żywego boga, szczęśliwego i cieszącego się dobrym zdrowiem, z koroną na głowie i obwieszono go klejnotami, który niezdarnie wgramolił się na rydwan i odjechał, pozdrawiany przez wielbiących go poddanych okrzykami: “Życie!”, “Zdrowie!”, “Siła!”

Poczuł dreszcze. Pracował w Służbie od pięciu lat, ale wydawało mu się, że dopiero w tej chwili w pełni uświadomił sobie znaczenie tego, że może podróżować w czasie. Wzbudził jego nabożną cześć przywilej, najwyższa godność, jakiej dostąpił mając otwarte przed sobą bramy do przeszłości. Otwarte przed nim!

Chyba nie mam zbyt dużo wyobraźni, pomyślał.

- Ty! Stoisz i gapisz się!

Nie wiadomo skąd pojawił się nagle bat i spadł ze świstem na jego gołe ramiona, kłusząc jak rozgniewana kobra.

Spojrzał za siebie. Nadzorca śmiał się z niego.

- Bierz się do pracy! Myślisz, że kim jesteś? No tak, praca. Musi pozbierać brudne szmaty.

Zakrwawione łachmany, resztki soli, skorupy potłuczonych garnków. Wszedł do jednego z namiotów, w którym tęgi mężczyzna leżał na plecach, wpatrując się pustymi oczodołami w ciemniejące niebo. Jego brzuch przecinała wyraźna linia szwów przytrzymujących wypełniające go mirrę i kasję. Szczeka tęgiego mężczyzny opadła pod wpływem osłupienia, wywołanego śmiercią. Te wszystkie uczty -jakie one mają teraz znaczenie? “Patrz na me czyny, o potężny!” Na stole w sąsiednim namiocie spoczywała kobieta, a właściwie dziewczyna, w wieku może piętnastu czy dwudziestu lat, o małych

piersiach, smukła. Dopiero ją przywieziono; rzemieślnicy z Miasta Zmarłych nie zaczęli jeszcze przy niej pracy. Obok na stole leżała starannie wykonana peruczka z gęstych kruczoczarnych włosów, której używała za życia. Ogolona czaszka zmarłej wyglądała jak porcelanowa. Paznokcie u rąk i u stóp miała pomalowane henną na kolor ciemnoczerwony, a niewidzące oczy otaczała niebieskozielona obwódka. Śliczne ramię obejmowała złota bransoleta - być może nosiła ją od dzieciństwa i nie dało się już jej zdjąć. Nagość tej dziewczyny podziałała na niego niezwykle przygnębiająco. Miał ochotę okryć ją czymś. Ale zamiast tego szybko wyszedł, teraz już ledwie czując odór śmierci i chemikaliów do balsamowania. Na dworze robiło się ciemno; odziani w maski Anubisa balsamiści zakończyli pracę i wrócili do domów. Davis miał obolałe ciało po całym dniu pracy, a wiedział, że ból się będzie nasilał. Był poplamiony olejkami i różnymi wonnymi substancjami. Ramiona piekły go od uderzenia bata nadzorcy. Ma ten swój prawdziwy Egipt! Widziany od środka! Czy może już odejść, czy znowu smagnie go bat? Nie, wszyscy robotnicy już wychodzą. Zbierają się już stróże nocni; jeden z nich spojrzał na niego i machnął głową w bok, mówiąc mu w ten sposób, by się wynosił, wracał do swojej wioski, zakończył dzień pracy. Na obiad znowu dostał pieczoną rybę i skwaśniałe piwo. Później siadł, wpatrzony w nieprawdopodobnie błyszczące gwiazdy na czystym niebie, i zastanawiał się, czy Eyaseyab znowu go odwiedzi. Ale właściwie czemu miałyby to zrobić? Kim był dla niej? Kometą w nocy, przypadkowym gościem, któremu ofiarowała chwilę dobroci. Po pewnym czasie wszedł do swojej parszywej małej norki i położył się na słomie, która służyła mu za łóżko. Muszę wrócić na drugą stronę rzeki, postanowił. Muszę odnaleźć... W połowie myśli zasnął. Sen opadł nań jak bandyta narzucający mu na głowę ciężki kaptur.

Następne cztery dni upłynęły mu bardzo podobnie do pierwszego, na koszmarnej harówce, której towarzyszyło obezwładniające poczucie wyobcowania.

Wiedział, że musi wydostać się stąd, wrócić na drugi brzeg rzeki i rozpocząć poszukiwania dwojga pracowników Służby, których trajektoria zmyliła kierunek i którzy - według obliczeń - znajdowali się gdzieś w pobliżu jego obecnego miejsca pobytu. Przy okazji zaś powinien możliwie jak najdokładniej przyjrzeć się wspaniałym Tebom. Nie miało sensu zapuszczanie korzeni w Mieście Zmarłych. Został tu przysłany po to, by uratować zaginionych Rogera Lehmana i Elaine Sandburg, a także jako swojego rodzaju badacz, przygotowany do obserwowania i zdania relacji o tym mieście, zaliczanym do najwspanialszych w historii starożytności. I choć poznanie wszystkiego, co wiązało się z wioską balsamistów, mogło być dla niego użyteczne, definitywnie nadszedł czas, by zmienić miejsce pobytu. Mieli prawo oczekiwać tego od niego i Sandburg, i Lehman, i Służba. Mimo że zdawał sobie z tego sprawę, dziwna, podobna do transu niechęć do aktywności trzymała go na miejscu. Czuł, że wyczerpanie po podróży właściwie wcale mu nie minęło. Wydawało się, że wrócił do dawnej formy, przezwyciężył przerażający stan oszołomienia i omdleń, znosił nawet całkiem dobrze piekielne upały, a także mógł cały dzień pracować fizycznie, wykonując niekiedy okropne czynności; wiedział jednak, że w gruncie rzeczy to obrzydliwe miejsce wciągnęło go, stało się swoistym azylem pozwalającym na ucieczkę od obowiązków, i nie mógł wykrzesać z siebie energii, by wydostać się stąd i zająć prawdziwą pracą. Czwartej nocy, zupełnie nieoczekiwanie, przyszła do niego Eyaseyab. Stracił już nadzieję, że ją jeszcze zobaczy.

Kiedy zjawiła się na podwórku, ubrana tylko w szal, który miała przerzucony przez ramiona, inni mężczyźni spojrzeli nań z zazdrością, wyraźnym zdumieniem, a nawet

podziwem. Niewolnica ze świątyni, przy tym młoda i ładna, przyszła się z nim zobaczyć! Ten obcy jest więc pewnie nie taki głupi. Albo ma jakieś inne zalety, które nie są oczywiste na pierwszy rzut oka.

Davis też się zastanawiał, dlaczego go odwiedziła, i doszedł do wniosku, że zapewne wydawał się jej elegancki i egzotyczny, wręcz dworski - człowiek o manierach bez porównania lepszych niż obowiązujące w środowisku, do jakiego przynależał. Był dla niej swego rodzaju luksusem.

- Podoba ci się tu? Dobrze sobie radzisz? - spytała leżąc obok niego tej nocy.

- Bardzo dobrze.

- Jeśli będziesz dobrze pracował, awansujesz w Domu Oczyszczania. Może nawet twoje dzieci zostaną balsami stami.

Uniósł dłoń i położył na jej piersi.

- Dzieci? Co za dzieci?

- To oczywiste, że będziesz miał dzieci.

O czym ona mówi? Czy chodzi jej o dzieci, które mu urodzi?

- Nawet gdybym je miał - odparł - jak mogłyby zostać balsamistami? Przecież to cech dziedziczny, prawda?

- Możesz ożenić się z córką balsamisty. Na pewno by cię chcieli. Jesteś bardzo przystojny. I bardzo inteligentny. Córka balsamisty zrobiłaby dobrze, wychodząc za mąż za kogoś takiego, jak ty. Mógłbyś wybrać sobie najlepszą spośród cór Domu Oczyszczania. A wtedy ojciec twojej żony wprowadziłby wasze dzieci do cechu. Jakie to by było dobre dla ciebie i twoich potomków!

- Tak - mruknął bez entuzjazmu.

Rozmowa zesłała na dziwne tory. Wyobraził sobie siebie - siedzącego na czołowym

miejscu przy stole, w roli głowy rodu, otoczonego synami o głowach zasłoniętych małymi maskami Anubisa - poważnie dyskutującego z teściem o szczegółach balsamowania. Jakie by to było dobre, zaiste.

Nagle uświadomił sobie, iż Eyaseyab przypuszczała, że on do końca życia pozostanie w Domu Oczyszczania. Najwyraźniej widziała w tym dla niego szansę świetnej kariery. I oczywiście automatycznie skreśliła siebie jako jego potencjalną partnerkę. Była niewolnicą, a on wolnym człowiekiem, na dodatek przystojnym i inteligentnym. Przeznaczonym nie dla kogoś takiego, jak ona. Zapewne niewolnikom nie wolno było zawierać małżeństw. Stanowił dla niej odmianę, coś nowego, co przeleci przez jej życie jak kometa - tak, to dobre porównanie - i zniknie.

Aby oderwać się od tych myśli, zaczął głaskać pulchną wypukłość jej piersi. Czuł jednak, że przestała pobudzać go erotycznie. Było to ciało, tylko ciało. Nagle stanęła mu przed oczami przerażająca wizja dobrodusznej Eyaseyab leżącej twarzą w dół na drewnianym stole w jednym z namiotów w Domu Oczyszczania. Ale nie, nie zaniecono by tam ciała niewolnicy. Co robiono z niewolnikami? Wrzucano ich do Nilu?

- Rano chcę pojechać na drugi brzeg - powiedział nieoczekiwanie. - Muszę się ponownie zobaczyć z kapłanką Nefret.

- Och, nie. To niemożliwe.

- Możesz mnie wprowadzić do świątyni.

- Kapłanka nie widuje nikogo z zewnątrz.

- Mimo wszystko - poprosił - zrób to dla mnie. Powiesz jej, że to bardzo pilne, że

Edward-Davis ma do niej ważną sprawę. - Pochylił się w ciemności nad Eyaseyab i zaczął kciukiem delikatnie pieścić brodawkę jej piersi, która pod wpływem dotyku ponownie nabrzmiała. - Powiesz jej - mówił dalej cicho - że Edward-Davis jest w rzeczywistości

ambasadorem z obcej ziemi i musi porozmawiać z nią o pewnej niezwykle istotnej kwestii.

Roześmiała się. Zwinnie zmieniła pozycję i wsunęła kolano między jego uda, po czym zaczęła rytmicznie poruszać nim do przodu i do tyłu.

- Mówię poważnie - powiedział.

- Tak, oczywiście. Ale teraz już nie mów, tylko zrób to ze mną. Robisz to tak dobrze.

- Eyaseyab...

- O, właśnie tak.

- Chcę... żebyś porozmawiała... z kapłanką...

- Cii.

- Eyaseyab.

- Tak. Tak. Dobrze. Och, jesteś Amonem! Jesteś Minem! Och, Tak! Tak, Edward-Davisię! Och... jeszcze nie...

Zastanawiał się, czy to też powinien włączyć do swojego raportu?

W Służbie nie składał ślubu czystości. Ale pewne sprawy nie powinny ich obchodzić.

- Jesteś Amonem! Jesteś Minem!

Noc była upalna i ciało Eyaseyab pokryło się potem. Nie wracał już do kwestii wyprawy na drugi brzeg i spotkania z kapłanką. W końcu zasnęli.

Kiedy jednak kilka godzin później usłyszał, że wstała i zbiera swoje rzeczy, wyciągnął w ciemności rękę i złapał ją za kostkę u nogi.

- Poczekaj na mnie - wyszeptał. - Jadę z tobą.

- Nie wolno ci! - robiła wrażenie przestraszonej.

- Muszę się zobaczyć z kapłanką. Wydawała się zakłopotana jego uporczywym naleganiem na zrobienie czegoś, co było niemożliwe.

Ale w końcu ustąpiła: była przecież niewolnicą, przyzwyczajoną do wykonywania

poleceń. Kiedy płynęli po Nilu jednym z wczesnych rannych promów, nadal była spięta i niezadowolona, ale Davis pogłaskał jej miękkie ramiona i wreszcie się uspokoiła. Rzeka o świcie wyglądała cudownie - jak pasmo polerowanych turkusów, wijące się między dwoma płowymi paskami łądu. Dwa małe, wydłużone obłoczki przesuwały się nad zachodnimi wzgórzami, oświetlone pierwszymi promieniami słońca, przypominały płomienie. Białe ibisy obsiadły rosnące wzdłuż brzegu sykomory.

Weszli na teren świątyni boczną bramą, tą samą, którą blisko tydzień temu stąd wyszli. Krzepki ospowaty strażnik skrzywił się groźnie na widok Davisa, ale ten przeszedł obok niego z uniesioną głową, jakby był jednym z pracowników. Na schodach Domu Życia Eyaseyab zatrzymała się.

- Poczekaj tu - powiedziała. - Zobaczę, co da się zrobić.

- Nie. Nie zostawiaj mnie. Zabierz mnie ze sobą... Za późno. Już odeszła. Łaził na zewnątrz budynku,

niespokojnie rozglądając się wokół. Ale nikt nie zwracał uwagi na jego obecność.

Obejrzał dokładnie parę eleganckich kamiennych kobr, z których jedna miała na głowie czerwoną koronę Dolnego Egiptu, a druga białą, południowego królestwa. Czubkiem dużego palca u nogi zaczął kopać w piaszczystej ziemi i odsłonił wspaniałego skarabeusza z niebieskiego fajansu, którego posiadaniem szczyłoby się każde muzeum. Dotykał z zachwytem bezbłędnie wykonanych polichromowanych reliefów, zdobiących ścianę na całej długości: faraon przed bogami, Izyda po jego lewej stronie, Ozyrys po prawej, Thot i Horus z tyłu, głowy ibisa i jastrzębia.

Egipt. Egipt. Egipt.

Przez całe życie marzył, by się tu znaleźć. I oto był.

Tak ważną misję otrzymał o wiele wcześniej, niż wynikało z zasad obowiązujących w

Służbie, a wszystko z powodu Elaine Sandburg i Rogera Lehmana. - Nie jestem pewien, czy mam ochotę wiedzieć, kim się stali - stwierdził Charlie Farhad, wyjaśniając mu, dlaczego on sam nie zgodził się na tę wyprawę. - Przeszłość jest dziwna. Możesz pod jej wpływem sam stać się bardzo dziwny, jeśli pozostaniesz w niej odpowiednio długo.

- Przecież oni są tam tylko półtora roku.

- Niekoniecznie - zaprzeczył Farhad. - I lepiej weź to pod uwagę.

Sandburg i Lehman wyruszyli na dziewięćdziesięciodniowy rekonesans do Rzymu za czasów Tyberiusza. Ale nie stawili się na miejsce w porze powrotu, a analizy pola spektrum wykazały istotne anomalie - co znaczyło, że zostali przerwani zbyt daleko. Wyliczenie, o ile za daleko, zajęło niemal rok. Całe mnóstwo prób algorytmicznych doprowadziło wreszcie do konkluzji, że zamiast wylądować w roku 32 n.e. trafili co najmniej trzynastą wieków wcześniej i w miejsce znacznie oddalone na wschód. Do Egiptu za czasów XVIII Dynastii, jak wynikało z obliczeń.

- Biedny Roger - skomentował Charlie Farhad. - Był tak cholernie dumny ze swojej łaciny. A teraz może ją o dupę potłuc.

Algorytm był jedynie przybliżeniem, a więc i obliczenia jedynie probabilistyczne.

Sandburg i Lehman mogli wylądować w samym środku Nilu albo pojawić się w jakimś niedostępnym zakątku arabskiej pustyni. Linia największego prawdopodobieństwa wskazywała jednak na Teby. Zapewne w 1390 r. p.n.e., ale rozrzut czasowy wynosił plus minusz dziesięć lat. Piekielnie mała szansa odnalezienia ich, nie? Mimo to należało podjąć próbę. Żaden z weteranów skoków w czasie nie chciał jednak w niej uczestniczyć. Był to ich przywilej. Mętnie wspominali o poważnym ryzyku i niezwykle małej szansie sukcesu. A poza tym mieli zaplanowane inne, własne wyprawy.

Davis wysłuchał tego, co mieli do powiedzenia, ale w końcu i tak zgłosił się na

ochotnika. Głupcy pchają się sami itd. Nie znał ani Sandburg, ani Lehmana; w Służbie pracowało bardzo dużo osób, a on stał na jednym z najniższych szczebli. Nie zrobił więc tego z przyjaźni. Podjął się wykonać to zadanie po części dlatego, że oczarował go pomysł zobaczenia Egiptu w czasach największego rozkwitu, a także dlatego, że był jeszcze na tyle młody, by rola bohatera wydawała mu się romantyczna, a jednocześnie użyteczna w dalszej karierze. Był też i inny powód: miał ostatnio różne nieprzyjemne przeżycia: zerwany romans i gorzkie, nieoczekiwane rozstanie, i zgodził się na skok trzydzieści pięć wieków wstecz, niezależnie od ryzyka. Zrobił, co chciał, i oto był tu.

Na szczycie schodów pojawiła się Eyaseyab i przywołała go skinieniem.

- Jest z nią księżę. Ale już niedługo sobie pójdzie. - Księżę?

- Tak, syn faraona. Młody Amenhotep. - Oczy niewolnicy przybrały figlarny wyraz. -

On jest bratem Nefret.

Przez moment Davis poczuł się zaskoczony tą wiadomością. Dopiero po chwili zrozumiał, co to oznacza. To był przecież kraj kazirodzcy: Eyaseyab chciała w ten sposób powiedzieć, że kapłanka i księżę byli kochankami. Poczuł, że po krzyżu przechodzi mu dreszcz emocji: niewolnica mówiła o Amenhotepie IV, przyszłym faraonie Echnatonie, który za kilka lat podejmie próbę obalenia starych bogów Egiptu i wprowadzenia nowego kultu słońca, z jednym tylko bogiem. Echnaton? Czy to możliwe? Zaledwie sto metrów od niego, pieszczący w tej chwili kapłankę Nefret? Davis pokręcił głową ze zdumienia. Zupełnie jak wtedy, kiedy stał na placu i obserwował faraona wychodzącego ze świątyni. Oczekiwał, że otrze się o historię w czasie pobytu tutaj, ale nie sądził, że znajdzie się w samym oku cyklonu. Fakt, że widział tych ludzi osobiście, był niezwykły, ale nie do końca przyjemny. Stykanie się z wielkimi postaciami historycznymi w jakiś sposób obniżało ich znaczenie, przypominało film. Ale przynajmniej był to film dobrze zrobiony. Producent nie szczędził wydatków.

- Czy to on? - spytał.

Oczywiście, że to był on. Dreszcz powrócił, z podwójną siłą. W portyku Domu Życia pojawiła się jakaś postać. Davis zaczął się jej przyglądać. Wyglądała dość szczególnie: smukły młodzieniec w luźnej, fałdzistej szacie z szerokimi rękawami, lamowanymi niebieskimi łukami. Górna połowa jego ciała wydawała się wątpa, ale od pasa w dół faraon był umięśniony, mocno zbudowany, z zarysowanym brzuchem. Długa, wysunięta szczeka, wąska głowa, pełne usta: dziwna, tajemnicza twarz. Trudno było go nie rozpoznać. Zaledwie kilka tygodni temu Davis wpatrywał się zdumiony w cztery gigantyczne posągi Echnatona w Galerii Amarna znajdującej się na samym końcu parteru muzeum w Kairze. A teraz miał przed oczami żywego człowieka.

Był i zniknął Uśmiechnął się do Davisa w niesamowicie dziwny sposób, jakby chciał powiedzieć: "Tak, wiesz kim jestem, ale ja też wiem, kim ty jesteś" i zeszedł szybko tylnymi schodkami z podium świątyni. Widocznie czekała tam na niego lektyka. David obserwował, jak księżę się oddalał,

- I co? - zwrócił się do Eyaseyab, usiłując wyrwać się z transu. - Powiedziałaś kapłance, że tu jestem?

- Tak. Jej odpowiedź brzmi: nie. Nie spotka się z tobą.

- Wróć do niej. Poproś jeszcze raz.

- Wyglądała na niezadowoloną, że tu jesteś. Na bardzo rozgniewaną. Naprawdę bardzo.

- Powiedz jej, że to sprawa życia i śmierci. O

- To nic nie da.

- Powiedz jej. Powiedz, że jestem tu i że to niezwykle ważne, żebym mógł się z nią zobaczyć. Chodzi o życie ludzi, dobrych, niewinnych ludzi. Przypomnij jej, kim jestem.

- Wie, kim jesteś.

- Przypomnij jej. Edward-Davis, człowiek z Ameryki.

- A... mery... ki.

- Tak, z Ameryki.

Ponownie wbiegła na schody. Minęło kilka minut, potem jeszcze parę. Aż wreszcie

Eyaseyab wróciła, zarumieniona, z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, a na jej twarzy malował się wyraz zaskoczenia i bolesnego rozczarowania.

- Nefret spotka się z tobą. - Wiedziałem!

- Musisz być okropnie ważny.

- Tak - zgodził się. - Jestem.

Kapłanka czekała na niego w przedsionku. Jak i poprzednio miała na sobie

przezroczystą suknię, która - w sposób uznany przez niego za typowo egipski - nie kryła

przed wzrokiem ciała; ale tym razem Nefret miała wyraźniejszy makijaż: usta pomalowane

łśniącą rudą szminką, policzki uróżowane na ten sam kolor, wokół oczu czarne obwódki, a

powieki ubarwione na zielono. Była też dość mocno uperfumowana. Piersi zdobił jej złoty

łańcuch, z którego zwieszały się paciorki z karneolu, ametystu i lazurytu. Nadal wyczuwało

się ślady obecności jej królewskiego kochanka. Otoczona tą aurą Nefret wydawała się

wyniosła, wspaniała, doskonała. Jak na kogoś w jej wieku - a musiała mieć już ponad

czterdziestkę - była wyjątkowo ładna chłodną, królewską urodą.

I wyglądała dość niezwykle. Było w niej coś egzotycznego, na co nie zwrócił uwagi

poprzednio, kiedy czuł się zanadto oszołomiony widokiem Egiptu i zbyt chory, by

koncentrować się na szczegółach. Dopiero teraz uświadomił sobie, że prawdopodobnie nie

pochodzi z Egiptu. Jej skóra była o wiele za jasna, a oczy miały zdecydowanie nieegipski

odcień fioletu. Zapewne była Hetytką, Syryjką albo mieszkanką którejś z tajemniczych krain

poza obszarem Morza Śródziemnego. Albo praprababką Heleny Trojańskiej.

Wydawała się dziwnie spięta, jak naciągnięta sprężyna. Jej błyszczące oczy wyrażały... co? Niepokój? Niepewność? Ciekawość? A może i ślad zainteresowania seksualnego? Ale najwyraźniej bardzo się starała kontrolować swoje zachowanie.

- Nieznajomy, człowiek z Ameryki, wrócił - odezwała się. - Wyglądasz już zdrowiej.

Widocznie ciężka praca ci służy.

- Tak - odparł. - Myślę, że tak.

- Eyaseyab twierdzi, że jesteś ambasadorem.

- Można tak powiedzieć.

- Ambasadorowie powinni przybywać na dwór, a nie do świątyni bogini.

- Zgadza się. Ale ja nie mogę tego zrobić. - Ich oczy spotkały się na chwilę. - Nie

mam żadnych listów uwierzytelniających, które umożliwiłyby mi dostanie się na dwór. W całych Tebach jesteś jedyną ważną osobistością, do której mam dostęp. Przyszedłem prosić cię o pomoc. Błagać cię o nią.

- Pomoc? Jakiego rodzaju? Zwilżył wargi.

- Dwoje ludzi z mojego kraju mieszka gdzieś tu, w Tebach. Przybyłem do Egiptu, aby ich odnaleźć.

- Mówisz: dwoje ludzi z Ameryki?

- Tak.

- Mieszka w Tebach?

- Tak.

- Twój znajomi?

- Niezupełnie. Ale muszę ich odnaleźć.

- Musisz?

- Tak.

Pokiwała głową. Przestała patrzeć mu w oczy, wydawało się, jakby wpatrywała się w jakiś punkt za jego lewym policzkiem.

- Kim są ci ludzie? Skąd się tu wzięli?

- No cóż...

- I dlaczego odnalezienie ich jest dla ciebie takie ważne?

- To... długa historia.

- Opowiedz mi. Chcę dowiedzieć się wszystkiego.

Nie miał nic do stracenia. Ale od czego zacząć? Przez moment wahał się, a potem słowa same zaczęły cisnąć mu się na usta. Wyznał jej wszystko. Mój kraj, mówił, jest tak daleko, że nie byłabyś w stanie sobie tego wyobrazić. Jest tam Służba - rodzaj kapłaństwa, myśl o rym w ten sposób - która wysyła swoich emisariuszy do odległych państw. Jakiś czas temu wysłano dwoje, mężczyznę i kobietę, do miejsca zwanego Rzymem - Rzym jest bardzo odległy, niemal tak samo, jak mój kraj - ale zagubili się w czasie podróży, pojechali za daleko, aż do ziemi nad Nilem, i od tego czasu nie było od nich żadnych wiadomości...

Wsluchiwał się we własne słowa, zdając sobie sprawę, że mówi już ponad pół godziny. Na niej zapewne robiło to wrażenie zupełnego nonsensu. Zauważył malujący się na jej twarzy wyraz jakby irytacji, niedowierzania czy nawet szoku, ale równie dobrze mogło to być tylko zdumienie. Wreszcie powiedział jej wszystko i zamilkł. A jej twarz napięła się, wyglądała jak maska.

Ku jego zdumieniu niespodziewanie maska opadła. Zobaczył łzy, które nieoczekiwanie pojawiły się jej w oczach i zaczęły spływać, pozostawiając na policzkach ciemne smugi z rozpuszczonej farbki.

Drżała na całym ciele. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, nerwowo krążyła po

kamiennej posadzce.

Co on takiego powiedział, co zrobił?

Odwróciła się i popatrzyła na niego z odległego krańca pokoju. Nawet z tej odległości widział jej wzburzenie. Nerwowe drżenie policzków, ust, poruszenia grdyki.

Starła się coś powiedzieć, ale nie była w stanie.

W końcu się przemogła.

- Jak nazywają się ci ludzie, których poszukujesz?

- Nie zrozumiesz.

- Powiedz.

- To amerykańskie imiona. Nie używają ich, jeśli tu mieszkają.

- Podaj mi ich imiona.

Wzruszył ramionami.

- Jedno z nich nazywa się Elaine Sandburg. A drugie - Roger Lehman.

Przez długą chwilę panowała cisza. Kapłanka zwilżyła usta; jej język wykonał szybki, węzowaty ruch. Jeszcze raz zaczęła coś bezgłośnie mówić. Gwałtownie krążyła po pokoju.

Widać było, że szarpia ją jakieś niezwykle silne uczucia; ale jakie? Co się stało? Czemu dwa obce nazwiska wywołały u niej tak silną reakcję? Czekał, zastanawiając się, o co chodzi.

- Chyba jestem szalona, że ci to mówię - powiedziała w końcu niskim, chrapliwym głosem, który z trudem rozpoznał jako jej własny. Był tym bardziej zdumiony, że mówiła po angielsku. - Ale nie potrafię już dłużej cię okłamywać. Odnalazłeś jedną z osób, których szukasz. Jestem Elaine Sandburg.

- To ty?

- Tak.

Absolutnie nie spodziewał się czegoś takiego. Przed oczami zawirowały mu mroczki.

Poczuł odrętwienie szokiem, oszołomienie.

- Ale to niemożliwe - powiedział bezmyślnie. - Ona ma zaledwie trzydzieści dwa lata.

- Twarz pokrył mu rumieniec wstydu. - A ty masz co najmniej...

Nie dokończył, zawstydzony.

- Jestem tu już prawie piętnaście lat - powiedziała.

Musiała mówić prawdę. Nie było innej możliwości. Rozmawiali po angielsku; znała nazwisko Elaine Sandburg. Kim innym mogła być, jeśli nie kobietą, którą przyjechał odnaleźć? Ale musiał stoczyć ze sobą walkę wewnętrzną, żeby w to uwierzyć. Zmyliła go; robiła wrażenie osoby należącej do tych czasów. Wbił sobie w pamięć zdjęcia Elaine Sandburg, przedstawiające ją pod każdym kątem, ale nigdy nie rozpoznałby tej kobiety jako Sandburg, za nic w świecie. Jej twarz zmieniła się: czas znacznie wyostrzył jej rysy, wydłużył owal.

Brązowe wijące się loki zapewne dawno temu zostały zgolone i zastąpiła je tradycyjna czarna egipska peruczka, jaką noszą tu kobiety z wyższych sfer. Brwi miała wyskubane. I te dziwne klejnoty, przezroczyste stroje. Usta i policzki umalowane na egipski sposób.

Wszystko to maskowało jej tożsamość; całkowicie przemieniła się w Egipcjanę. Ale to była ona. Bez wątplenia. Tą służącą Izydzie kapłanką była Elaine Sandburg. To ona dała mu przymilną Eyaseyab do zabawy. I poleciła dziewczynie wywieźć go na drugi brzeg, do Miasta Zmarłych; zagubić go tam. Nagle poczuł przyływ wściekłości.

- Naigrywałaś się ze mnie poprzednim razem! Udawałaś, że nie miałaś pojęcia, skąd jestem. Pytałaś, gdzie jest Ameryka, czy dalej niż Syria.

- Tak, myślę, że zabawiłam się twoim kosztem. Masz o to żal?

- Wiedziałaś, że jestem z naszych czasów. Mogłaś mi powiedzieć, kim jesteś.

- Mogłam, gdybym chciała. I Zaintrygowała go.

- A czemu miałabyś chcieć to ukrywać? Przecież z pewnością domyśliłaś się, że jestem ze Służby.

Czemu się nie ujawniłaś? Czemu, na miłość boską, < posłałaś mnie na drugą stronę rzeki i umieściłaś wśród balsamistów?

- Miałam swoje powody.

- Ale ja przybyłem tu, żeby ci pomóc.

- Naprawdę?

- I gdzie on teraz jest? - spytał Lehman.

- W jednym z magazynów świątyni. Pod strażą.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego mu powiedziałaś. Po tym, jak zmieszałaś mnie z błotem w zeszłym tygodniu, kiedy sugerowałem, żeby się przyznać. W ciągu tygodnia zrobiłaś zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Dlaczego? Wytlumacz mi dlaczego?

Sandburg spojrzała na niego. Była wściekła - na siebie, na Lehmana, na tego nieszczęśliwego chłopaka, którego Służba tu przysłała. Przede wszystkim jednak na siebie. Ale pomimo tej wściekłości czuła, że zaczyna sobie wybaczać.

- Początkowo myśleliśmy, że jest tu po prostu na samodzielnej wyprawie badawczej, pamiętasz? A kiedy powiedział mi, że w rzeczywistości przybył tu w poszukiwaniu nas... że przyjechał nas ratować...

- Nawet jeśli. A raczej: zwłaszcza jeśli w tym celu. Pamiętasz, co mówiłaś w ubiegłym tygodniu? Chciałaś, aby zostawili cię w spokoju i abyś mogła przeżyć swoje życie. Swoje życie w Egipcie za XVIII Dynastii. Twierdziłaś, że właśnie dlatego nie możemy powiedzieć mu ani słowa. A jednak zrobiłaś to.

- To był impuls. Nie mogłam się powstrzymać. Zdarzyło ci się kiedykolwiek coś takiego, Rogerze? Taki impuls?

- Nie nazywaj mnie Rogerem. Nie tu. Nazywam się Senmut-Ptah. I mów po egipsku.

- Przestań być takim dupkiem, dobrze?

- Jestem Egipcjaninem. Oboje jesteśmy teraz Egipcjanami.

Znajdowali się w jego obserwatorium astronomicznym, w małym nakrytym kopułą budynku, stojącym za najstarszym przybytkiem świątyni Karnak. Chłodny blask gwiazd wpadał przez otwór w dachu i rysował wzory na ceglanej posadzce. Na granatowym

sklepieniu sufitu wymalowana była fantastycznie rozciągnięta naga postać Nut, bogini nieba. Sięgała od jednego krańca do drugiego, a jej wielometrowe pajęczne ręce i nogi rozciągały się nad pokrytym gwiazdami Kosmosem. Bóg Ziemi, Szu, podpierał od dołu jej wygiętą w łuk sylwetkę, a obok niego stały baraniogłowe wyobrażenia boga Churn, z pełnym zadowolenia uśmiechem na obliczach.

Każde wolne miejsce we fresku wypełniały rzędy hieroglifów, w których zawarto istotne tezy tajemnej wiedzy kosmologicznej.

- Staralam się być Egipcjanką najlepiej, jak potrafiłam - wyjaśniała Sandburg. - Ale on tak rzetelnie mówił o Słudzie, pocąc się z wysiłku, usiłując wyjaśnić kapłance Izydy, gdzie jest Ameryka i Rzym, i jak to się stało, że dwoje ludzi z tej jego Służby minęło swój cel i zniknęło gdzieś w głębiach czasu - to znaczy nie tak, on nie próbował mi powiedzieć, że to była podróż w czasie, stosował po prostu analogie geograficzne - i w pewnej chwili nie mogłam już wytrzymać. Nie potrafiłam stać przed nim udając, że jestem jakąś zasraną starożytną kapłanką Izydy, wyniosłą, ezoteryczną i tajemniczą, kiedy ten dzieciak - dzieciak, który przebył trzy i pół tysiąca lat, żeby nas odnaleźć, i którego posłałam do Miasta Zmarłych, żeby marynował trupie flaki, ponieważ chcieliśmy się go pozbyć - błagał mnie o pomoc w odnalezieniu ciebie i mnie. Przybył jako nasz wybawiciel, a ja potraktowałam go jak gówniarza. Naigrawałam się z niego, zmuszając do wyczerpujących i zupełnie zbędnych wyjaśnień. Nie potrafiłam już dłużej. I po prostu wyrzuciłam z siebie całą prawdę.

- Pod wpływem impulsu.

- Tak. Zwykłego, irracjonalnego impulsu. Tobie się to nigdy nie zdarza, prawda? Nie, oczywiście, że nie. Kogo ja o to pytam? Roberta Lehmana, komputer w ludzkiej skórze. To naturalne, że ty nie miewasz takich pokus.

- To nieprawda i doskonale o tym wiesz. Lubisz myśleć o mnie jako jakiś androidzie,

mechanicznym człowieku, ale w gruncie rzeczy jestem dokładnie tak samo ludzki jak i ty, a może nawet trochę bardziej. - W zdenerwowaniu złapał jeden ze swoich przyrządów astronomicznych, mały błyszczący dysk armilarny, ozdobiony na środku wizerunkiem hipopotama z rozdziawioną szczęką, i zaczął przesuwać wzdłuż jego krawędzi długimi, zwężającymi się ku paznokciom palcami. - Pamiętaj, że to ja na początku chciałem z nim porozmawiać, przynajmniej po to, żeby dowiedzieć się co słyhać. Twierdziłaś, że nie należy tego robić, i miałaś rację. A teraz właśnie to zrobiłaś. Pod wpływem impulsu. Rany boskie, i m-p u l s u! Ja też miewam impulsy. Ale nawet wtedy zachowuję tyle rozsądku, żeby nie skakać z okna z trzeciego piętra tylko dlatego, że akurat w tym momencie znajduję się na tej wysokości. I wystarczająco dużo, żeby nie mówić akurat tego, czego nie powinienem, właśnie temu komuś, kto nie powinien tego wiedzieć.

- Gdybym naprawdę uważała, że to może zaszkodzić...

- A tak nie uważasz?

- On jest tu sam. Trzymam go pod kluczem. Nie może nas zmusić do zrobienia niczego, na co nie mamy ochoty. W pełni kontrolujemy sytuację”. Naprawdę.

- Zapewne - niechętnie potwierdził Lehman. Krążył po pokoju, dotykając swoich map i przyrządów. Pogłaskał dłonią kawałki złota i lazurytu osadzone w ścianie. Wziął trzy długie ściśle rolki świętego papiirusu, których używał do swoich przepowiedni, i pieczołowicie położył je z powrotem tuż obok. - Jak myślisz, w jaki sposób udało im się nas odnaleźć?

- Skąd mogę wiedzieć? Myślę, że dzięki komputerom. Zapewne robili kalkulacje prawdopodobnych trajektorii. Może zgadli. Albo podjęli wiele takich prób. Wiesz, jak się przejmują, kiedy któraś wyprawa zaginie. Zapewne więc i tym razem zajeżdżali komputery, póki nie określili hipotetycznego miejsca, w którym mogliśmy wylądować. I wysłali tego dzieciaka, żeby sprawdził.

- I co będzie teraz?

- Pójdziemy z nim porozmawiać. Oboje.

- Dlaczego?

- Ponieważ uważam, że jesteście mu winni wyjaśnienia. Nie ma sensu dłużej udawać, prawda?

Jest tutaj, wie, że ja tu jestem, i prawdopodobnie domyślił się, że ty też musisz tutaj być. On jest ze Służby, Rogerze. Teraz już nie możemy tak po prostu go zignorować. Musimy mu wytłumaczyć, jak trzeba rozwiązać ten problem.

- Nie zgadzam się. Myślę, że najlepiej, jeśli będziemy trzymać się od niego z daleka. A przede wszystkim żałuję, że mu powiedziałas.

- Za późno. Już mu powiedziałam. Zresztą zapewne ma nowiny o ludziach, których znaliśmy w naszych czasach. A może przywiózł nawet od nich jakieś wiadomości.

- I to mnie właśnie martwi.

- Nie chcesz się dowiedzieć o... Lehman spojrzał na nią z wściekłością.

- Elaine, ci ludzie żyją w przyszłości, od której dzieli nas trzydzieści pięć wieków. I chcę, żeby tam pozostali. - W jego głosie zabrzmiała rozpaczliwa nuta.

- W ubiegłym tygodniu aż się trząsałeś, żeby posłuchać plotek.

- To było w ubiegłym tygodniu. Miałem cały tydzień na myślenie. Nie chcę na nowo rozgrzebywać starych spraw. Lepiej, żeby wszystko pozostało tak, jak jest. I żebyśmy my pozostali tu, gdzie jesteśmy. Nie zamierzam się z nim spotkać.

Drżała mu dolna warga. Elaine pomyślała, że Lehman wygląda tak, jakby się bał.

Gdzie podział się Senmut-Ptah o kamiennej twarzy?

- Nie możemy go tak po prostu zignorować. Nie możemy. Musimy mu przynajmniej dać szansę porozmawiania z nami.

- Dlaczego? Nie jesteśmy mu nic winni.

- Rogerze, na litość boską. To przecież żywy człowiek. Przyjechał tu, żeby nam pomóc.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale...

- Nie ma żadnego "ale". Chodź ze mną. I to już. Pożałujesz, jeśli nie pójdziesz.

Zobaczysz.

- Jesteś okropna.

- Tak, wiem o tym. Posłuchaj. Pamiętasz, jak się czuliśmy zaraz po wylądowaniu?

Bezradni, zaskoczeni, beznadziejnie zagubieni w czasie, ubrani jak para Rzymian o piętnaście stuleci w niewłaściwym miejscu, niezdolni do czytania czy pisania po egipsku, nie znający słowa w tym języku, nie mający o nim zielonego pojęcia, wiedzący o tej cywilizacji raptem tyle, ile nauczyliśmy się w szkole średniej? Przypominasz sobie? Zastanawialiśmy się, jak u licha mamy sobie radę. Czy pamiętasz, jakie to było przerażające?

- A jednak przetrwaliśmy. Dokonaliśmy nawet o wiele więcej.

- Bo byliśmy dobrzy. Umieliśmy się przystosować, byliśmy obrotni i sprytni. A mimo to nim zapanowaliśmy nad sytuacją, przeżyliśmy dwa koszmarne lata. Pamiętasz? Boja tak. Życie prostytutki w świątyni? Ty przynajmniej nie musiałeś tego robić, ale też dostałeś za swoje, i to nie raz.

- I co z tego? Co to ma wspólnego z...

- Ten dzieciak jest tu teraz i pod pewnymi względami przeżywa to samo co my wówczas. A jedynych dwoje ludzi na tym świecie, z którymi ma coś wspólnego, odwraca się do niego plecami. Nienawidzę tego.

- Coś ty, zakochałaś się w nim, czy co?

- Jest mi go żal.

- Nie prosiliśmy go, żeby tu przyjeżdżał.

- To było podłe z mojej strony, że go po prostu wyrzuciłam na bruk, zmuszając do pracy w Mieście Zmarłych. Podłością będzie też powiedzenie mu, że marnował swój czas przyjeżdżając tu, ponieważ my wcale nie chcemy, żeby nas ratował; że mu ślicznie dziękujemy, ale nas to nie interesuje. Jakbyś się czuł, gdybyś przyjechał jako wybawiciel i dowiedział się czegoś takiego? - Pokiwała głową stanowczo. -Musimy z nim porozmawiać.

- Nagle stałaś się taka wrażliwa. Zdziwiasz mnie.

- Naprawdę? A ja myślałam, że to ty masz miękkie serce, tylko wstydliwie ukrywasz je pod maską surowości.

- Kto by pomyślał, że jesteś taka spostrzegawcza. Ale ja nadal nie mam ochoty się z nim zobaczyć.

- Dlaczego?

- Bo nie.

Podeszła do niego bliżej.

- Musimy. Nie ma wyjścia.

- Cóż...

- Czy ty myślisz, że on jest jakimś czarodziejem? Hipnotyzerem? To zwykły dzieciak, a poza tym trzymamy go pod kluczem. Nie może zrobić nic, na co mu nie pozwolimy. Chodź ze mną.

- Nie.

- Chodź, Rogerze.

- Hm...

- Chodź. Teraz.

Wyprowadziła go, nadal stawiającego opór, z budynku i pociągnęła za sobą obok

świątyni Amenhotepa II, pylonów Totmesa I i Totmesa III, aleją sfinksów o baranich głowach do Okręgu Mut. Magazyn, w którym kazała zamknąć Davisa, mieścił się częściowo pod ziemią - była to chłodna krypta o nierównych surowych ścianach, niewiele różniąca się od lochu. Kiedy weszli, Davis siedział skulony na pokrytej słomą podłodze, obok rozbitego posągu z różowego granitu, przedstawiającego jakiegoś zapomnianego króla, ciśniętego do tego pomieszczenia dwieście, trzysta, a może nawet pięćset lat temu. Egipcjanie nigdy niczego nie wyrzucają.

Spojrzał wściekle na kapłankę.

- To jest Roger Lehman - powiedziała. - Rogerze, chciałabym, abyś poznał Edwarda Davisa.

- Najwyższy czas - burknął Davis.

Lehman niepewnie wyciągnął ku niemu rękę. Davis zignorował ją.

- Wyglądasz o wiele starszej niż oczekiwałem - powiedział. - Nigdy bym cię nie rozpoznał. Zwłaszcza w tym idiotycznym przebraniu.

- Dziękuję.

- Spodziewałeś się, że będę uprzejmy? - zapytał Davis z goryczą. - Dlaczego?

Zgotowaliście mi tu cholernie miłe powitanie. Myślicie, że to było zabawne, spadać przez trzy i pół tysiąca lat? Zapomnieliście już, jak to jest? A co mnie potem spotkało, kiedy się już tu znalazłem? Najpierw wysłała mnie na drugi brzeg, żebym był praktykantem u balsamisty, a potem, kiedy wróciłem, wsadziła mnie do tej nory. Kim ja jestem, waszym wrogiem? Czy nie zdajecie sobie sprawy z tego, głupie małpy, że jestem tu po to, cholera, żeby was ratować?

- Jest mnóstwo rzeczy, których nie rozumiesz: - powiedziała Sandburg.

- Jasne, że jest. Cholernie chciałbym, żebyście mi je wyjaśnili...

- Poczekaj - odezwał się Lehman. Sandburg spojrzała na niego z irytacją i zaczęła coś

mówić, ale Lehman uniósł dłoń, sygnalizując, żeby zamilkła. - Powiedz nam najpierw - zwrócił się do Davisa - o tym planie ratowania nas. Jakie są ustalenia?

- Wysłano mnie z trzydziestodniową misją. Nie potrzeba mi aż trzydziestu dni, skoro tak szybko was odnalazłem, ale i tak musimy poczekać, jasne? Trzydziestego dnia zrzucą pole temporalne w alejce na północ od Świątyni Luksor. W tym samym miejscu, gdzie wylądowałem. Jest tam na murze napis rzucający przekleństwo na handlarza winem, co orznął któregoś ze swoich klientów. Pole pojawi się punktualnie o dwunastej w południe; naturalnie będziemy jednak czekać kilka godzin wcześniej. Rozbłyśnie tęcza, w trójkę wejdziemy do jej środka i w drogę. Mgnienie oka i jesteśmy w domu. Nie macie pojęcia, jak oni tyrali, starając się was zlokalizować.

- Nie śpieszyli się zanadto - skomentował Lehman. - Mówiła ci Elaine, że jesteśmy tu już piętnaście lat?

- W naszej linii czasu zaginęliście półtora roku temu. I przez cały ten czas nieustannie prowadzono obliczenia. Przykro mi, że nie byliśmy w stanie lepiej dopasować punktów przemieszczenia, ale musicie zrozumieć, że wysłanie mnie tu, w ten właśnie rok, było próbą w ciemno. Musieliśmy zdecydować się na coś w granicach prawdopodobieństwa rozciągających się na przestrzeni dwudziestu lat.

- Jestem pewna, że zrobili wszystko, co było w ich mocy - powiedziała Sandburg. - I ty też. Doceniamy fakt, że tu przybyłeś.

- To dlaczego posłałaś mnie... Uniosła dłoń.

- Nie rozumiesz sytuacji, Edwardzie.

- Żebyś wiedziała, że nie rozumiem!

- Są pewne sprawy, które musimy ci wyjaśnić. Widzisz, otóż my właściwie...

- Poczekaj, Elaine - ostro przerwał jej Lehman.

- Rogerja...

- Poczekaj. - Znowu mówił jak kapłan, swoim kamiennym głosem Senmut-Ptaha.

Sandburg spojrzała na niego ze zdumieniem. Miał wypieki na policzkach i dziwnie błyszczące oczy.

- Zanim mu cokolwiek powiesz - oświadczył - musimy chwilę porozmawiać, Elaine.

W cztery oczy.

- O czym? - spytała, patrząc na niego bez wyrazu.

- Wyjdźmy na chwilę, to ci powiem.

- O co ci u diabła chodzi?

- Wyjdźmy - upierał się Lehman. - Chcę, żebyś ze mną wyszła.

Rzuciła mu spojrzenie, próbując odgadnąć jego intencje. Ale wyraz twarzy Lehmana był nieodgadniony.

- Jak sobie życzysz, Senmut-Ptahu.

Stali w cieniu ogrodu Okręgu Mut. W oddali migotały pochodnie. Gdzieś daleko stąd kapłani Amona odprawiali wieczorne modły. Z przeciwnego kierunku dochodził ochryply śpiew rybaków nad rzeką.

Lehman, wysoki i kościsty, stał wyprostowany. Na jego twarzy malowało się napięcie, które przybrało ten sam obcy wyraz co tydzień temu, gdy Elaine powiedziała mu o przybyciu do Teb pracownika Służby.

- No? - spytała, zapewne nieco zbyt napastliwie.

- Daj mi pomyśleć, jak mam to wyrazić.

- Wyrazić? Co?

Wykonał pełen rozpaczy gest.

- Poczekaj, dobrze? Daj mi pomyśleć.

- No to myśl sobie.

Krążyła wokół niego, dając w ten sposób upust irytacji. Na pylonie odległej świątyni pojawiła się jakaś niewyraźna postać i bez pośpiechu zaczęła zbierać chorągiewki. Jakiś ciemnoskrzydły ptak nocny przeleciał tuż nad ich głowami, wywołując lekki ruch ciepłego powietrza.

- Otóż chcę ci powiedzieć, Elaine - odezwał się w końcu Lehman, cedząc słowa tak, jakby każde kosztowało go majątek - że jestem na wpół zdecydowany wrócić z nim. Więcej niż na wpół.

- Ty sukinsynu!

Wyglądał na stropionego i zakłopotanego.

- Już rozumiesz, dlaczego mówiłem ci, że nie chcę się z nim spotkać? W ubiegłym tygodniu sarna wspominałaś o ryzyku, jakie wiąże się z rozmową z nim; o tym, że może

rozbudzić w nas stare wspomnienia. No i rozbudziła. - Dotknął dłonią czoła. - Gdybyś wiedziała, jak wszystko kotłowało się we mnie, odkąd się tu zjawił. Dzień w dzień było coraz gorzej. Trzeba było po prostu trzymać się od niego z daleka, tak jak to planowaliśmy, na wypadek gdyby ktokolwiek się tutaj zjawił. Ale nie. Nie! Stało się wystarczająco źle, że natychmiast po przyjeździe napatoczył się na ciebie. Mimo to mogłaś trzymać język za zębami. Ale ty musiałaś mu wszystko wygadać, nie? A teraz... teraz... - Spojrzał na nią z gniewem. - Wahałem się już wtedy, w zeszłym tygodniu.

- Wiem. Widziałam. I rozmawialiśmy o tym.

- Wtedy byłem jeszcze w stanie zrezygnować z tego pomysłu. Ale teraz...

- Wystarczyło, że go zobaczyłeś, i natychmiast zachciało ci się wracać? Dlaczego, Rogerze? Dlaczego?

Przez długą chwilę nie odpowiadał. Obutą w sandał stopą rysował coś na ziemi. Skądś wyłonił się niespodziewanie młody kapłan uginający się pod ciężarem złoconej, zdobionej klejnotami podobizny kobry, wyższej niż on sam, i połykając się szedł w stronę Lehmana, jakby chciał zadać mu jakieś pytania na temat niesionego przez siebie skarbu. Lehman odesłał go krótkim, pełnym wściekłości gestem. A potem zaczął mówić cicho, prawie niesłyszalnie:

- Ponieważ zaczynam myśleć, że zapewne powinniśmy. Dobrze się tu urządziliśmy, jasne. Tylko jak długo będzie trwało to nasze szczęście? Pomyśl choćby o zdrowiu. Nie chodzi mi o te egzotyczne choroby, na jakie oni tu zapadają; zakładam, że nasza immunizacja nadal będzie skuteczna. Myślę o zwykłym starzeniu się. Powinniśmy pamiętać, że jest to pod wieloma względami kraj prymitywny, zwłaszcza jeśli chodzi o medycynę. A my zaczynamy się starzeć. Jak sobie poradzimy, kiedy zaczną się problemy ze zdrowiem - wszystko jedno, małe, większe czy całkiem zwyczajne? Czy chciałabyś, żeby twoje problemy w czasie menopauzy leczył ktoś proszkiem ze skarabeusza, nalewką na gęsim łajnie i modłami do

Thota?

- Jak dotąd radzę sobie zupełnie nieźle.

- A jeśli zrobi ci się guz w piersi?

- Mają tu chirurgów. To nieprawda, że leczą wyłącznie gęsim łajnem i sproszkowanymi chrząszczami. Rogerze, skąd ten nagły przypływ hipochondrii?

- Po prostu patrzę realistycznie.

- Ja także. I nie wiem, o co się martwisz. Jest to czyste, zdrowe miejsce, oczywiście jeśli należysz do klasy uprzywilejowanej - a my do niej należymy. Przez cały pobyt tutaj nie chorowaliśmy, teraz też jesteśmy w doskonałej formie. Nic nie wskazuje na to, żebyśmy mieli w przyszłości jakieś poważne problemy ze zdrowiem, a potem - zrobią z nas naprawdę piękne mumie. Czy masz jakieś inne powody, żeby wracać do domu?

- Nie wiem. Tęsknota? Ciekawość tego, co tam się dzieje? A może po prostu mam dość Egiptu.

- Przykro mi to słyszeć. Ja nie mam.

- I chcesz zostać?

- Naturalnie. Nie zmieniłam zdania. Rogerze, ja naprawdę chcę tu być. Wolę to miejsce i te czasy. Żyję dobrze, w niesłychanie fascynującym okresie historii, jestem obsługiwana i nie muszę się borykać z żadnym z tych zaskaranych problemów, jakie miałam w świecie współczesnym. Podoba mi się tutaj. Myślałam, że tobie też.

- Podobało. I podoba. Pod wieloma względami. Ale...

- Ale teraz chcesz wracać do domu.

- Może.

- To jedź - powiedziała z urazą. - Jeśli wydaje ci się, że właśnie tego chcesz.

- Bez ciebie?

- Tak.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Elaine, mówisz poważnie?

- Jeśli spytają, gdzie jestem, po prostu nic im nie mów. Nie wiesz, co się ze mną stało, kiedy przelecieliśmy poza Rzym. Wyszedłeś z pola temporalnego i odkryłeś, że wcale nie znalazłeś się w Rzymie, że trafiłeś do Teb i zostałeś tu, starając się jakoś przeżyć, póki ten Davis nie przybył i nie zabrał cię z powrotem.

- Nie mogłbym tego zrobić. Wiesz, jak wyglądają ich przesłuchania. A poza tym on by im powiedział.

- Nawet gdybyśmy go poprosili, żeby tego nie robił?

- Czemu miałby kłamać na twoją prośbę?

- Może by to zrobił, gdybym go bardzo ładnie poprosiła. A może i nie. Zresztą i tak powiedziałeś, że ty byś mnie wydał.

- Musiałbym. Czy chciałbym tego, czy nie.

- W takim razie nie chcę, Rogerze, żebyś wracał - powiedziała cicho, zimnym głosem.

- Ale...

- Nie. Nie pozwolę ci tego zrobić.

- Nie pozwolisz mi? Ty?

- Tak. Skoro miałbyś mnie wydać; a widzę wyraźnie, że zrobiłbyś to. A więc nie zamierzam pozwolić ci stąd wyjechać.

- A jak chcesz mnie powstrzymać?

Wyciągnęła rękę i dotknęła ją delikatnie kościstego nadgarstka Lehmana. Zaczęła delikatnie masować jego skórę opuszkami palców.

- Może wyraziłam to zbyt stanowczo - powiedziała ciepło. - Wiesz, że nie mogłabym

cię powstrzymać, gdybyś naprawdę był zdecydowany wracać. Ale ja nie chcę, żebyś wyjeżdżał. Proszę, Rogerze. Tak bardzo proszę. Pragnę, żebyś był ze mną. Nie chcę zostać tu zupełnie sama.

- To jedź ze mną.

- Nie. Nie pojedę. - Przysunęła się blisko. - Nie odjeżdżaj, Rogerze.

Popatrzył na nią w odrętwieniu.

- Mogłoby nam być cudownie ze sobą - powiedziała, uśmiechając się do niego. -

Kiedyś nam było. I może znowu. Zobaczysz, obiecuję ci to. Postaram się, żeby było nam tak jak kiedyś, na samym początku.

- Myślisz, że to możliwe? Teraz? - Popatrzył na nią sceptycznie.

- Obiecuję. Tylko zostań. Nie masz po co wracać. Tęsknisz? Za czym? Chcesz wrócić do Służby? Skakać tam, gdzie ci każą? Dać im wysyłać się w najróżniejsze dziwne miejsca?

Chwała, jaką się zyskuje dzięki Służbie Czasu! Jaka chwała? Przecież to jest tylko zwykła praca, na dodatek cholernie ciężka. Chyba już nie masz na nią ochoty, Rogerze, prawda?

Może zresztą skierowaliby cię do pracy urzędniczej. I dostałbyś miłe, małe jednopokojowe mieszkanie z widokiem na Potomac, a za dziesięć lat, uzyskawszy uprawnienia emerytalne,

mógłbyś się przenieść do Arizony, gdzie siedziałbyś na ganku i aż do późnej starości

obserwował, jak rośnie kaktus. O, nie! Posłuchaj mnie: chcesz tu zostać. To jest miejsce

odpowiednie dla nas. Mówiłeś to miliony razy. Tu naprawdę żyjesz, i to cholernie dobrze.

Twoja posiadłość, twoi niewolnicy, twój rydwan, twoje obserwatorium, twoje... to wszystko jest twoje. Wcale nie chcesz wrócić tam i znowu być Rogerem Lehmanem. Nie masz tam nic

do roboty. Wolisz być Senmut-Ptahem. Może nie? Może nie wolisz, Rogerze? Powiedz mi prawdę.

Najwyraźniej znowu się wahał, rym razem w drugą stronę.

- No cóż...

- Wiem, że to ogromna pokusa, móc ponownie zobaczyć nasze czasy. Czy sądzisz, że ja jej nigdy nie czułam? Ale nie warto rezygnować z tego wszystkiego.

- Hm...

- Pomyśl o tym.

Popatrzył w dal. Słaby ciepły wietrzyk przyniósł odgłosy gry na harfie. Zapewne jacyś niewolnicy grali dla starszych kapłanów w Świątyni Amona.

- Pomyśl.

- Tak.

Obserwowała go. Widziała, jak marszczy pooraną bruzdami twarz. Podliczał w swoim precyzyjnym, matematycznym umyśle korzyści i straty.

- I co? - spytała.

- W porządku - odpowiedział. Zabrzmiało to tak, jakby odczuł ulgę. - Zapomnij, o czym mówiliśmy. Zostajemy w Egipcie. Oboje.

- Jesteś pewien?

- Tak. Jestem.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się i puściła do niego oczko. - Powinniśmy teraz wrócić i dokończyć rozmowę z Davisem.

- Tak. - Skinął głową. - Powinniśmy.

- Czy już wszystko sobie wyjaśniliśmy? - Tak.

Spojrzała na niego przeciągle, chłodnym wzrokiem.

- W takim razie wracajmy do niego i skończmy już z tym.

- Ale nie tu - zaprotestował Lehman. - Nie w tej odrapanej, zatęchłej piwnicy.

Przebywanie w takiej dziurze jest zbyt przygnębiające. Weźmy go chociaż do mojego

apartamentu w obserwatorium. Zachowamy się przynajmniej trochę bardziej cywilizowanie,
rozmawiając z nim tam.

- Jeśli chcesz.

- Myślę, że powinniśmy tak zrobić.

Tej części kompleksu Karnaku, do której go zaprowadzili, nie znał. Okrągły dwupiętrowy wolnostojący budynek za główną świątynią. Ponieważ kapłańską specjalnością Rogera Lehmana była astronomia, Davis domyślał się, że to pomieszczenie zapewne pełniło funkcję obserwatorium. Na ile mógł sobie przypomnieć, wśród zwiedzanych przez niego w czasie niedawnej wyprawy orientacyjnej ruin we współczesnym Karnaku nie istniał żaden ślad po tej budowli. Przypuszczalnie została zburzona w czasie gwałtownych walk religijnych, jakie miały wybuchnąć w Egipcie po śmierci Amenhotepa III.

- Może trochę wina? - zapytał Lehman z mało przekonującą wesołością. - Mam dobry gatunek, z królewskich winnic w Delcie. Najlepsze.

- Musisz mieć dobre układy na dworze - zauważył Davis.

- Najlepsze z możliwych - odparł Lehman. Wyjął z szafki w ścianie trzy alabastrowe czarki ozdobione starannie hieroglifami oraz wysoką amforę z dwoma małymi uchwytyami na szyjce i spiczastą podstawą. Wąską szyjkę zatykał gliniany szpunt.

- Elaine? Wina? - zapytał otwierając.

- Poproszę.

Davis pociągnął mały łyżeczek, a potem jeszcze jeden, większy. Wino było słodkie, gęste, o lekkim posmaku rodzynekowym. Faktycznie niezłe. I czarka, z której pił, stanowiła małe dzieło sztuki, kwalifikujące się do muzeum. Sam pokój, prywatna izba kapłańska Lehmana, był wspaniale umeblowany, a ściany pokryte cudownymi ciemnymi, niezwykle realistycznymi freskami przedstawiającymi bogów, demony i gwiazdy. Robił wrażenie gustownego luksusu. Sandburg i Lehman niezłe poradzili sobie w Egipcie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że zaledwie piętnaście lat temu startowali zupełnie od zera, w sytuacji gorszej niż niewolnicy, nie mając określonej tożsamości, nie znając nawet języka. Lehman

zdołał osiągnąć ważną pozycję w tutejszej hierarchii naukowej. A Sandburg została wysokiej rangi kapłanką i kochanką następcy tronu. Oboje najwyraźniej zdobyli bogactwo, stali się wpływowi, mieli dobre układy. Było mu ich żal, kiedy rok temu po raz pierwszy usłyszał o tym, że zagubili się w czasie - z dala od Cesarstwa Rzymskiego, do którego zmierzali - i wylądowali w jakimś obcym, wrogim miejscu, gdzie, jak sądził, wiedli nędzne, pełne problemów życie. Trudno o większą pomyłkę. Udowodnili, że perfekcyjnie opanowali sztukę adaptacji. Zresztą nic dziwnego; jako pracownicy Służby zostali odpowiednio wyszkoleni, by radzić sobie we wszelkiego rodzaju niesprzyjających i zaskakujących warunkach.

Lehman znowu sięgnął do szafki. Tym razem wyjął z niej śliczną małą planszę do gry, z hebanu inkrustowanego złotymi hieroglifami. Znajdowało się na niej trzydzieści kwadratowych pól z kości słoniowej, ułożonych w trzech rzędach po dziesięć, a każde takie pole oddzielał od sąsiedniego pasek hebanu. Ze znajdującego się pod planszą pojemnika Lehman wyjął parę dziwnie zakrzywionych kostek do gry i garść pionków wykonanych z jakiegoś niebieskiego kamienia, dokładnie oszlifowanego.

- Wiesz, co to jest?

- Plansza do seneta? - bez wahania spytał Davis.

- Widzę, że przygotowali cię naprawdę dobrze.

- Miałem zajęcia. Poza tym zawsze interesował mnie Egipt i sam się dużo uczyłem.

- Ale nie wiesz, jak się w to gra, prawda?

- W seneta! Nie, nie wiem. Zasady gry zostały zapomniane.

- Tutaj nie. Wszyscy w to grają. Żołnierze, niewolnicy, robotnicy budowlani, dziwki.

Bardzo dobrze gra w seneta król, a także - jego królewski astronom.

- Rogerze, czy mógłbyś przejść do sedna sprawy? - odezwała się z kąta pokoju

Sandburg.

- Elaine, proszę cię - uciszył ją Lehman. Spokojnie ułożył pionki na planszy.

- O tej grze mówi nawet Księga Zmarłych. Zakłęcie 17: zmarły gra w seneta z niewidzialnym wrogiem i musi wygrać, aby móc dalej bezpiecznie podróżować po Krainie Zmarłych.

- Wiem - przytaknął Davis. - Ale ja nie jestem nieboszczykiem, a to nie jest Kraina Zmarłych. Pani Sandburg ma rację. Jeśli jest jakaś sprawa, to się nią zajmijmy.

- Pozwól, że przynajmniej podam ci najpierw zasady gry. Układamy pionki w ten sposób. A potem trzeba rzucić kostką, żeby określić, kto jest stroną atakującą, a kto się broni...

- Roger - upomniała go Sandburg.

- No widzisz. Ty atakujesz. Ja się bronię. Zaczynamy od tej strony planszy...

- Roger.

- No dobrze. - Lehman uśmiechnął się. - Może później znajdziemy czas na seneta.

Dolał wina Davisowi oraz sobie i pochylił się nad stołem, przysuwając się krępująco blisko. Davis spostrzegł, co piętnaście lat egipskiego słońca zrobiło z Lehmanem - był wysuszony jak mumia, jego skóra ciasno opinała kościste ciało.

- Chodzi o twoją propozycję uratowania nas, Davis - powiedział astronom. - To naprawdę bardzo uprzejmie z twojej strony, że podjąłeś się wykonać ten wielki skok aż tutaj, żeby nas odszukać. I naprawdę cud, że nas w ogóle odnalazłeś. Ale muszę ci powiedzieć wprost: nic z tego.

- Co?

- Zostajemy tu. Elaine i ja. Zostajemy?

Wzrok Davisa znieruchomiał. Ależ tak, naturalnie. Wszystko pasuje: ich dziwna, drażniąca nieprecyzyjność; fakt, że Sandburg nie przyznała się, kim jest, od razu pierwszego

dnia, kiedy słyszała, jak mamrotał nieprzytomny po angielsku; wysłanie go do Miasta Zmarłych dla zmylenia tropu; zamknięcie w lochu, kiedy już w końcu wyjawiała prawdę o sobie. Byli renegatami. Dezerterami. Jaki z niego głupiec, że wcześniej tego nie skojarzył. Przyszły mu na myśl słowa wypowiedziane przez Charliego Farhada: "Przeszłość jest dziwna. Możesz pod jej wpływem sam stać się bardzo dziwny, jeśli pozostaniesz w niej odpowiednio długo."

Farhad nie chciał wyruszyć na poszukiwanie.

"Nie jestem pewien, czy mam ochotę wiedzieć, kim się stali", powiedział.

Tak.

- Tak bardzo wam się tu podoba? - spytał Davis po chwili.

- Zadomowiliśmy się - odparła z odległego krańca pokoju Elaine Sandburg. -

Uwiliśmy tu sobie gniazdko.

- Staliśmy się Egipcjanami - dodał Lehman. - Zyskaliśmy wysoką rangę na królewskim dworze i prowadzimy bardzo przyjemne życie.

- Zauważyłem. A jednak wyrzec się na zawsze własnych czasów, swojego świata...

- Jesteśmy tutaj już od dawna - przerwał mu

Lehman. - Według was zaginęliśmy nieco ponad rok temu. Ale spędziliśmy tu przecież jedną trzecią naszego życia. Dla nas Egipt jest realny. Fantastyczny, dziwny, pełen magii i zaklęć, które wydają się zupełnie bezsensowne dla ludzi ze świata współczesnego. Ale to zaczyna mieć sens dla nas.

- Ozyrys? Thot? Bogowie z głowami ptaków, skarabeusze i kozły? To się wam wydaje rozsądne?

- W szerszym znaczeniu. Metaforycznym. Napijesz się jeszcze trochę wina, Davis?

- Tak, chyba się napiję.

Tym razem pił większymi haustami.

- Tak więc to miejsce jest dla was rzeczywiste, a nasze czasy nie? - spytał.

- Nie przeczę - Lehman uśmiechnął się - że i Elaine i mnie ciągnie trochę do naszych czasów. Mnie w każdym razie na pewno. Myślę, że nadal mam tam rodzinę, przyjaciół, ludzi, którzy mnie pamiętają i chcieliby ponownie zobaczyć. Muszę przyznać, że kiedy się zjawiłeś, poczułem ogromną pokusę, aby wrócić z tobą, kiedy zjawi się po ciebie pole temporalne.

Mówiłeś, zdaje się, że jesteś tu z trzydziestodniową misją, tak?

- Tak, trzydzieści dni.

- Ale pokusa już minęła. Pokonałem ją. Nie zamierzamy wracać i nasza decyzja jest ostateczna.

- To cholerny problem. W gruncie rzeczy dezercja. I jest to zupełnie sprzeczne z zasadami.

- Prawda? Ale właśnie tak postanowiliśmy. Przykro nam, że oznacza to naruszenie zasad. Nie prosiliśmy, żeby nas tu przysłano, nie spodziewaliśmy się tego, nie chcieliśmy. Ale znaleźliśmy się tutaj i udało nam się wspiąć na samą górę. Wywalczyć sobie pozycję.

Uważasz, że praca w fabryce mumii jest nieprzyjemna? Gdybyś wiedział, co Elaine i ja musieliśmy niekiedy robić! Ale ułożyliśmy sobie życie, wbrew wszelkim przeciwnościom.

Wspaniałe nowe życie, jeśli chodzi o ścisłość. I teraz chcemy je ochronić.

- W Służbie Czasu także żyje się cholernie fajnie.

- Pieprzę Służbę Czasu - powiedział Lehman. Już się nie uśmiechał. - Co Służba zrobiła dla nas prócz tego, że zrzuciła nas tysiąc pięćset lat od miejsca, gdzie mieliśmy wylądować? - Jego długie, kościste palce bawiły się pionkami na planszy seneta. Przez chwilę gładził je, po czym zwinnym ruchem zgarnął z planszy do pudełka. - To tyle - powiedział - co mieliśmy ci do powiedzenia. Dzięki, ale nie zamierzamy skorzystać z twojej uprzejmej

propozycji. Nie ma mowy o żadnym ratowaniu. Koniec, kropka. I proszę, nie próbuj targować się z nami o to.

Davis patrzył na nich z niedowierzaniem.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - oświadczył. - Zostańcie tu, jeśli tak zdecydowaliście. Nie mogę was zmusić do niczego, jeśli nie chcecie.

- Dziękujemy.

Nalał sobie jeszcze trochę wina. Oboje przyglądali mu się dość dziwnie. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że coś musi się za tym kryć.

- No dobrze, to co teraz? - spytał. - Czy zabierzecie mnie z powrotem do tego pięknego małego pokoiku pod świątynią pani Sandburg, żebym mógł się trochę przespać? Czy może powinienem złapać nocny prom do Miasta Zmarłych, żeby nauczyć się jeszcze trochę o tym, jak się robi mumie, zanim mój pobyt w Egipcie dobiegnie końca?

- Czy ty nie rozumiesz? - spytała Elaine.

- Czego?

- Twój pobyt w Egipcie nie dobiegnie końca. Ty też tu zostajesz na stałe. Nie możemy pozwolić ci wrócić. Czy naprawdę nie domyśliłeś się tego?

Tym razem przynajmniej nie wtrącili go do tej ponurej dziury, w której był zamknięty poprzednio. Dali mu pokój nad ziemią. Miał nawet coś w rodzaju okna - prostokątny otwór, jakieś cztery i pół metra ponad podłogą, wpuszczający przez pięć czy sześć godzin dziennie długą smugę zakurzonego światła. Od czasu do czasu dobiegało do jego uszu ćwierkanie ptaków oraz sporadycznie, z oddali, śpiew kapłanów. Miał też na co patrzeć, ponieważ Egipcjanie najwyraźniej nie cierpieli pozostawiać choćby centymetra ściany czy innej kamiennej powierzchni nie pokrytej niezwykle artystycznymi malunkami. Na ścianach jego celi znajdowały się więc wspaniale wykonane reliefy bogów: dobrego starego Thota o głowie ibisa, wyniośle przyjmującego od pełnego uniozonej czci króla ofiarę z owoców i bochenków chleba, a po drugiej stronie pokoju Sobeka z głową krokodyla, prowadzącego z uskrzydłą Izydą sympatyczną konwersację, której dobrotliwie przyglądał się obandażowany jak mumia Ozyrys. Trzy razy dziennie otwierało się małe okienko w drzwiach i podawano mu tacę z jedzeniem. Posiłki były niezłe. Przynajmniej raz dziennie dostawał też kubek piwa lub wina. Zdarzały się gorsze więzienia niż to.

To był czternasty dzień spośród tych trzydziestu, jakie miał spędzić w Egipcie. Nadal pedantycznie odliczał upływ czasu.

Przez otwór w ścianie do pokoju dobiegł śpiew. Głosy były wysokie, współbrzmiające w tak niesamowitej harmonii, że bolały od tego uszy.

O, moja siostrze, rzekła Izyda do Neftydy,

Oto jest nasz brat,

Unieśmy jego głowę,

Połączmy rozdzielone kości,

Przywróćmy jego ciału członki,

O, siostrze, przerwijmy wszelkie jego troski. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdował, przyprawiono go tu bowiem w środku nocy. Domyślał się jednak, że musi to być jeden z licznych budynków wchodzących w skład świątyni Karnak. Zakładał, że Sandburg i Lehman zamierzali przetrzymać go tu aż do końca trzydziestego dnia, kiedy pole temporalne pojawi się i zniknie w alejce w pobliżu Świątyni Luksor. Wtedy będą bezpieczni, ponieważ nie zdoła już wrócić do swojej epoki i powiadomić władz, gdzie i w którym roku ukrywa się tych dwoje zaginionych renegatów. Wtedy też wypuszczą go zapewne na wolność, uwięzionego w czasie podobnie do nich, na zawsze pozbawionego jakiegokolwiek szansy powrotu - jeszcze jedna nie rozwiązana i prawdopodobnie nierozwiązywalna zagadka dla Służby Czasu.

Na myśl o tym odczuwał przyspieszony puls i ból w klatce piersiowej. W pułapce?

Uwięziony tu na zawsze?

Ciągle od nowa usiłował zrozumieć, w którym miejscu popełnił krytyczny błąd. Może wówczas, kiedy ujawnił powód swej wizyty rzekomej kapłance Nefret, nim się zorientował, że to Sandburg i że jest ona niebezpieczna? Ale i tak znała charakter jego misji, ponieważ najwyraźniej majaczył po angielsku, kiedy był nieprzytomny. Zawsze była więc o krok przed nim, a może nawet o dwa albo i trzy.

Gdyby zorientował się, że Nefret to Elaine Sandburg, czy to za pierwszym razem, kiedy opiekowała się nim, czy też tydzień później, kiedy z powrotem wlaź jej w ręce, wtedy mógłby uważać na...

Nie, to też niczego by nie zmieniło. Nie miał powodu podejrzewać jej o zdradę.

Przybył tu przecież po to, by ją ratować; czemu miałyby go przywitać inaczej niż z wdzięcznością?

W tym właśnie tkwił jego błąd. Nie przewidział, że Sandburg i Lehman są dezertarami, którzy nie chcą zostać uratowani. Dlaczego nikt go nie ostrzegł, że istniało

ryzyko czegoś takiego? Wysłali go po prostu do Teb, oddając na pastwę dwojga ludzi, którzy mieli wszelkie powody po temu, aby uniemożliwić mu powrót do swojej epoki z informacjami o czasie i miejscu ich pobytu.

Usłyszał jakieś odgłosy zza drzwi. Ktoś mocował się, usiłując otworzyć rygiel.

Poczuł niemądry przypływ nadziei.

- To ty, Eyaseyab?

Wczoraj, kiedy podawano mu tacę z wieczornym posiłkiem, czekał przy okienku w drzwiach. - Powiedz niewolnicy Eyaseyab, że jestem tu - rzekł wówczas do małego otworu. - Powiedz, że jej przyjaciel Edward-Davis potrzebuje pomocy. - Tonący chwytą się brzytwy, to normalne. Ale co więcej mógł zrobić? Musiał jakoś uciec z tego pokoju. Nie chciał spędzić reszty życia w starożytnym Egipcie. To prawda, że Egipt był wspaniały, zdumiewający i w ogóle - nigdy temu nie przeczył. Ale jako członek Służby miał otwartą przed sobą całą historię ludzkości, a nawet i prehistorię, i dać to sobie zabrać przez tych dwoje, dać się skazać na dożywocie w krainie faraonów...

Rygiel się odsunął.

- Eyaseyab?

Wyobraził sobie, że przekupiła strażników klejnotami skradzionymi z sypialni Nefret, amforami królewskiego wina, obietnicami nocy pełnej szalonej miłości, czymkolwiek - byle tylko mogła go stąd wydostać. A potem ona i może ten jej jednooki brat, pomogliby mu przedostać się do Miasta Zmarłych, gdzie zapewne udałoby mu się ukryć w plątaninie uliczek aż do trzydziestego dnia. Wtedy ponownie wślizgnąłby się na prom, dotarł do właściwych Teb, odnalazł alejkę z napisem na murze oraz palmą i zaczął czekać na pojawienie się migocącej tęczy pola temporalnego. I zwiałyby stąd. Niech diabli wezmą Sandburg i Lehmana, niech sobie zostają, jeśli tego pragną. Zdałby sprawozdanie z wszystkiego, co~ się wydarzyło - nie

miał żadnego powodu, aby ich kryć, a raczej wręcz odwrotnie - i reszta zależałaby już od decyzji Służby. Władze mogłyby zdecydować, że przyślą kogoś innego, aby ich sprowadził. Wykroczenie można byłoby wymazać z akt; bezprawne wtargnięcie w krainę przeszłości zostałoby skorygowane.

Gdyby tylko mu się udało. No właśnie, gdyby.

Drzwi uchyliły się. Z korytarza wpadła odrobina migocącego światła ze słabej kopczącej lampki oliwnej - wystarczająca, by mógł dostrzec sylwetkę zawołowanej kobiety, która weszła do jego pokoju.

Nie, to nie Eyaseyab. Za wysoka i zbyt szczupła.

To Sandburg.

- Ty? - spytał zdumiony. - Co u licha robisz...

- Cii. I nie próbuj żadnych głupstw. Strażnicy są tuż obok i wejdą natychmiast, jeśli tylko usłyszą jakieś podejrzanе odgłosy.

Postawiła lampkę na podłodze i zbliżyła się do niego. Tak blisko, że mógłby ją złapać, pomyślał. Wyglądało, że nie ma broni. Mógłby wykręcić jej rękę na plecy, chwycić za gardło i powiedzieć, że udusi ją, jeśli nie wyda strażnikom rozkazu wypuszczenia go na wolność.

- Nie - powiedziała. - Zrezygnuj z tego, o czym myślisz, cokolwiek by to było. Nie udałoby ci się odnaleźć wyjścia stąd. I straciłbyś swoją jedyną szansę ocalenia.

- A jaką to niby mam szansę ?

- Wszystko zależy od ciebie. Przyszłam tu, żeby spróbować ci pomóc jakoś to wszystko poukładać.

Podeszła bliżej i zsunęła z twarzy woalkę. W migocącym świetle lampki jej ciemnoniebieskie oczy błyszczały jak ametyst. Twarz robiła wrażenie młodszej niż za dnia. I nieoczekiwanie wydała mu się piękna. To nagłe odkrycie obezwładniło go, a jednocześnie

poczuł się zdumiony własną reakcją.

- Tylko w jeden sposób możesz mi pomóc - powiedział. - Chcę, byś mnie wypuściła.

- Wiem. Tego nie mogę zrobić.

- Czemu?

- Nie próbuj udawać naiwnego. Jeśli cię wypuścimy, wrócisz do współczesności i powiesz im, gdzie i kiedy mogą nas znaleźć. A oni wyślą całą grupę, która zmusi nas do powrotu.

Przez chwilę zastanawiał się.

- Mógłbym im powiedzieć, że nie udało mi się trafić na wasz ślad.

- Zrobiłbyś to?

- Tak, jeśli to jest cena, jaką miałbym zapłacić za możliwość powrotu do naszej ery.

Czemu nie? Myślisz, że mam ochotę ugrzęznąć tu na zawsze?

- Dlaczego mielibyśmy ci zaufać? - spytała. - Wiem, dałbyś nam słowo honoru, tak?

Może nawet złożyłbyś przysięgę na najwyższym ołtarzu Amona. Och, Davis, Davis! Myślisz, że jesteśmy tacy głupi? Wróciłbyś tam, skąd przybyłeś, i pozostawił nas w spokoju? Na pewno! Pięć minut po powrocie wygadałbyś im całą prawdę!

- Nie.

- Właśnie, że tak. Albo wydusiliby ją z ciebie. Daj spokój, dzieciaku; nie próbuj udawać sprytniejszego, niż jesteś. Nie uda ci się mnie nabrać, żebyś się nie wiem jak starał.

Słuchaj: nie ma sensu oszukiwać się wzajemnie. Jesteś załatwiony i tyle. Nie ma możliwości, żebyśmy pozwolili ci wrócić do domu, żebyś nam nie wiem co obiecywał.

Mówiła niskim, spokojnym, nieustępliwym głosem. Czuł, jak jej słowa odbierają mu resztkę nadziei. Słyszał, jak sto bram Teb zatrząskuje się przed nim z łoskotem.

- To po co tu przyszedłeś? - spytał, wpatrując się w te niepokojące ametystowe oczy.

Przez chwilę milczała.

- Musiałam - powiedziała wreszcie. - Abyś zrozumiał, jak nienawidzę tego, że musimy tak wobec ciebie postąpić. Jak mi przykro, że to konieczne.

- Akurat ci przykro!

- Chciałabym, żebyś mi uwierzył. Jesteś zupełnie niewinną ofiarą, a to co robimy, to cholerne świństwo. Chcę, byś wiedział, że mam tę świadomość. Roger zresztą też tak to odbiera.

- No... ogromnie mi przykro, że czujecie się tak przeraźliwie winni z mojego powodu.

- Nie rozumiesz tego, prawda?

- Chyba nie.

- Masz rodzinę?

- Matkę. W Indianie.

- Nie masz żony? Ani dzieci?

- Nie. Byłem zaręczony, ale nasz związek się rozpadł. Lepiej się teraz czujesz?

- A ile masz lat?

- Dwadzieścia siedem.

- Myślałam, że jesteś trochę młodszy.

- Widzisz, jak sprytnie potrafię oszukiwać?

- Zapewne wstąpiłeś do Służby, żeby podziwiać przeszłość. To twoja pierwsza misja?

- Tak. A jednocześnie ostatnia, prawda?

- Na to wygląda, nie?

- Nie musi tak być. Nadal jeszcze możecie pozwolić mi wrócić i liczyć, że będę was krył albo że Służba przestanie się wami interesować. Możecie też zdecydować się wrócić ze mną. Zresztą dlaczego u diabła tak bardzo chcecie zostać w Egipcie?

- Chcemy i już. Przywykliśmy. Jesteśmy tu od piętnastu lat. To jest teraz nasz świat.

- Gówno prawda.

- Wcale nie. Mylisz się. Przybyliśmy tu znikąd, a teraz należymy do wąskiego grona

posiadających władzę. Roger jest uważany niemal za cudotwórcę, ponieważ

zrewolucjonizował egipską astronomię. A ja mam swoje obowiązki w świątyni, które traktuję

o wiele poważniej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. To niesamowicie pociągająca religia. -

Jej głos zmienił się, stał się dziwny, drżący i intensywny. - Muszę ci powiedzieć, że czasami,

kiedy jestem boginią, Panną Młodą, Matką, Uzdrowicielką, mam wrażenie, jakbym

odczuwała powiew powietrza wywołany ruchem skrzydeł Izydy. - Zawahała się, jakby nagle

uświadomiła sobie, że głos jej wypełnił się ekstazą.

Kiedy po chwili zaczęła mówić dalej, jej słowa brzmiały już normalniej. - Mam także

swoje związki z dworem, bardzo wpływowych przyjaciół, dzięki którym żyję niezwykle

wygodnie pod względem materialnym.

- Wiem o tych twoich związkach. Kiedy szedłem do ciebie, zauważyłem jednego z

twoich wpływowych przyjaciół, wychodzącego ze świątyni. On jest szalony, ten twój książę,

prawda? Ty zresztą też robisz wrażenie obłąkanej. Jezu! Dwoje wariatów uwięziło mnie i dla

ich wygody mam spędzić resztę życia blakając się po Egipcie w czasach XVIII Dynastii!

Cholerna atrakcja! Czy wy nie zdajecie sobie sprawy, co wy ze mną robicie? Nie rozumiecie

tego ?

- Oczywiście, że zdajemy sobie sprawę. Przecież sama ci o tym powiedziałam.

Na jej policzkach nagle zalśniły łzy i spłynęły, pozostawiając ślady na starannym

makijażu. Raz już widział ją płaczącą.

- Jesteś bardzo dobrą aktorką.

- Nieprawda.

Wyciągnęła ku niemu ręce. Gniewnie cofnęła swoją dłoń, ale trzymała go mocno i nagle znalazła się tuż przy nim, starając się dosięgnąć ustami jego ust. Zesztywniał. Unoszący się wokół niej dziwny aromat wypełnił mu nozdrza, obezwładniając go swoim tajemniczym zapachem. A kiedy zaczęła przebiegać delikatnie palcami po jego gołych plecach, zadrżał pod wpływem odczuwanych dreszczy i przestał stawiać opór. Osunęli się na stos futer, które służyły mu za łóżko.

- Ozyrysie... - mruzczała cicho. - Jesteś moim Ozyrysem...

Mruczała coś gardłowym głosem, jakieś egipskie słowa - takie, których nie nauczono go w sztabie Służby - ale domyślał się ich znaczenia. W intensywności jej reakcji było coś przerażającego, coś tak groteskowego w tym jej erotycznym majaczeniu, że nie mogąc tego słuchać i pragnąc ją uciszyć, zamknął jej usta, przyciskając je swoimi. Jej język wsunął mu się między wargi jak włócznia. Wygięła w hak miednicę i ogarnęła go nogami. Zamknął oczy i zagubił się w niej.

Usiadł potem opierając się plecami o mur i patrzył na nią ze zdumieniem.

Uśmiechała się do niego.

- Pragnęłam tego od dnia, kiedy się tu pojawiłeś, wiesz? Od kiedy tylko zobaczyłam cię na łożu w Domu Życia.

Ciągle jeszcze serce waliło mu jak młot. Z trudem łapał oddech. Powietrze w pokoju, gorące, lepkie i gęste, wypełniał dziwny zapach jej perfum.

- No to dostałaś to, czego chciałaś - powiedział, kiedy był już w stanie wydusić z siebie słowa. - W porządku. Dostałaś. - W głowie zaczęła mu dojrzewać pewna myśl. - Nieźle nam było ze sobą, co?

- Tak. Muszę przyznać, że całkiem nieźle.

- Nie musimy na tym poprzestać. Możemy razem wrócić, ty i ja. Lehman niech sobie

robi, co mu się żywnie podoba. A my moglibyśmy działać razem. Służba wysyłałaby nas razem do różnych miejsc i...

- Przestań. Nie gadaj bzdur.
- Kiedy naprawdę to możliwe.
- Mogłabym być twoją matką.
- Przed chwilą wcale nie robiłaś takiego wrażenia.
- Ale w pełnym świetle byłoby to doskonale widoczne. To zresztą nieważne.

Wybrałam Egipt. I dlatego ty też musisz tu zostać.

Jej słowa spadły na niego jak seria ciosów.

Już był bliski nadziei, że z nią wygrał. Idiotyzm! Łudzić się, że zmieniła zdanie pod wpływem chwili gimnastyki na futrach? Liczyć na to, że przekonają, by oddała swoje luksusowe życie na dworze faraona w zamian za chwilę sapania? Ale ze mnie dzieciak, pomyślał.

Znowu usłyszał łoskot zamykających się stu bram.

- A teraz posłuchaj mnie - powiedziała. Przysiadła naprzeciwko niego, z dala od lampy, pod płaskorzeźbą Sobeka i Izydy. Nadal była naga i jej ciało, nasmarowane olejkiem, lśniło w półcieniu. Ciągle jeszcze wydawała mu się piękna, choć teraz, kiedy minęła chwila namiętności, dostrzegał wyraźniej oznaki jej starzenia się. - Jakiś czas temu powiedziałeś, że uważasz nas, Rogera i mnie, za szalonych, ponieważ chcemy tu zostać. Chcesz nas uratować od nas samych. Mylisz się. Zostajemy tu, ponieważ chcemy być tutaj. Zaczнешь czuć to samo, kiedy pobędziesz w Egipcie nieco dłużej.

- Ja nie...
- Posłuchaj mnie - przerwała mu z naciskiem. - Oto twoje możliwości. W przyszłym miesiącu rusza misja dyplomatyczna do Asyrii. Paskudna droga, trzeba przejść przez zupełnie

bezludny ugór, który pewnego dnia zostanie nazwany Półwyspem Synajskim. Możemy załatwić, że zostaniesz niewolnikiem przydzielonym do drużyny ambasadora, z gwarancją, że w jakimś wyjątkowo niemiłym miejscu na środku Synaju pozostawią cię samego i będziesz musiał walczyć o przetrwanie. To nasza pierwsza propozycja. Jeśli się na nią zdecydujesz, licz się z tym, że nikła jest szansa, abyś kiedykolwiek był w stanie powrócić do Teb. A zatem można przyjąć, że nie będzie cię tu i nie będziesz mógł się spotkać z żadnymi ewentualnymi wybawcami, gdyby Służba zdecydowała się wysłać kogoś z zadaniem odnalezienia ciebie.

- A inne możliwości?

- Numer Dwa. Zostajesz w Tebach. Użyję swoich wpływów, abyś został mianowany dowódcą w armii - to całkiem bezpieczne, bo nie ma obecnie większych działań wojennych - lub kapłanem Amona czy kimkolwiek, wedle twojego kaprysu. Dostałbyś od nas ładną willę w dobrej części miasta. Będziesz mógł zatrzymać Eyaseyab jako osobistą niewolnicę, jeśli zechcesz, oraz kilkanaście innych, podobnych do niej. Być może odwiedzałyby cię czasem w twojej willi pewna kapłanka Izydy. Gdybyś tego chciał. Wiódłbyś bardzo przyjemne i wygodne życie, z wszelkimi luksusami, jakie tylko możesz sobie wymarzyć. A kiedy Służba wyśle kogoś, żeby cię ratował -jestem pewna, że to zrobi - pomożemy ci uniknąć z tym kimś kontaktu. Wierz mi, sam będziesz tego chciał, ponieważ zanim ktoś tu się pojawi, ty będziesz już takim samym Egipcjaninem jak my obecnie. Zasmakowawszy życia członków klasy uprzywilejowanej w stolicy Egiptu za XVIII Dynastii, nie będziesz chciał wracać do naszej ery tak samo, jak i my tego nie chcemy. Uwierz mi.

- Czy są jeszcze jakieś inne możliwości?

- To by było na tyle. Albo wyruszasz z ambasadorem do Asyrii po to, by skończyć żując piach, albo pozostajesz tu i żyjesz jak książę. W obu przypadkach, oczywiście, zostaniesz zamknięty w tym pokoju przez następne kilka tygodni, póki nie minie pora

przybycia po ciebie pola temporalnego. - Wstała i zaczęła ubierać się w swoją przezroczystą suknię. - Nie musisz już teraz mi mówić, co wybierasz - powiedziała z uśmiechem. - Przemysł to sobie. Nie chciałabym, abyś podejmował decyzję pochopnie. Pocałowała go lekko w usta i szybko wyszła z pokoju.

- Nie... poczekaj... wróć! - zawołał, ale w odpowiedzi usłyszał tylko trzask zasuwanego rygla.

Dni upływały, najpierw wolno, potem zdumiewająco prędko, aż wreszcie dręczące powoli, jakby nie miały zamiaru dobiec końca. Nadal starannie je odliczał, tak jak go nauczono, ale wiedział, że nie ma to już żadnego sensu. W głowie nieustannie dźwięczały mu ostatnie, niefrasobliwe słowa wypowiedziane przez Sandburg, niczym ponure, ołowiane dzwony. Był na samym dnie rozpacz.

W miarę upływu czasu coraz silniej odczuwał, że jego poprzednia egzystencja ulatnia się z niego jak dym z komina. Umykały mu wszystkie wspomnienia, ostatnie strzępki tożsamości: matka, ojciec, lata spędzone w szkole, dziewczyny, książki, sport, uczelnia, Służba. Wszystko. Została tylko pusta skorupka, cienka jak pajęczyna.

Łatwo przeszedł przez życie, prześlizgnął się przez nie, jakoś poradził sobie z wszystkimi wątpliwościami, niebezpieczeństwami, okrucieństwem. Dopiął swego. A nawet więcej. W gruncie rzeczy osiągnął bardzo wiele. I wtedy właśnie podjął o to jedno ryzyko za dużo; a teraz wypadł z gry. Stał do walki z parą zawodników, którzy bez wahania postanowili pozbyć się go, udając tylko, że czują wyrzuty sumienia.

Pozostał mu zaledwie jeden dzień. Jutro pole temporalne zjawi się i przez chwilę będzie na niego czekało, po czym - niezależnie od tego, czy zajmie w nim miejsce, czy też nie - powróci do współczesności.

Jestem Neftydą.

Jakie piękne jesteś ty, co budzisz ten dzień!

Jak Horus z Podziemi

Wstające dziś, wyłaniające się z wielkiej toni,

Jesteś oczyszczone za pomocą tych czterech

dzbanów,

Które służyły do mycia samym bogom. Wpatrywał się w ścianę. Stopniowo wyrzeźbione na niej tajemniczo spokojne oblicza monstrualnych bogów zaczęły wyłaniać się z mroku. Przez otwór wysoko ponad jego głową zaczęło się sączyć do pokoju pierwsze światło poranka. Ostatni dzień; ostateczna szansa. Ale nie było nadziei. Drzwi są zaryglowane i tak już pozostanie. Dzień przyjdzie i minie, pole temporalne zjawi się, po czym zniknie bez niego. I tyle.

Stał, czując się pusty i chwiejny, w oczekiwaniu na wiatr, który rozsypie go na kawałki, jak garść prochu.

Ku swojemu zdumieniu w pewnej chwili poczuł jednak, że znowu zaczyna go coś wypełniać. Rodził się w nim nowy Edward Davis. Egipski Edward Davis. Teby oplatały go swoją pajęczą nicią, tak jak oplotły ich. Nowe życie, bogate i dziwne. W nieustannym towarzystwie Horusa i Thota, Izydy i Ozyrysa, Sobeka i Chnuma. Piękne stroje, cudowne kobiety, fontanny i ogrody. Życie spędzane na grze w seneta i popijaniu sorbetu w swojej willi oraz na uczestniczeniu w eleganckich ucztach w rodzaju tych, jakie były wymalowane we wszystkich grobowcach szlachty po drugiej stronie rzeki, w Dolinie Królów. A w końcu - piękny grobowiec też tam, w którym zostanie złożona na wieczny spoczynek jego własna, wspaniała mumia.

Nie! Nie! Był zdumiony sam sobą. Co to za szalona wizja? Jak mógł pomyśleć o czymś takim? Gniewnie wygnał te myśli z głowy.

I znowu poczuł się pusty, zagubiony, bezbronny.

Drżał.

Poczuł, jak ponownie zalewa go obezwładniająca fala strachu wymieszanego z dzikim oburzeniem. Złapali go w pułapkę. Ukradli mu jego życie.

Ale czy naprawdę?

Czy sytuacja była właściwie aż straszna?

Honts cię oczyścił, Thot cię opromienił.

Panowie Wielkiej Białej Korony zdjęli z

twoich barków wszelkie troski.

Możesz stanąć na własnych nogach, w pełni

odtworzony. Utorujesz drogę bogom.

Będziesz dla nich pracował jako Torujący

Drogę.

Mieli go w garści. Równie dobrze może się poddać. Jaki zresztą ma wybór? Kiedy go

w końcu stąd wypuszczą, pozwoli Sandburg i Lehmanowi pomóc sobie. Co zrobią, choćby z poczucia winy. Wykorzysta to, co mu się przydarzyło. Zbuduje sobie nowe życie. Ma szansę zajść daleko.

Poza wszystkim zna historię, wie, co się wydarzy w nadchodzących latach. Ma to starannie zakodowane w elektronicznej pamięci, którą Służba wtłoczyła mu do mózgu.

Rozruchy, jakie nastąpią po śmierci Amenhotepa III, i koronacja szalonego księcia

Echnatona, idealistyczna rewolucja religijna i następująca po niej zacieklej kontrrewolucja,

krótkie i niespokojne panowanie Tutanchamona i innych, którzy przyjdą po nim - znał to

wszystko, każdy moment mających nastąpić wydarzeń. I będzie mógł czerpać korzyści z tej

swojej wiedzy. Zdobędzie wysoką pozycję w królestwie. Wyższą niż Lehman i Sandburg.

Powiedzmy - wielkiego wezyra. Wicekróla. Potęgi stojącej za tronem. Wpływowi ludzie mają

tu wspaniałe tytuły. "Oczy i Uszy Króla, Noszący Wachlarz po Prawicy Faraona". Edward C.

Davis z Muncie w stanie Indiana, Noszący Wachlarz po Prawicy Faraona. Czemu nie? No,

czemu? Roześmiał się. Prawie rozchichotał. Hej, panie Noszący Wachlarz, stajesz się

rozhisteryzowany, zwrócił sam sobie uwagę.

Ale nagle przysłała mu do głowy paraliżująca myśl. Co będzie, jeśli osiągnie to wszystko, a wtedy zjawi się z jego czasów grupa ratunkowa, żeby zabrać go z powrotem? Powiedzmy za rok. Albo za pięć lat. Bo przecież nie potrafią tak bardzo dokładnie określić roku lądowania. Wiedzą, do którego roku go wysłali, ale nie mogą mieć absolutnej pewności, że trafił dokładnie. Misja ratunkowa też może trafić nieco za daleko. No więc powiedzmy pięć lat. Dziesięć. Wystarczy, żeby zdążył się tu ustawić naprawdę wygodnie.

“Służba wyśle kogoś, żeby cię ratował”, powiedziała Sandburg. “Jestem pewna, że to zrobi.”

Kogo? Charlie Farhada? Nicka Efthimiou?

Tak. Kogoś takiego. Parę twardych, dobrze przygotowanych pracowników, którzy wiedzą, jak sobie radzić z problemami. Miałyby do czynienia z kimś takim. Tylko jak prędko przybędą? I czy przywita ich radośnie, kiedy się zjawią?

“Pomożemy ci uniknąć z tym kimś kontaktu”, obiecała mu Sandburg. “Ponieważ nim ktoś tu się pojawi, ty będziesz takim samym Egipcjaninem, jak my obecnie.”

Ciekawe, czy tak będzie. Nie umiał tego przewidzieć.

W świątyniach kapłani zaczynali poranne śpiewy. Nieziemska muzyka Amona, Horusa i Anubisa docierała do jego uszu przez niewielki, podobny do okna otwór w ścianie. Smuga jasnego światła słonecznego wpadła do jego pokoju i opromieniła płaskorzeźby. Patrzył na umieszczone wysoko ponad nim pełne spokoju postacie bogów: skrzydlatej Izydy przepelnionej miłością, z mumifikowanego Ozyrysa, Thota z ptasią głową i uśmiechniętego Sobeka z głową krokodyla. A bogowie spoglądali na niego.

Wtedy usłyszał dźwięk odsuwanej rygli. I dobiegające z zewnątrz głosy Sandburg i Lehmana.

Nie mógł w to uwierzyć. A jednak mimo wszystko złamali się ostatniego dnia!

Poczucie winy, wstyd w końcu okazały się dla nich nie do zniesienia. Postanowili zwrócić mu jego życie. Nagle z oczu pociekły mu łzy wdzięczności. Oczywiście będą chcieli, żeby ich krył po powrocie. I zrobi to. Zrobi. Tylko wypuście mnie stąd, myślał, a powiem każde kłamstwo, jakiego sobie zażyczycie.

- Cześć - przywitała go radośnie Sandburg. Miała na sobie jakiś wymyślny kostium kapłański z białego lnu upiętego w fałdy oraz błyszczący diadem na czarnych lokach. - Jesteś gotów wyjść na świeże powietrze?

- A więc zdecydowaliście się nie zatrzymywać mnie tutaj? - spytał.

- Co?

- Dziś ma przybyć po mnie pole temporalne, prawda? A wy mnie wypuszczacie.

Zamrugała powiekami i zaczęła się wpatrywać w niego, jakby mówił jakimś niezrozumiałym językiem.

- Co? O czym ty mówisz?

- Liczyłem. To dziś.

- Och, nie - zaprzeczyła z lekkim śmiechem. - Pole było wczoraj. Odnaleźliśmy twoją alejkę i byliśmy tam, żeby sprawdzić. Och, przykro mi, Edwardzie, musiałeś się pomylić o dzień w swoich rachunkach.

Był oszołomiony.

- Moje rachunki... o dzień...

- Nie ma co do tego wątpliwości.

Nie mógł uwierzyć. Tak starannie odznaczał każdy nowy dzień, odnotowując go w myślach. To niemożliwe, żeby się pomylił. Niemożliwe.

Ale tak musiało być. Bo inaczej skąd by się tu wzięli? Zobaczył Lehmana stojącego za Sandburg, z wyrazem niepokoju i winy na twarzy. Byli i inni. Na przykład Eyaseyab. Mała

grupka, która przyszła uczcić jego uwolnienie. Zamknięty w celi, osamotniony, musiał najwyraźniej popłatać rachunki. Widać tak się właśnie stało.

Sandburg ujęła go za rękę. Pozwolił jej wyprowadzić się na korytarz.

- To twoi niewolnicy - powiedziała. - Daję ci Eyaseyab.

- Dziękuję. - Co jeszcze należało powiedzieć, kiedy obdarowywano cię niewolnikiem?

- I woźnicę rydwanu, i kucharkę, i jeszcze kilkoro innych.

Davis skinął głową.

- Bardzo dziękuję - powiedział kamiennym tonem.

Przysunęła się do niego.

- Czy wybaczysz nam to kiedyś? - spytała ciepło, żarliwie. - Wiesz, że naprawdę nie mieliśmy wyboru. Szkoda, żeś tu przybył, szukać nas. Ale skoro się zjawiłeś, musieliśmy postąpić właśnie w ten sposób. Gdybyś mógł uwierzyć, jak bardzo mi przykro z tego powodu, Edwardzie...

- Tak. To oczywiste, że jest wam przykro.

Szedł za nią. Przez korytarz, następnie obok rzędu olbrzymich kolumn, aż wreszcie - na otwartą przestrzeń. Dzień był gorący i suchy jak wszystkie poprzednie. Słońce, niewiarygodnie wielkie, zajmowało połowę nieba. Jestem teraz Egipcjaninem, pomyślał Davis. Już nigdy nie zobaczę moich czasów. No dobrze. Co ma być, to będzie. Wziął głęboki oddech. Powietrze parzyło jak ogień. Pachniało spalenizną. Gdzieś na odległym krańcu kolumnady kapłani we wspaniałych, bogato zdobionych szatach odprawiali jakiś rytuał polegający na niezrozumiałym dla niego podawaniu do przodu i do tyłu alabastrowych naczyń, złotych koron, wizerunków sępów i kobr. Jeden z kapłanów miał na twarzy maskę jastrzębia, drugi krokodyla, trzeci ibisa. Ich widok już go nie dziwił. Wyglądali tak, jakby przed chwilą zeszedli z płaskorzeźby na ścianie w jego celi.

Eyaseyab podeszła do niego, ujęła jego rękę i przyłgnęła do niej.

- Zobacysz, nie będziesz tęsknił za starym domem - powiedziała. - Już ja o to zadbam.

A więc i ona знаła całą sprawę.

- Jesteś bardzo uprzejma - odparł.

- Uwierz mi - przekonywała Eyaseyab. - Będziesz tu szczęśliwy.

- Tak. Zapewne będę.

Zamaskowani kapłani wylewali garściami jakiś pachnący olejek na małe ognisko płonące przed niewielkim ołtarzem ofiarnym. Do góry wzbijały się kolorowe płomienie: zielone, turkusowe, karmazynowe. Jeden z uczestników rytuału odwrócił się w stronę Davisa i wyciągnął ku niemu stożkowane naczynie z olejkiem, jakby zapraszając gestem do udziału w rytuale.

Jakie to wszystko jest zupełnie niepodobne do Indiany, pomyślał. A potem uśmiechnął się. Indiana znajdowała się w odległości trzech i pół tysiąca lat. A nawet dalej. Nie było Indiany. Nigdy jej nie było. Jest tylko wspomnieniem ze snu, który już przeminął. Teraz śni inny sen.

- To ogień Nechbet - powiedziała Eyaseyab. - On chce, żebyś złożył ofiarę. No, zrób to, Edward-Davisie. Zrób!

Spojrzał za siebie, w stronę Sandburg i Lehmana. Ponaglali go ruchem głowy i wskazywali na naczynie. Oni także chcieli, żeby to zrobił.

Nie wiedział, jakie znaczenie miał ogień Nechbet, ale wzruszył ramionami i podszedł w kierunku ołtarza ofiarnego. Kapłan podał mu naczynie z olejkiem.

Zawahawszy się przez chwilę Davis obrócił je do góry dnem nad ogniem i przyglądał się nagłemu wybuchowi kolorów przez moment tak jasnych jak wiry pola temporalnego. Po

pewnym czasie kolory zniknęły, a ogień wyglądał tak jak poprzednio.

- Co to miało być? - spytał.

- Nowy obywatel oddaje się pod opiekę Izydy - wyjaśniła Sandburg. - I został przyjęty.

Od dziś już zawsze Izyda będzie cię chronić. A teraz chodź, zaprowadzimy cię do twojego nowego domu.

AUTOSTRADA W MROK

Bije od niego ciepło, złote kaskady jasnej, odżywczej energii. Często mówią o Mistrzu, że przypomina słońce; bo też taki właśnie jest: świetlisty, święty, zupełnie jak słońce. Ale słońca emanują nie tylko ciepło. Promieniują w różnych częstotliwościach widma, sycząc, grzmiąc i rażąc blaskiem jak piec hutniczy, kiedy używają swej gniewnej, niszczącej mocy, która zabija. Ilekroć znajdę się w pobliżu Mistrza, natychmiast odczuwam tę jego drugą siłę, tę przerażającą. Brzęczy od niej powietrze wokół niego, choć ciepło i dobra wola także są wyraźnie wyczuwalne. Jego moc budzi strach. A przecież jest tylko człowiekiem, i to bardzo starym, o gładkiej, okrągłej, pozbawionej włosów głowie i bladych, tajemniczo łagodnych oczach. Dlaczego miałbym się go bać? Moja wiara jest silna. Wielbię Mistrza. Wszyscy go wielbimy.

To dopiero nasze piąte spotkanie. Poprzednie odbyło się przed siedmiu laty, kiedy zegnaliśmy wyprawę do Altaira. My z drugiego Domu rzadko mamy powód odwiedzać tych z Sanktuarium, a oni też nieczęsto bywają u nas. Ale Mistrz natychmiast mnie rozpoznaje, woła po imieniu i własnoręcznie nalewa mi chłodnego, klarownego, złotego wina. Tak, jak przypuszczałem, nie mówi od razu, po co mnie wezwał. Zamiast tego opowiada mi o swojej niedawnej wizycie w Stolicy, gdzie wielkie roje obdartych, głodnych ludzi biegły niezmordowanie w czasie procesji tuż obok jego palankinu błagając, by posłał ich w Mrok.

- Już wkrótce, wkrótce, moje dzieci - odpowiadał im, jak mnie teraz informuje. - Już niedługo wszyscy pojedziemy do naszych nowych siedzib w gwiazdach.

- I płakał, jak mówi, z czystej radości, czując, jak bardzo go kochają, czując ich tęsknotę za nowymi światami, do których jedynie my posiadamy klucze. Wydaje mi się, że teraz, opowiadając mi to wszystko, też cicho popłakuje.

Za biurkiem znajduje się niezwykle wyraźna i szczegółowa mapa gwiazd, zajmująca

tylną ścianę jego skromnej i urządzonej z prostotą izby. W gruncie rzeczy to jest tylna ściana: olbrzymia, zakrzywiona tarcza z jakiejś lśniącej, czarniejszej niż noc substancji, przedstawiająca naszą Galaktykę, z jej błyszczącym rdzeniem i spiralnymi ramionami. Wiele gwiazd o dużej wielkości świeci wyraźnie własnymi kolorami. Za nimi, ginąc w głębi ciemnego tła - dzięki czemu mapa sięga, zda się, w nieskończoność

- znajdują się sąsiednie galaktyki, spoczywające w chmurach migoczącego pyłu.

Jeszcze dalej od środka mapy leżą odleglejsze gromady i mgławice. Patrząc na to mam wrażenie, że lecę; lecę aż do najdalszych krańców Wszechświata. Wyrażam swoje uznanie dla pomysłowości twórcy tej mapy i jej zdumiewającego realizmu.

Ale wydaje się, że popełniam błąd.

- Ta mapa? Realistyczna? - wykrzykuje Mistrz, a energia, która dotychczas łagodnie trzaskała wokół niego, zaczyna znowu gwałtownie skwierczeć. - Ona jest nic nie warta: to zupełny galimatias. Czyste szaleństwo. Spójrz, ta gwiazda wysłała do nas światło dwanaście miliardów lat temu, ta - sześć miliardów lat temu, a ta - przed dwudziestu trzema laty. A my widzimy je wszystkie jednocześnie. Chociaż ta jeszcze nie istniała, kiedy tamta zaczęła promieniować ku nam swoim światłem. Tamta z kolei mogła zgasnąć pięć miliardów lat temu, ale my się o rym nie dowiemy przez następne pięć miliardów lat. -

Jego głos, zazwyczaj taki cichy, staje się coraz donośniej szy i słychać w nim niebezpieczne tony. Nie widziałem go jeszcze tak rozgniewanego. - Czyli co właściwie nam ta mapa pokazuje? Wcale nie rzeczywisty obraz Wszechświata, ale jedynie pozbawiony znaczenia śmietnik, złożony z subiektywnych wrażeń. Pokazuje gwiazdy tak, jak nam się wydaje, że wyglądają w tej chwili, a my udajemy, że to jest aktualna wizja Kosmosu, jego prawdziwej konfiguracji.

Ma zarumienioną twarz. Dolewa nam wina. Nagle zaczyna mu drżeć ręka i mam

wrażenie, że rozleje płyn, ale nie: potrafi się doskonale kontrolować. Pijemy w milczeniu.

Mija chwila i Mistrz jest znowu spokojny, dobrotliwy jak Budda, a ja stoję skąpany w blasku, w poświacie promieniującej z jego ducha.

- No cóż, musimy działać możliwie jak najlepiej w ramach naszych ograniczeń - mówi

łagodnym tonem. - A ta mapa nie jest zupełnie bezużyteczna, jeśli chodzi o obiekty bliższe. -

Dotyka czegoś na swoim biurku i obraz gwiazd ulega oszałamiającej zmianie; odpadają zewnętrzne gromady, a centrum naszej Galaktyki nasuwa się tak, że po chwili wypełnia całą przestrzeń. Kolejny ruch palca i rozświetla się wewnętrzne królestwo Galaktyki: ta dobrze znana sfera o średnicy stu lat świetlnych, stanowiąca obszar działania naszej Misji. Przez jej środek, od gwiazdy do gwiazdy biegnie sieć błyszczących, żółtych linii, zaznaczających miejsca wybrane przez nas na siedziby pierwszych stacji. Ta sieć tworzy wzór, który znam na pamięć, i widząc ją odczuwam komfort i spokój, jakbym spoglądał na mapę swojego miasta.

Teraz z pewnością Mistrz zacznie mówić o sprawach związanych z Misją; po swoim, okrężną drogą zmierzać do wyjaśnienia mi powodu, dla którego zostałem tu wezwany. Ale nie. Nie. Chce mi opowiedzieć o aloesowym ogrodzie, który zobaczył ostatnio u wybrzeży Morza Śródziemnego, o poskręcanych, spiczastych zielonych rozetach, zwieńczonych płonącymi czerwono pochodniami kwiatów.

A zaraz potem mówi mi o swojej wyprawie nad jezioro w Afryce Wschodniej, gdzie zobaczył miliony różowych flamingów, aż cały świat wydawał mu się różowy. I o pielgrzymce do najwyższych przełęczy Sierra Nevada, gdzie powykręcane karłowate sosny, rosnące tam od dziesięciu tysięcy lat, znoszą najgorsze zimowe mrozy i wichry. Kiedy tak mi opowiada, jego twarz ożywia się, w oczach pojawiają się iskry entuzjazmu. Tak jakby opadła z niego starość i stał się młodszy o trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że tak bardzo interesuje się przyrodą.

- Kiedy następnym razem będziesz w moim kraju - mówię mu - może zgodzisz się, abym ci pokazał pewne miejsce na południowym wybrzeżu, gdzie w lecie zakładają gniazda cudowne pingwiny. Myślę, że to miejsce na całym świecie kocham najbardziej.

Uśmiecha się.

- Musisz mi o nim kiedyś opowiedzieć.

Ale jego głos jest obojętny, emocje minęły. Widocznie nasza krótka rozmowa wyczerpała go.

- Ta nasza Ziemia jest taka piękna - mówi. - Tyle cudów, tyle wspaniałości.

Co chce przez to powiedzieć? Przecież na pewno wie, że pozostały już tylko nieliczne, rozproszone wysepki piękna umieszczone wysoko ponad zanieczyszczonymi terenami lub osłonięte przed skażonym powietrzem; że wszystko inne jest nieodwracalnie zrujnowane, splamione, zużyte, zniszczone wskutek najróżniejszych szaleństw popełnianych przez ludzi.

- Naturalnie - dodaje - opuściłbym ją natychmiast, gdyby obowiązki nakazały mi wyruszyć w Mrok. Zrobiłbym to bez wahania. Nie miałoby dla mnie żadnego znaczenia, że mógłbym tu już nigdy nie wrócić. - Przez chwilę milczy. Następnie wyciąga z szuflady biurka dysk i podsuwa go w moją stronę. - Z dużą przyjemnością wysłuchałem tej muzyki. Może tobie też się spodoba. Porozmawiamy sobie znowu za dzień lub dwa.

Mapa za nim gaśnie. Jego spojrzenie, choć nadal utkwione we mnie, także gaśnie.

Audiencja skończona, a ja niczego się nie dowiedziałem. No cóż, krążenie wokół istoty sprawy to jego specjalność. Rozumiem teraz przynajmniej tyle, że to co przytrafiło się Misji - a z pewnością musiało wydarzyć się coś złego; jaki mógłby być inny powód mojej obecności tutaj? - jest nie tylko wystarczająco poważne, aby wezwać mnie, odrywając od Domu i pracy, lecz aż tak poważne, że Mistrz odczuwa potrzebę spotkania się ze mną więcej niż raz, nim mi wyjawia, o co chodzi. Naturalnie zachowuję spokój. Spokój to niezbędna cecha

charakteru, jaką musi posiadać każdy, kto służy Zakonowi. A jednak w tej całej sprawie jest coś dziwnego, co powoduje, że czuję taką rozterkę, jak jeszcze nigdy w ciągu czterdziestu lat mojej służby.

Nocne powietrze jest ciepłe i nadal wilgotne po niedawnym deszczu. Mieszkanie Mistrza znajduje się na szczycie wysokiej platformy, wykutej w różowym granicie. Otaczają je półkolem pozostałe budynki Zakonu, rozmieszczone poniżej, na zboczu wielkiego pochyłego wzgórza. Kiedy udaję się w kierunku zajazdu, w którym się zatrzymałem, nowicjusze, a nawet niektórzy wtajemniczeni, wpatrują się we mnie tak, jakby chcieli paść przede mną na kolana. Otaczają mnie taką samą czcią, jaką ja otaczam Mistrza. Gdyby tylko mogli, dotykałiby rąbka mojej sukni. Witam ich lekkim skinieniem głowy i uśmiechem. Patrzą na mnie spragnionym wzrokiem, nawiedzeni przez. Boga i gwiazdy.

- Najwyższy Strażnik Prawa - szepczą. - Niech cię Bóg prowadzi, Wasza Wielebność.

Niech cię Bóg prowadzi.

Jeden nowicjusz, chudzina, same kości policzkowe i brwi, odważa się podbiec do mnie i spytać, czy Mistrz dobrze się czuje.

- Bardzo dobrze - odpowiadam mu.

Jakaś dziewczyna, drżąc jak cięciwa łuku, powtarza nieustannie moje imię, jakby to jedno mogło ją zbawić. Pulchny, przypominający z wyglądu mnicha mężczyzna w todzie zbyt ciężkiej jak na ten gorący klimat, spogląda na mnie w oczekiwaniu na błogosławieństwo, którego mu udzielam szybkim ruchem ręki, po czym prędko ruszam dalej, skupiając całą uwagę na swoich myślach oraz na niebiosach, aby uwolnić się od kolejnych błagań.

Zamaszyście kroczę przez szerokie stopnie platformy w kierunku mojego apartamentu.

Nie widać dziś Księżyca, ale na tle czerni nieba nad wzgórzami wspaniale świecą dziesiątki tysięcy gwiazd. Czuję, jak te niezliczone gwiazdy cisną się wokół mnie, okrążają

mnie, otulają, i wiem, że odczuwam w ten sposób obecność Boga. Wyobrażam sobie nawet, że widzę oddalone mgławice, dalekie, wyspowe wszechświaty. Myślę o naszych małych statkach, cierpliwie płynących przez wielki Mrok ku odległym granicom wybranej przez nas sfery osadnictwa, niosących odbiorniki, które - z Bożą pomocą - otworzą przed nami całe niebiosa. Mam wyschnięte gardło. Do oczu napływają mi łzy. Pomimo czterdziestu lat służby nie przestało mnie to napawać nabożnym zachwytem.

W moim przestronnym i zbyt bogato wyposażonym pokoju w zajeździe klękam, oddaję cześć Bogu i modlę się, jak zwykle, aby znaleźć się jeszcze bliżej Niego. Wiem, że w gruncie rzeczy jestem zaledwie wehikułem, za którego pomocą inni mogą podążać ku Niemu; mostem, po którym zmierzają do Niego. Ale na swój sposób ja także służę Bogu, a służyć Mu oznacza zbliżać się do Niego. Moim zadaniem przez te wszystkie lata było wysyłać podróżników do dalekich światów Jego królestwa. Nie jest mi dane samemu udać się w tę podróż i uważam to za moje poświęcenie, moją chwałę. Nie żałuję, że pozostaję na Ziemi; jestem jak najdalej od tej myśli! Ziemia to nasza matka. Matka nas wszystkich. Niezależnie od tego, jak bardzo jest znękana, zniszczona, wręcz umierająca, cieszę się, że pozostaję na niej, a nawet więcej niż cieszę. Jak mógłbym ją opuścić? Mam swoje zadanie, które muszę wykonywać tutaj, a zatem moje miejsce jest właśnie tu.

Przez pewien czas medytuję nad tym.

Potem oliwię ciało przed snem i nalewam sobie kieliszek doskonałej brandy, którą przywiozłem z domu. Podchodzę do wyzwalacza w ścianie i pozwalam sobie na trzydzieści sekund ekstazy. Następnie przypomina mi się dysk, подарowany przez Mistrza i postanawiam posłuchać go przed zaśnięciem. Muzyka, jeśli tak to można określić, nie robi na mnie żadnego wrażenia. Słyszę poszczególne nuty, ale nie jestem w stanie złożyć ich razem w jakikolwiek rytmiczny czy melodyjny układ. Kiedy następuje koniec, puszczam dysk jeszcze raz. I znowu

słyszę jedynie przypadkowe dźwięki, ani miłe, ani nieprzyjemne, po prostu niespójne.

Następnego ranka oprowadzają mnie po Sanktuarium, abym mógł zobaczyć wszystko, co tu zbudowano od czasu mojej poprzedniej wizyty. Tropikalne słońce błyszczy, razi tak silnie, że rozpala niebo do matowej bieli, na której tle kolorowe kopuły, pawilony i szpice wydają się dziwnie wyraziste, a wysoka zielona czasza otaczających wzgórz, gęsto porośnięta bujnie kwitnącymi drzewami, obsypanymi żółtym i purpurowym kwieciem, przybiera ciężki, groźny kształt.

Moim głównym przewodnikiem jest Kastel, Najwyższy Inwokator, krzepki, rumiany mężczyzna o chytrych oczkach i zwodniczo serdecznym sposobie bycia. Towarzyszy nam także kobieta, urzędniczka z Wyrocni, oraz dwóch zastępców Sędziego Wyrocni.

Pośpieszają mnie, choć niezwykle taktownie, przy obchodzeniu kolejnych budynków.

Wszyscy czworo traktują moją osobę tak, jakbym był z kruchego, najdelikatniejszego włókna szklanego, albo raczej jakbym był bombą, która może eksplodować od najlżejszego ruchu powietrza.

- Tam po lewej stronie - informuje mnie Kastel - znajduje się nowe obserwatorium, wyposażone w najdoskonalszy sprzęt umożliwiający badanie nieba, jaki został dotychczas wynaleziony. Dzięki niemu mamy stały dopływ informacji z każdego regionu Misji. Z przykrością muszę jednak wyznać, Wasza Wielbność, że sam skaner dzisiejszego ranka nie działa. Tam, naturalnie, znajduje się świątynia błogosławionego Haakona. Tu widzimy rdzeń komputera, a tam, za nim, pod tym światłoszczelnym baldachimem, mieści się ukończone w ostatnim czasie stelarium.

Widzę tryskające wodą fontanny, marmurowe chodniki, alabastrowe ściany, lśniące metaliczne fasady. Moi przewodnicy są bardzo dumni z tego, co tu zbudowano. Sanktuarium powstawało przez dziesięciolecia i obecnie łączy w sobie cechy stolicy papieskiej, głównego

ośrodka badawczego i niesłuchanie komfortowego uzdrowiska. Wszystko tu pachnie nowością, lśni, zdumiewa luksusem. Jest to jednocześnie ośrodek o wielkiej symbolicznej mocy, skupiający władzę duchową tak przytłaczającą w swej wystawności jak każdy inny wielki ośrodek kultu - porównywalny z Watykanem, Potalą, świątynią w Delhi, czy Wielką Świątynią Azteków - oraz sprawnie działający sztab, kierujący systematycznymi badaniami Wszechświata. Nikt nie kwestionuje faktu, że Sanktuarium wiezie prym wśród Domów Zakonu - bo jakże mogłoby być inaczej? - ale przepych, z jakim urządzono tę potężną górską twierdzę, podkreśla jej prymat ponad wszelką wątpliwość. W gruncie rzeczy wolę surowszy, skromniejszy styl mojej pustynnej posiadłości leżącej dziesięć tysięcy kilometrów stąd. Ale Sanktuarium z całą pewnością jest, na swój sposób, imponujące.

- A to? - pytam raczej z uprzejmości niż z innych pobudek. - Ten budynek o płaskim dachu, w pobliżu palm?

- To więzienie, Wasza Wielbność - odpowiada jeden z zastępców Sędziego Wyroczni.

Spoglądam na niego pytająco.

- Nieustannie błąkają się tu różni ludzie z położonych niżej miast - wyjaśnia. - Mam na myśli tych, którzy wchodzą na nasz teren bez upoważnienia. - Wyraz jego twarzy jest zimny. Intruzi, o których mówi, zapewne irytują go; a może to moje pytanie wprowadziło go w zakłopotanie? - Wiesz, mają nadzieję, że namówią nas, abyśmy ich wysłali w Kosmos. Albo liczą na to, że gdzieś tu znajdą przekaźniki lub uda im się jakoś dostać na statek.

Przetrzymujemy ich tu przez pewien czas, aby wiedzieli, że nie tolerujemy prób włamania się na nasz teren. Ale to nie daje efektu. Nadal nieustannie przychodzą. Tylko w tym tygodniu złapaliśmy co najmniej dwudziestu włóczęgów.

- To prawda, że usiłujemy ich czegoś nauczyć - mówi ze śmiechem Kastel. - Ale oni

są na to zbyt głupi!

- Nie mają szansy przejść nie zauważeni przez ekran perymetryczny - mówi urzędniczka z Wyroczni. - Natychmiast ich wyłapujemy. Ale tak jak powiedział Joseph, pomimo to nadal przychodzą. - Wzdryga się. - Są tacy brudni! I tacy nędzni, tacy przerażający. Wydaje mi się, że wcale nie po to tu przychodzą, żebyśmy ich wysłali. Moim zdaniem to po prostu bandyci, którzy chcą nas okraść, a kiedy zostają złapani, zmyślają, że chcą być kolonistami. I powiem wam, że jesteśmy dla nich zbyt łagodni. Gdybyśmy zaczęli traktować ich jak złodziei, którymi przecież są, z pewnością straciliby ochotę do zakradania się tutaj.

Zastanawiam się, co się dzieje z tymi aresztantami. Podejrzewam, że wcale nie są traktowani tak łagodnie, jak sądzi ta kobieta z biura Wyroczni - czy jak chciałaby, abym ja sądził. Ale jestem tu tylko gościem. Nie powinienem wtrącać się w ich metody utrzymania bezpieczeństwa.

To jest jakby inny świat, tu, ponad chmurami. Poniżej znajduje się rojna Ziemia, ciemna i znękana, dręczona różnymi kultami i nieszczęściami, dusząca się i dławiąca we własnej korupcji i upadku; podczas gdy w tym przestronnym królestwie, wysoko ponad rozpadającymi się i udręczonymi miastami na równinie słudzy Zakonu, bezpieczni za ekranem perymetrycznym, w spokoju oddają się swojemu zadaniu, jakim jest opracowanie i sprecyzowanie planu przeniesienia najlepszych przedstawicieli gatunku ludzkiego na zewnątrz, do gwiazdznego królestwa Boga. Kontrast jest ogromny i rażący: tutaj tarasy z różowego marmuru i fontanny, a poniżej - choroby, nędza i rozpacz.

Ale właściwie czy w mojej siedzibie na równinie australijskiej jest inaczej? Nie zabiegamy wprawdzie o przepych architektoniczny naszego Domu, nie ma u nas alabastrów ani onyksu - są tylko proste baraki z zielonego metalu, w których znajdują się nasz sprzęt i

mieszkania. Jednakże w naszym kapłańskim odosobnieniu trzymamy się z dala od głodnych i spoconych mas, jako uprzywilejowana kasta, wiodąca proste, lecz dostatnie życie - niezaprzeczalnie dostatnie - i realizujemy nasze zadanie polegające na wybieraniu tych, którzy mają wyruszyć ku gwiazdom, i wysyłaniu ich w tę podróż przerastającą granice ludzkiej wyobraźni. Na swój sposób jesteśmy równie oderwani od presji i cierpienia ludzkości, jak i ci rozpieszczeni funkcjonariusze Sanktuarium. Nic nie wiemy o życiu poza naszym Zakonem. Nic. Zupełnie nic.

- Byłem wczoraj zbyt surowy, a nawet bluźnięm - mówi Mistrz. Znajdująca się za jego plecami mapa znowu świeci, pokazując wewnętrzną sferę Galaktyki i linie wyznaczające sieć Misji, tak jak wczoraj. Sam Mistrz także rzuca lunę światła; jego gładka skóra jest zaróżowiona jak u niemowlęcia i lśnią mu oczy. Ile może mieć lat? Sto pięćdziesiąt? Dwieście? - Mimo wszystko mapa pokazuje nam oblicze Boga - oświadcza. - Jeśli jest niedoskonała, to dlatego, że ujawnia niedoskonałość naszej percepcji. Ale czy możemy ją z tego powodu potępiać? Nie bardziej, niż potępiać nas samych za to, że nie jesteśmy bogami. Powinniśmy ją raczej czcić pomimo jej wad, ponieważ jest najlepszym, jakie jesteśmy w stanie stworzyć, przybliżeniem boskiej rzeczywistości.

- Oblicza Boga?

- A czymże jest Bóg, jeśli nie Wielką Całością? I jak możemy oczekiwać, że zobaczymy i zrozumiemy Całość Całości od jednego wejrzenia? - Mistrz uśmiecha się. To nie są myśli, które przysły mu do głowy po raz pierwszy, ani też to zupełne zaprzeczenie wczorajszego wybuchu nie jest spontaniczne. Bawi się mną. - Bóg jest wiecznym ruchem w nieskończonej przestrzeni. Jest Kosmosem; takim, jaki był dwanaście miliardów lat temu i jakim będzie za dwanaście miliardów lat; jednocześnie. Ta mapa, którą widzisz, jest naszą żalną próbą przedstawienia czegoś ze swej istoty nie dającego się przedstawić; ale

zasługujemy na pochwałę za podejmowanie prób, mimo że z góry skazanych na niepowodzenie, dokonania tego, czego nie da się dokonać.

Potakuję. Wpatruję się w niego. Co mógłbym mu powiedzieć?

- Kiedy doświadczamy boskiego objawienia - kontynuuje pogodnie Mistrz -

otrzymujemy nie informację o formule statycznego świata, który umożliwia nam pozostanie w spoczynku, ale raczej świadomość potęgi Stwórcy, który wprawia nas w ruch, tak jak On sam jest w ruchu.

Myślę o Dancem, o jego stwierdzeniu: "Król, przez którego niebieska kraina trwa w tym pokoju". Czy jest w tym sprzeczność? Jak "ruch" może być "pokojem"? I dlaczego

Mistrz mówi mi to wszystko? Teologia nigdy nie była moją specjalnością, ani też - generalnie

- specjalnością mojego Domu, i Mistrz dobrze o tym wie. Zawily charakter tej dyskusji

wprawia mnie w zakłopotanie. Wzrok mam skierowany na Mistrza, ale zmienia się ogniskowa soczewek moich oczu i spoglądam poza niego, na mapę, na czerwoną Antares, błękitną Rigel i ostro świecącą, niebieskobiałą Wege, przyciągające moją uwagę swym blaskiem.

- Z pewnością zgodzisz się z tym, że nasza Misja jest elementem wielkiego boskiego

planu - mówi Mistrz. - To metoda, jaką Bóg umożliwia nam wyruszenie w podróż ku Niemu.

- Naturalnie.

- A zatem wszelkie ingerencje w model opracowany przez Misję muszą być sprzeczne z wolą boską, czyż nie tak?

To nie jest pytanie. Ponownie milczę, czekając na dalszy ciąg.

Mistrz wskazuje na ekran za sobą.

- Sądzę, że znasz ten układ gwiazd i linii lepiej niż układ linii na własnej dłoni.

- Ja też tak sądzą.

- A co powiesz na ten rozkład?

Dotyka przełącznika. Układ gwałtownie zmienia się: jasna, symetryczna sieć łącząca bliższe gwiazdy pęka i strumienie światła rozbiegają się jak szalone ze środka w stronę odległych krańców Galaktyki, przypominając fotografię mikroskopową błędnych cząstek wydostających się na zewnątrz w czasie reakcji atomowej. Widok jest wstrząsający: zaburzenie równowagi, niebo pozbawione swojego porządku, triumfuje dysharmonia. Krzywię się i odwracam oczy od tego widoku; czuję się tak, jakby Mistrz uderzył mnie w twarz.

- Ach. Nie podoba ci się to, tak?

- Proszę mi wybaczyć. Ale to wydaje mi się profanacją.

- Bo tym właśnie jest. Dokładnie.

Robi mi się zimno. Chcę, żeby przywrócił na ekranie właściwy obraz. Ale on pozostawia ten rozproszony.

- Rozumiesz zapewne, że to tylko projekcja probabilistyczna. Oparta na pierwszych, fragmentarycznych sprawozdaniach otrzymanych z dalszych placówek, za pośrednictwem stacji retransmisyjnej

Zakonu na Lalande 21185. Nie jesteśmy pewni, co tam się naprawdę zdarzyło. Mamy, naturalnie, nadzieję, że nasze odwzorowania są niedokładne i że plan jest jednak realizowany.

Wkrótce będziemy mieli szczegółowe dane.

- Niektóre z tych linii muszą sięgać odległości tysiąca lat świetlnych!

- Nawet jeszcze dalej.

- Nic nie mogło dotrzeć tak daleko od Ziemi przez mniej więcej sto lat, odkąd zaczęliśmy...

- To są projekcje. Wektory. Ale zdają się informować nas, że jakieś statki skierowano

poza wcześniej określone cele i poruszają się one w Mroku po trajektoriach znacznie rozleglejszych, niż było naszym zamiarem.

- Ale nasz plan... Misja...

W jego głosie znowu pojawił się ostry ton.

- Ci, których za pośrednictwem twojego Domu wybraliśmy do realizacji planu, są bardzo daleko, Najwyższy Strażniku Prawa. Nie podlegają już naszej kontroli. Jeśli znalazłszy się pięćdziesiąt lat świetlnych od nas postanowią robić to, co się im żywnie podoba, jakie mamy środki, aby im to uniemożliwić?

- Ogromnie trudno mi uwierzyć, że którykolwiek z wysłanych przez nas kolonistów byłby w stanie naruszyć przepisy Kodeksu Mroku - mówię, być może zanadto podniesionym głosem.

I natychmiast zdaję sobie sprawę, że pozwoliłem sobie sprzeciwić się Mistrzowi.

Zaprzeczanie jego słowom nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Widzę, jak wokół jego głowy pojawiają się błyskawice, choć zachowuje spokój i nadal traktuje mnie łagodnie.

Jedynie słabiutki rumieniec na jego starczej twarzy zdradza gniew. Nie odpowiada na moje słowa. Bardzo szybko powracam na bezpieczne tory.

- Proszę nie rozumieć tego, jako braku szacunku - ciągnę - ale skoro jak powiedziałeś, jest to jedynie projekcja probabilistyczna...

- Wszystko, czemu poświęciliśmy nasze życie, jest teraz zagrożone - mówi cicho. -

Jak temu zaradzić? Co mamy robić, Najwyższy Strażniku Prawa?

Już od nieco ponad stu lat budujemy naszą gwiazdną autostradę, mozolnie układając ją kamień po kamieniu. Tym spośród nas, którzy liczą czas dziesiątkami lat, może się to wydawać długim okresem, zwłaszcza że na razie ułożyliśmy zaledwie mały kawałek drogi do wielkiej ciemności; lecz choć często mamy wrażenie, że robimy małe postępy, w

rzeczywistości osiągnęliśmy już cuda, a mamy przed sobą całą wieczność na dokończenie naszego zadania.

Wzywając nas do siebie Bóg nie obdarzył nas magicznymi rydwanami. W naszej pracy ogranicza nas nieustanna potrzeba korekty relatywistycznych błędów oceny. Czynnikiem ograniczającym przy budowie naszej sieci jest też prędkość światła. Choć Efekt Veldego pozwala nam na swój sposób ominąć, pokonać tę barierę, musimy najpierw dostarczyć na gwiazdy odbiorniki Veldego, a w tym celu możemy używać jedynie konwencjonalnych pojazdów kosmicznych. Mogą one poruszać się z szybkością zbliżoną do światła, mogą ją nawet osiągnąć, ale nigdy jej nie przekroczą: statek gwiazdny udający się na gwiazdę odległą o czterdzieści lat świetlnych od Ziemi, aby dotrzeć do celu, musi podróżować co najmniej czterdzieści lat. Później, kiedy całe niebo połączy się naszych odbiorników, przestanie to być problemem. Ale to będzie później.

Kluczem do wszystkiego, co robimy, jest powiązanie między materią i antymaterią. Kiedy Bóg budował dla nas Wszechświat, zadbał, aby wszystko znajdowało się w stanie równowagi. Podstawowe składniki materii występują w parach: dla każdego rodzaju cząsteczki istnieje antycząsteczka, identyczna co do masy, ale posiadająca pod każdym innym względem przeciwne własności, będąca lustrzanym odbiciem takich cech, jak ładunek elektryczny i oś krętu. Materia i antymateria anihilują się wzajemnie przy zetknięciu, wyzwalaając przy tym ogromną energię. I odwrotnie, każde wystarczająco silne pole energii może doprowadzić do powstania identycznej liczby par cząsteczek i antycząsteczek, choć nieuniknionym następstwem tego będzie ich anihilacja, przemieniająca masę par tych cząsteczek z powrotem w energię.

Najwyraźniej we Wszechświecie istnieje - i istniała od momentu stworzenia go - symetria materii i antymaterii, równe ilości obu. Jest to koncepcja często kwestionowana

przez fizyków, ale my wierzymy, że tak właśnie zaplanował to Bóg. Ponieważ materia i antymateria nie mogą istnieć obok siebie, w naszej Galaktyce jest bardzo mało antymaterii, o ile w ogóle występuje; a to skłania nas ku przypuszczeniu, że zachowanie symetrii wymaga istnienia galaktyk z antymaterii, a nawet całych gromad takich galaktyk. Niezależnie od tego czy tak jest w istocie, zapewne nie uda nam się ani potwierdzić, ani obalić tego założenia przez wiele tysięcy lat.

Ale koncepcja symetrii jest dla nas sprawą zasadniczą. Opieramy się w naszej pracy na teoremacie Veldego, który zakłada, że spontaniczna konwersja materii w antymaterię może nastąpić w każdym momencie - choć w rzeczywistości jest to zdarzenie nieskończenie mało prawdopodobne - ale musi temu towarzyszyć równoczesna przemiana antymaterii w materię, która następuje gdzieś, gdziekolwiek we Wszechświecie. Niemal w tym samym czasie, kiedy Velde ogłosił swoje poglądy - to znaczy jakieś półtora wieku temu - Wilf zaprezentował możliwość skonstruowania urządzenia pozwalającego na powstrzymanie, nieuniknionej w innych okolicznościach, wzajemnej anihilacji materii i antymaterii, co otworzyło drogę do kontrolowanej transformacji cząsteczek w ich antycząsteczki. Wreszcie Simtow, łącząc techniczne osiągnięcia Wilfa z teoretycznymi Veldego, stworzył urządzenie, które nie tylko pozwala na kontrolowaną konwersję materii w antymaterię, ale także rozwiązało problem przypadkowości występujący w teoremacie Veldego o zachowaniu symetrii.

Urządzenie Simtowa reguluje Efekt Veldego w taki sposób, że przemianie materii w antymaterię towarzyszy konieczna równoważąca transformacja antymaterii w materię nie w jakimś przypadkowym punkcie Wszechświata, lecz w miejscu wyznaczonym. Simtow zdołał wywołać rozpad cząsteczki na jednym biegunie zamkniętego układu w taki sposób, że na drugim końcu tego układu następuje rozpad odpowiadający mu, ale przeciwnie skierowany. Na obu krańcach tego układu zastosowano pola powstrzymujące Wilfa w celu zapobiegnięcia

anihilacji nowo powstałych cząsteczek przez kontakt z otaczającymi je cząsteczkami przeciwnego znaku.

I otwarła się droga do natychmiastowego przenoszenia materii na wielkie odległości, choć zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero po pewnym czasie. Osiągnęliśmy to poprzez umieszczenie bieguna odbiorczego transformatora Simtowa w określonym miejscu. I stosując skomplikowany, trójfazowy cykl transformacji zyskaliśmy możliwość transmisji materii do wybranego celu.

W pierwszej fazie materia przemienia się w antymaterię w miejscu docelowym, w nieuregulowanej reakcji, i zostaje zgromadzona w powstrzymującym anihilację pojemniku Wilfa. Proces ten, zgodnie z równaniem zachowania masy Veldego, zapewne wzbudza spontaniczną transformację odpowiedniej masy antymaterii w materię w jednej z nieznanych, odległych galaktyk z antymaterii, gdzie natychmiast ulega ona anihilacji.

W drugiej fazie materia przemienia się w antymaterię w miejscu, z którego ma nastąpić przemieszczenie, ale tym razem przy zastosowaniu systemu regulacji Simtowa, dzięki czemu wynikająca z prawa Veldego transformacja wcześniej zgromadzonej antymaterii następuje nie w jakimś odległym, przypadkowym miejscu, lecz wewnątrz pola Wilfa, w wyznaczonym biegunie odbiorczym, który może zostać ulokowany w dowolnym punkcie Wszechświata. Sprowadza się to w zasadzie do natychmiastowego powielania cząsteczek przemieszczanej materii w punkcie docelowym.

Ostatnim krokiem jest pozbycie się niepotrzebnej antymaterii, powstałej w miejscu, z którego następowało przemieszczenie. Ponieważ poza pojemnikiem Wilfa ulega ona natychmiast anihilacji, jej trwałe istnienie w układzie zbudowanym z materii jest bezsensowne i niemożliwe. Dlatego zostaje ona w kontrolowanym procesie zanihilowana, przy czym wyzwala się znaczna ilość energii, która może być wykorzystana do zasilenia

nowego cyklu procesu transmisji.

A co się dzięki temu osiąga? Otóż pewna ilość materii zostaje zniszczona w miejscu, z którego następuje przemieszczenie; zasadniczo w tym samym momencie w punkcie docelowym, odbiorczym, powstaje duplikat tej materii. Początkowe doświadczenia dowiodły, że nie ma znaczenia, co jest przemieszczane w tym systemie: kamień, książka, doniczka z geranium, żaba. To co weszło z jednej strony, pojawiała się z drugiej; absolutnie doskonała replika, pod żadnym względem niczym nie różniąca się od oryginału. Wszystko jedno, czy oba bieguny były umieszczone w dwóch końcach laboratorium, czy na różnych kontynentach, czy też jeden na Ziemi, a drugi na Marsie - transmisja zawsze następuje natychmiast i jest całościowa. To co weszło do systemu żywe, wychodziło również żywe. Geranium nadal kwitło i miało nasiona; żaba nadal patrzyła, skakała, łapała insekty. Mysz, która została przesłana, nadal żyła, mnożyła się i podróż ani trochę nie skróciła długości jej życia. Przesłano ciężarną kotkę, która trzy tygodnie później urodziła pięć zdrowych kociąt. Następnie eksperymentowano z psem, małpą, człowiekiem...

Tak, człowiekiem. Czyż ktokolwiek dokonał odważniejszego skoku w ciemność niż wielki sługa Boży Haakon Christiansen, błogosławiony Haakon, którego czcimy i otaczamy wieczystym szacunkiem?

Postawił wszystko na jedną kartę i wygrał, zyskując dzięki swemu zwycięstwu nieśmiertelność oraz dając nam bezcenny podarunek.

Jego udana podróż otworzyła przed nami niebiosy. Musieliśmy jedynie rozmieścić stacje odbiorcze. Księżyc, Mars, księżycy Jowisza i Saturna znajdowały się niemal w zasięgu ręki. A potem? Potem? Ależ naturalnie, co nam pozostało innego, jeśli nie wyruszyć z naszymi odbiornikami ku gwiazdom?

Od wielu godzin spaceruję sam po terenie Sanktuarium, głęboko zmartwiony.

Zupełnie jakby otaczało i chroniło mnie zakłęcie ciszy i samotności. Nikt nie odważa się do mnie podejść: ani żaden suplikant, ani w celu złożenia hołdu, ani nawet by spytać, czy czegoś nie potrzebuję. Przypuszczam, że wiele par oczu przygląda mi się ostrożnie z daleka, ale najwyraźniej dla wszystkich obserwujących mnie musi być oczywiste, że nie należy mi przeszkadzać. Widocznie wytwarzam dziś jakąś szczególną aurę. W blasku tropikalnego popołudnia, moją duszę spowija zimna ciemność. Wydaje mi się, że cała ta cudowna okolica jest jak okiem sięgnąć zasypała białym śniegiem; ośnieżone są okoliczne wzgórza, śnieg leży na trawnikach, tworzy grube warstwy wokół migoczących strumieni, okrywa sterylną bielą wszystko, aż po kraniec świata.

Jestem człowiekiem surowym, ale nie melancholijnym czy udręczonym. Inni myślą moją zdyscyplinowaną naturę z czymś mroczniejszym, widząc we mnie chłód, ponuractwo, oschłość - mające maskować jakieś dolegliwości duszy. To nie tak. Jeśli zrezygnowałem z przywileju wyruszenia ku gwiazdom, który z pewnością mi przysługiwał, to nie z tego powodu, że odpowiada mi perspektywa doczekania kresu życia na tym okaleczonym i spustoszonej świecie, ale dlatego, że czuję, iż Bóg żąda ode mnie właśnie tego, abym pozostał tu i pomagał wyruszyć innym. Jeśli jestem twardy i nieprzystępny, to z tego względu, że nie mogę być inny, biorąc pod uwagę wybór, jakiego dokonałem kształtując swoją karierę: jestem zarówno kapłanem, jak i strażnikiem prawa, i swojego rodzaju żołnierzem. Żyję pełnym poświęcenia, samotnym życiem. Ale wiem, co to jest radość. Wypełnia mnie muzyka. Moje zmysły są w pełni sprawne, wszystkie. Z zewnątrz mogę się wydawać nieustępliwy i ponury, ale to jedynie dlatego, że w wyniku świadomego wyboru pozbawiłem się przyjemności bycia kimś zwykłym, leniwym, bezproduktywnym. Są tacy, którzy nie rozumieją tego i widzą we mnie jakiegoś ponurego mnicha, ograniczonego i fanatycznego; człowieka smutnego, nieszczęsnego; kogoś, komu dobrze zrobiłoby znalezienie się wśród zwykłych ludzi, aby

poznał strach i zdał sobie sprawę ze swojej izolacji. Sądzę, że się mylą. A jednak dzisiaj, kiedy rozmyślam nad tym, co Mistrz mi powiedział, a także tym, co tylko sugerował, szarpia mnie tak silne przecucia i jestem tak przygnębiony, że widocznie promieniuje ode mnie przerażająca posępność, która powoduje, że inni trzymają się z dala. W każdym razie przez znaczną część popołudnia pozostawiają mi swobodę krążenia po okolicy wedle mojej woli. Sanktuarium stanowi zamknięty, samowystarczalny świat. Niczego nie potrzebuje z zewnątrz. Stoję w pobliżu szczytu szarego wzgórza, patrząc na bawiące się dzieci, ogrodników sadzących nowe rośliny, nowicjuszy siedzących po turecku na trawnikach i studiujących swoje notatki. Patrząc w stronę ogrodów, usiłując dostrzec kolory, ale wszystkie jakby wyblakły. Słońce tu, na tej dużej wysokości, skryło się już za horyzontem; niebo wszakże nadal jest rozświetlone. Wygląda jak obręcz z metalu rozgrzanego do białości. Pochłania wszystko: krańce świata toną w nim pomału. Wszędzie tylko biel, taki uniwersalny śnieżny koc.

Przez dłuższą chwilę obserwuję dzieci. Śmieją się, krzyczą, biegają w kółko, wywracają się i podnoszą na nowo, nadal zanosząc się śmiechem. Nie czują klucia śniegu? Ale zaraz przypominam sobie, że śniegu przecież wcale nie ma. To tylko iluzoryczny, metaforyczny śnieg, wytwór mojej zmartwionej duszy, śnieżycy ducha. Dzieci nie widzą tego śniegu. Wybieram wzrokiem małą dziewczynkę, wyższą i poważniejszą od innych, stojącą nieco na uboczu, i wyobrażam sobie, że to moje dziecko. Myśl, że mógłbym być ojcem, wydaje mi się dziwna, ale przyjemna. Mogłem mieć dzieci. Wcale nie musiało to oznaczać życia bardzo różnego od tego, jakie wiodę. Ale wybrałem co innego. Teraz bawię się przez chwilę tym wyobrażeniem, które sprawia mi radość. Wymyślam dla dziewczynki imię; widzę oczyma wyobraźni, jak biegnie ku mnie po trawiastym zboczach; jak siedzimy razem w ciszy, wpatrując się w mapę nieba. Podaję jej nazwy gwiazd, pokazuję konstelacje. Ta wizja tak

mnie pochłania, że zacznę schodzić z boczem ku małej. A ona spogląda na mnie, kiedy jestem jeszcze w pewnej odległości od niej. Uśmiecham się. Nadal przygląda mi się, niepewna moich intencji. Inne dzieci trącają ją łokciami, wskazują palcami i coś szepczą. Potem cofają się, odsuwając ode mnie. Jakby padł na nie mój cień i zmroził je w trakcie zabawy. Pozdrawiam je skinieniem głowy i odchodzę, uwalniając je od mroku.

Ścieżka pokryta lśniącymi, zielonymi liśćmi prowadzi mnie do punktu widokowego na skraju skały, skąd widzę rozległą zatokę u stóp Góry Sanktuarium. Woda lśni jak polerowana tarcza albo raczej jak wielki migoczący zbiornik żywego srebra. Wyobrażam sobie siebie, skaczącego ze skalistego balkoniku, na którym stoję, i szybującego ostrym łukiem; potem uderzam o wodę, przecinam ją jak nożem i znikam bez śladu.

Wracając do głównego kompleksu Sanktuarium, przypadkowo spoglądam w dół zbocza, w kierunku długiego, wąskiego, nowego budynku, w którym, jak mi powiedziano, mieści się więzienie. Krata na wschodniej ścianie została uniesiona i z budynku wychodzi rząd więźniów. Wiem, że to więźniowie, ponieważ są powiązani wspólnym sznurem i idą powolnym, ciężkim krokiem, ze zwieszonymi głowami i opuszczonymi ramionami.

Ich ubrania nie zasługują nawet na to, by je nazwać łachmanami. Pomimo odległości dostrzegam, że mają rany, szramy i siniaki; jeden trzyma rękę na temblaku, inny jest tak obandażowany, że z twarzy widać mu tylko błyszczące oczy. Obok nich idzie trzech strażników, beztrąsko wymachując pałkami paraliżującymi z zielonego talrepu. Liny, którymi powiązani są więźniowie, zwisają luźno, stanowią jedynie pozorne ograniczenie. Nietrudno byłoby uwolnić się z pęt i odebrać pałki strażnikom. Ale więźniowie robią wrażenie skrajnie załamanych; jakkolwiek próba wyzwolenia się jest dla nich zapewne równie nieprawdopodobna jak pojawienie się na niebie armii skrzydlatych smoków.

Widok tych nieszczęśliwych więźniów, wlokących się po aksamitnym krajobrazie, jest

przykrym dysonansem. Czy Mistrz wie, że oni tu są i że trzymają ich w tak nędznych warunkach? Ruszam w ich kierunku. Nagle pojawia się znikąd, jakby czekał za krzakiem, Najwyższy Inwokator Kastel i staje na mojej drodze.

- Niech Bóg ma cię w swej opiece, Wasza Wielebność - mówi. - Jak się udała przechadzka?

- Ci ludzie, tam...

- Oni są bez znaczenia, Najwyższy Strażniku Prawa. To tylko kilku opryszków z zakradającego się tu motłochu. Wyprowadzają ich, aby mogli zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Czy nic im nie jest? Niektórzy wyglądają na rannych.

Kastel pociąga się mocno za jeden ze swoich rumianych, pulchnych policzków.

- To szaleńcy. Co pewien czas usiłują zaatakować strażników. Pomimo wszelkich środków ostrożności nie zawsze udaje nam się uniknąć użycia siły powstrzymując ich.

- Naturalnie. To zupełnie zrozumiałe - mówię, nie starając się nawet ukryć ironii. -

Czy Mistrz wie o tym, że w odległości niespełna kilometra od jego mieszkania bije się bezbronnych więźniów?

- Najwyższy Strażniku Prawa!

- Jeśli nie postępujemy humanitarnie we wszystkich naszych czynach, to czymże jesteśmy, Najwyższy Inwokatorze Kastel? Jaki przykład dajemy prostemu ludowi?

- To ten twój prosty lud - odpowiada mi ostro Kastel tonem, jakiego przedtem u niego nie słyszałem - otacza to miejsce jak armia plugawego robactwa, gotów ukraść wszystko, co tylko da się wynieść, i zniszczyć całą resztę. Czy zdajesz sobie sprawę, Najwyższy Strażniku Prawa, że to wzgórze wznosi się jak wyspa przywilejów nad morzem głodnych ludzi? Że w promieniu sześćdziesięciu kilometrów wokół podnóża tej góry gnieździ się zapewne trzydzieści milionów pustych żołądków? Że gdyby zawiódł nasz ekran perymetryczny, ludzie

zależałoby to miejsce jak szarańcza i opróżnili do czysta? I zapewne wyróżnili nas co do jednego, łącznie z Mistrzem.

- Niech Bóg broni.

- Bóg ich stworzył. Widać ich kocha. Ale jeśli ten Dom ma realizować zadanie, jakie Bóg nam przydzielił, musimy trzymać ich w ryzach. Proszę cię, Najwyższy Strażniku Prawa, abyś pozostawił nam te nieprzyjemne problemy administracyjne. Za kilka dni wrócisz do swojego odosobnionego gniazdka na pustkowiu, gdzie podobne problemy nie odrywają od pracy. Podczas gdy my pozostaniemy tutaj, w tym naszym ślicznym, małym górskim rajku, otoczeni przez wrogów. I jeśli od czasu do czasu podejmiemy jakieś działania, które uważasz za nie w pełni humanitarne, proszę, abyś zechciał pamiętać, iż strzeżemy tu Mistrza, który jest duszą Misji. - Przez moment pozwala mi dostrzec na swej twarzy wyraz wzdrygnięcia, jaką odczuwa wobec moich skrupułów. Ale po chwili znowu jest przyjacielski i pełen troski. - Dziś wieczór - mówi już zupełnie innym tonem - zostanie ponownie uruchomiony skaner w obserwatorium. Chciałbym cię zaprosić, abyś przyszedł obserwować z nami napływ sprawozdań z wszystkich zakątków Kosmosu. Proszę mi wierzyć, Najwyższy Strażniku Prawa, że to naprawdę budujący widok.

- Z przyjemnością go obejrzę.

- Ten postęp, jaki zrobiliśmy, Najwyższy Strażniku Prawa... to nasze posuwanie się ciągle dalej, zawsze zgodnie z boskim planem... mówię ci, nie jestem człowiekiem, o którym można powiedzieć, że reaguje emocjonalnie, ale kiedy widzę te szlaki, jakie wytyczamy w Mroku, to proszę mi wierzyć, że do oczu napływają mi łzy wzruszenia. Naprawdę napływają mi łzy.

Jego bystre oczka wpatrują się we mnie uważnie w oczekiwaniu na moją reakcję.

- Czy wszystko tutaj jest po twej myśli? - pyta po chwili.

- Naturalnie, Najwyższy Inwokatorze.

- A twe rozmowy z Mistrzem... czy przebiegały zgodnie z oczekiwaniem?

- Absolutnie. To prawdziwy święty.

- Prawda, Najwyższy Strażniku Prawa. Szczera prawda.

- Jak radzilibyśmy sobie z Misją bez niego?

- Jak sobie poradzimy - mówi Kastel w zamyśleniu - kiedy go zabraknie i nie będzie już udzielał nam wskazówek?

- Oby ten dzień był jak najodleglejszy.

- W rzeczy samej - zgadza się ze mną Kastel. - Choć muszę powiedzieć, w największym zaufaniu, że ostatnio zacząłem się obawiać...

Głos mu zamiera.

- Tak?

- Mistrz - szepcze. - Czy nie odniosłeś wrażenia, że jest jakiś inny?

- Inny?

- Wiem, że upłynęło wiele lat od waszego ostatniego spotkania. Być może nie pamiętasz już, jaki wtedy był.

- Zrobił na mnie wrażenie niezwykle logicznie rozumującego, potężnego i najbardziej imponującego spośród wszystkich ludzi.

Kastel przytakuje. Bierze mnie pod rękę i delikatnie prowadzi w stronę wyżej położonych budynków Sanktuarium, dalej od tych upiornych więźniów, którzy nadal drepczą przed swoim więzieniem, niczym chodzące trupy.

- Czy mówił ci - pyta cicho - że wydaje mu się, iż ktoś ingeruje w plan? Że ma dowody, jakoby niektóre z odbiorników zostały wysłane daleko poza przeznaczone im miejsca?

Spoglądam na niego szeroko otwartymi oczami.

- Czy naprawdę spodziewasz się, że naruszę poufny charakter moich audiencji u

Mistrza?

- Ależ nie! Naturalnie, że nie, Najwyższy Strażniku Prawa. Ale traktując to wyłącznie jako rozmowę między nami, tobą i mną... a obaj jesteśmy przecież ważnymi osobami w Zakonie i istotne jest, abyśmy darzyli się zaufaniem... przyznam, że mam całkowitą pewność, o czym Mistrz musiał ci mówić. Bo z jakiego innego powodu posłałby po ciebie? Dlaczego miałby cię wyciągać z twego Domu i odrywać od tego, o czym wszyscy wiemy, że jest kluczową działalnością Misji? Opętała go myśl, że nastąpiło jakieś odstępstwo od planu. Bóg jeden wie, co on odczytuje z danych. Ale nie zamierzam wywierać na ciebie wpływu.

Absurdalne byłoby przypuszczenie, że człowiek mający twoją, najwyższą rangę w drugim Domu Zakonu, nie jest w stanie samodzielnie przeanalizować sytuacji. Proszę przyjść dziś wieczorem, popatrzeć na informacje przekazane przez skaner i wyrobić sobie własną opinię.

To wszystko, o co proszę. Dobrze, Najwyższy Strażniku Prawa? Przyjdiesz, prawda?

Odchodzi, pozostawiając mnie zdumionego i wstrząśniętego. Czyżby Mistrz był szalony? A może to Najwyższy Inwokator jest nielojalny? I jedno, i drugie wydaje się nie do pomyślenia.

Oczywiście pójdę dziś wieczorem do obserwatorium.

Kastel, podchodząc, jakby zdjął chroniące mnie przez całe popołudnie zaklęcie. Teraz i inni zbliżają się do mnie ze wszystkich stron, tłocząc się, jakbym był jakimś archaniołem - wpatrują się, szepczą, uśmiechają z nadzieją. Wymachują rękami, klękają. Najodważniejsi podchodzą blisko i mówią mi, jak się nazywają, jak gdyby oczekując, że zapamiętam ich, kiedy nadejdzie czas wysyłania następnych osadników na Epsilon Eridani, Kastora C, Rossa 154, czy Wolfa 359. Jestem dla nich uprzejmy, łaskawy, pełen dobroci. Nic mnie to nie

kosztuje, a ich uszczęśliwia. Myślę o tych posiniaczonych więźniach, ponuro snujących się ze spuszczonej ramionami przed aresztem. Dla nich nic nie mogę zrobić; tym tutaj - pokojówkom, ogrodnikom, akolitom i nowicjuszom w Sanktuarium mogę przynajmniej dać promyczek nadziei. A kiedy tak uśmiecham się do nich i wyciągam ku nim dłonie, zaczyna robić mi się lżej na sercu. Wszystko będzie dobrze. Jak zwykle, Bóg zwycięży. Kastelowie tego świata nie są w stanie mnie zatrwożyć.

Na skraju kręgu ludzi dostrzegam małą dziewczynkę, tę samą, którą przedtem, pod wpływem dziwnego impulsu uznałem za swoją córeczkę. Jeszcze raz uśmiecham się do niej. A ona ponownie spogląda na mnie poważnym wzrokiem i odsuwa się. Wybuch śmiechu. - Ona nie chciała okazać braku szacunku - odzywa się jedna z kobiet. - Czy mam ją do ciebie przyprowadzić, Wasza Wielbność?

Zaprzeczam ruchem głowy.

- Widać przestraszyłem ją- mówię. - Zostawmy ją w spokoju.

Ale spojrzenie dziewczynki prześladowuje mnie i znowu pojawia się wokół mnie śnieg, pokrywa grubym kożuchem niebo, bujne ogrody Sanktuarium, cały świat, aż po krańce i jeszcze dalej.

W obserwatorium podają mi kask polaryzujący dla ochrony oczu. Przepływ strumienia danych to niesamowity widok: gorące, pulsujące błyski, przypominające drżące słońca. Dostrzegam to już z przedsionka. Świat, który już zdążył odtajać, znowu pokrywa się śniegiem. Dookoła panuje absolutna białość, intensywny blask fotosferyczny, który zaciera wszelkie powierzchnie i pozbawia Wszechświat kolorów.

- Tędy, Wasza Wielbność. Proszę pozwolić, że pomogę.

Ciche głosy. Pełna szacunku gotowość. Zapewne wydaję się im starcem. A przecież

Mistrz był już stary, zanim ja się urodziłem. Czy on tu kiedykolwiek przychodzi?

- Najwyższy Strażnik Prawa... Najwyższy Strażnik Prawa - słyszę wokół nabożne

szepty.

Obserwatorium, w którym nigdy przedtem nie byłem, to jedno ogromne pomieszczenie wypełniające ośmiokątny budynek tak wielki jak katedra, bardzo ciemny wewnątrz, o masywnych ścianach z jakiegoś gładkiego zielonkawego kamienia, wyglądającego tak, jakby był wilgotny, i o dachu z polerowanego czerwonego metalu, a właściwie nie tyle dachu, co sklepieniu, które tworzy zawiła antena kolosalnych rozmiarów i niezwykle skomplikowana, złożona ze zwojów ułożonych jeden nad drugim. Pajęczna sieć wąskich przejść łączy każdy zakątek tego pomieszczenia. Nie ma tu teleskopu. To nie tego rodzaju obserwatorium. Właściwie jest to centrum zbierania informacji z trzech pomniejszych ośrodków gromadzenia danych, znajdujących się na Księżycu, gdzieś poza orbitą Jowisza i w odległości ośmiu lat świetlnych od nas, w świecie stworzonym przy gwiazdzie Lalande 21185. Skanery w tych ośrodkach przeczesują całe niebo i przesyłają zakodowane w systemie dwójkowym dane do tego budynku, gdzie pojawiają się one w seriach budzących nabożny lęk, konwulsyjnych, oślepiających jak gromy ciskane z Olimpu.

Znajduje się tu kolejna zajmująca całą ścianę mapa Misji, tego samego rodzaju co u Mistrza, ale co najmniej pięć razy większa. Jest na niej zaznaczona ostro świecącymi, żółtymi liniami sieć łącząca gwiazdy. Ta sieć, którą znam, na podstawie której pracowałem od chwili wprowadzenia programu Misji. Nie ma na niej żadnego z tych dzikich odstępstw, żadnej z tych cudaczných trajektorii, które widniały na obrazie, jaki pokazał mi Mistrz w czasie naszego ostatniego spotkania.

- System był przez ostatnie cztery dni wyłączony - szepcze jakiś głos koło mojego łokcia. To młoda dziewczyna, astronom, która najwyraźniej otrzymała polecenie towarzyszenia mi. Ma ciemne włosy, zadarty nosek, błyszczące oczy i miłą twarz. - W tej

chwili uruchamiamy go ponownie, uaktualniamy. To dlatego blask jest tak intensywny.

Nagromadziła się ogromna ilość informacji i system usiłuje przetworzyć je wszystkie na raz.

- Rozumiem. Dziewczyna uśmiecha się.

- Gdyby Wasza Wielbność zechciał pójść tędy...

Prowadzi mnie w stronę wewnętrznego balkonu, który wisi nad przypominającym studnię szybem, głębokim na jakieś sto metrów. W przymglonej ciemności panującej na dole widzę poruszające się powoli metalowe wysięgniki, gwałtownie obracające się lśniące dyski, jakieś zwierciadła mrugające i rzucające blaski. Moja przewodniczka wyjaśnia mi, że to główny hak ogniskujący czy coś takiego, ale nie jestem w stanie pojąć szczegółów. Wszystko tutaj drży i trzęsie się, jakby uderzała w to miejsce jakaś gigantyczna dłoń. Kolory zmieniają się, widmo przesuwają się daleko, ku jednej stronie. Czuję silny zawrót głowy i łapię się kurczowo barierki, ograniczającej balkonik. Mam wrażenie, że nagle została wstrzymana ekspansja Wszechświata, że wszystkie galaktyki zbiegają się w tym punkcie, że stoję w samym wirze, gdzie ultrafiolet, promieniowanie rentgenowskie i gamma zbiegają się na raz ze wszystkich punktów Kosmosu.

- Zauważyłaś? - słyszę własny głos. - To przesunięcie ku fioletowi? Czyżby wszystko wracało do centrum?

- Co takiego, Wasza Wielbność?

Mamrocę bez sensu. Chwała Bogu, że nie zrozumiała z tego ani słowa! Widzę, jak wpatruje się we mnie zmartwiona, może nawet wstrząśnięta. Biorę się w garść, uśmiecham się i zdobywam na kilka rozsądnie brzmiących pytań. Dziewczyna uspokaja się.

Prawdopodobnie spisuje tamto zachowanie na karb mojego wieku i niewiedzy, jakie procesy przebiegają w tym budynku. Wie że mam własny zakres kompetencji i odpowiednią do tego wiedzę techniczną - och tak, z pewnością wie o tym! - ale niewątpliwie uświadamia sobie, że

jest ona zupełnie odmienna od tej, jaką ona posiada.

Z mojego wygodnego punktu obserwacyjnego nad głównym hakiem ogniskowym przyglądam się, bardziej z podziwem niż ze zrozumieniem, jak dane wpływają, zostają oczyszczone z szumów i przetworzone, przeanalizowane i zsyntetyzowane, zarejestrowane w różnych urządzeniach wyświetlających, rozmieszczonych na ścianach obserwatorium. Stojąca przy mnie młoda kobieta nieustannie komentuje szeptem wszystko, co się tu dzieje, ale rozkojarza mnie przerażający taniec światła i cieni, nagłe, nieoczekiwane piszczące dźwięki, wibracja budynku, nie zwracam więc uwagi na część istotnych wyjaśnień i w pewnym momencie gubię się. W gruncie rzeczy właściwie nie rozumiem nic z tego, co się tu dzieje. Bez wątpienia jest to ważne. Zgromadziło się tu mnóstwo członków Zakonu, głównie wysokiej rangi, co najmniej wtajemniczeni, ale i kilku z opaskami na rękach wskazującymi ich stopnie w strukturze pierwszego Domu - czerwonymi, zielonymi, a nawet kilku z bursztynowymi. Jest tu także Najwyższy Inwokator Kastel; uśmiecha się z zadowoleniem, obejmuje ludzi jak polityk, podchodzi też kilkakrotnie do mnie, by upewnić się, że doceniam dramaturgię akcji rozgrywającej się w tym pomieszczeniu. Przytakuję, uśmiecham się, zapewniam go o mojej wielkiej wdzięczności.

To jest naprawdę ekscytujące. Kiedy już minął mi zawrót głowy, spostrzegłem, że patrzę raczej przed siebie niż w dół, a moje myśli ulatują w stronę nieba, jakbym podróżował ku gwiazdom. i Znalazłem się w głównym ośrodku nerwowym naszej Misji, w samym centrum zmysłów, za pomocą których śledzimy nasze osiągnięcia.

Kiedy zaczęliśmy rozmieszczać na gwiazdach odbiorniki Veldego, punktem wyjściowym był, oczywiście, system Alfę Centauri. Potem dotarliśmy do Gwiazdy Barnarda, na Wofa 359, Lalande 21185 i dalej, do Syriusza, na Rossa 154, Epsilon Indi - kto by nie znał tych nazw? - i do wszystkich innych gwiazd w promieniu kilkunastu lat świetlnych od

Ziemi. Małe bezzałogowe rakiety kosmiczne, z laserowymi pilotami automatycznymi, z rozwiniętymi wielkimi żaglami świetlnymi gnały ku gwiazdom, popychane wytworzonym przez nas fotonowym wiatrem. Ich siłą napędową było światło, którego stałe oddziaływanie powodowało, że nasze statki przemieszczały się ruchem jednostajnie przyśpieszonym, płynnie zwiększając prędkość, aż osiągały jej wartość zbliżoną do prędkości światła.

Następnie, kiedy już znajdowały się w pobliżu gwiazd docelowych, szukając planet różnymi metodami - wytyczając dewiacje orbitalne, wykrywając promieniowanie podczerwone albo też mierząc przesunięcie długości fal przy efekcie Dopplera - natrafiały na nowe światy i robiły ich selekcję w celu wyeliminowania nie nadających się do zamieszkania gigantów gazowych, lodowych kul, planet otoczonych formaldehydową atmosferą...

Jeden po drugim nasze małe stateczki lądowały na nowych Ziemiach. Cicho otwierały swoje luki. Wypuszczały roboty, które montowały odbiorniki Veldego, mające stać się naszymi wrotami wjazdowymi. Jeden po drugim, otwierały dla nas niebiosy.

A potem - druga faza. Pojawiały się urządzenia automatyczne, które ruszały do pracy.

Małe automaty rozpoczynały poszukiwania węgla, krzemu, azotu, tlenu i pozostałych budulców, układanie atomów w zaprogramowane wzorce, konstrukcję nowych statków kosmicznych, źródeł promieniowania laserowego, odbiorników Veldego. Małe mechaniczne umysły wydawały polecenia, małe mechaniczne ręce wykonywały pracę. Aby dotrzeć do gwiazdy odległej o dwanaście lat świetlnych, nasz statek potrzebował około piętnastu lat. Ale znacznie krócej trwało skonstruowanie przez nasze automatyczne replikatory dwunastu bliźniaków tego statku w miejscu lądowania i wysłanie ich w dwunastu kierunkach. Każdy z nich przynosił własny odbiornik Veldego, który miał zostać umieszczony na jakiejś dalszej planecie, i każdy był wyposażony w urządzenia pozwalające na równie szybkie konstruowanie swoich replik i wysyłanie ich ku kolejnym celom. W ten sposób

zbudowaliśmy naszą sieć odbiorników, konstruując autostradę prowadzącą z jednego świata ku drugiemu, przez sferę obejmującą z woli Boga i naszego wyboru początkowo tylko sto lat świetlnych. I wtedy, używając zlokalizowanych na Ziemi przekaźników, mogliśmy rozpocząć wysyłanie - natychmiast, jak za pomocą czarodziejskiej różdżki - pierwszych kolonistów do nowych światów w wytyczonej przez nas strefie.

I tak właśnie zrobiliśmy. Stojąc tu i ściskając dłońmi metalową barierkę balkonu w obserwatorium wędruję w myślach do naszych kolonii w gwiazdach, do tych maleńkich wysuniętych placówek, zaludnionych przez najdoskonalszych przedstawicieli gatunku ludzkiego, mężczyzn i kobiety, których osobiście pomagałem wybrać, przygotować i wyprowadzić przez zatokę nocy; pionierów, którzy przysięgali stosować Kodeks Mroku, zobowiązanych tą najwyższą przysięgą do niepowtarzania błędów, jakie popełniliśmy na Ziemi. I myśląc teraz o tym wszystkim, co nasz Zakon już osiągnął, i co jeszcze możemy osiągnąć, czuję, jak moją duszę opuszcza zgnębienie, które dokuczało mi od chwili przybycia do Sanktuarium, i jak wypełnia mnie uczucie radości. Pod jego wpływem unoszę wyżej głowę, wpatruję się w plątaninę obwodów łączących urządzenia zbierające dane, pozwalam mojej duszy napawać się naszym wspaniałym Projektem.

To cudowna chwila, ale krótkotrwała. Do moich uszu wdzierają się nagle dźwięki, które przerywają stan ekstazy, w jakiej się znalazłem: jakieś pomruki, jęki, szuranie stóp. Koncentruję uwagę. Wszędzie wokół wyczuwam nagłe poruszenie, niemal chaos. Ktoś zaczyna szlochać. Ktoś inny wybucha śmiechem. Dzikiem śmiechem nie do zniesienia, który jest objawem hysterii. Gdzieś wybucha głośna kłótnia, echo rozmywa poszczególne słowa, ale ich gniewny ton pozostaje nie zmieniony.

- Co się stało? - pytam stojącą obok mnie dziewczynę.

- Mapa główna - odpowiada. Jej głos jest niski i ochryply. W oczach pojawił się blask

niepokoju. - Pokazuje uaktualnione dane... nowe informacje, które przed chwilą nadeszły...

Wskazuje ręką. Spoglądam na rozświetloną mapę gwiazd.

Znany model sieci Misji został zniekształcony i widzę, wszyscy widzimy ten sam szalony obraz błędnych szlaków prowadzących daleko poza wyznaczoną przez nas sferę kolonizacji, jaki ujrzałem dwa dni temu na ekranie u Mistrza.

Co mogę zrobić taktowniejszego w ciągu następnych, trudnych dni, niż wycofać się do mojego apartamentu i poczekać, aż ludzie z Sanktuarium choć w części odzyskają równowagę? Moja obecność musi być w tych dniach bardzo dla nich krępująca. Traktują to ewidentne naruszenie pierwotnego planu

Misji jako niezwykle upokarzającą i piekącą porażkę ich Domu. Uważają je nie tylko za głęboko niepokojące i niewłaściwe, jakim jest w moim odczuciu, ale także za powód do wstydu; znak, że sam Bóg uznał sporządzony i strzeżony przez nich plan za niewystarczający i odrzucił go. O ile silniej muszą odczuwać swoje upokorzenie wskutek tego, że spotkało ich w czasie, gdy gości u nich Najwyższy Strażnik Prawa z innego ważnego Domu Zakonu i jest świadkiem ich hańby.

Postąpiłbym zapewne jeszcze taktowniej, gdybym natychmiast wrócił do siedziby mojego Domu w Australii i pozwolił ludziom z Sanktuarium uporządkować swoją sytuację nie rozprasząc ich swoją obecnością. Ale tego nie mogę zrobić. Mistrz życzy sobie, abym tu był. Wezwał mnie aż z Australii, abym był z nim w Sanktuarium w tych trudnych chwilach. I muszę tu pozostać, póki się nie dowiem dlaczego.

Trzymam się więc na uboczu. Poprosiłem, aby posiłki przynoszono mi do pokoju, i nie chodzę do ogólnej jadalni. Spędzam dni i noce na modlitwach, medytacji i czytaniu.

Popijam brandy i poprawiam sobie nastrój słuchając muzyki. Czerpię także przyjemność z wyzwalacza, kiedy odczuwam taką potrzebę. Staram się nie rzucać nikomu w oczy i czekam

na dalszy rozwój wypadków.

Ale ta izolacja jest krótkotrwała. Trzeciego dnia moją samotność przerywa Kastel, blady i wstrząśnięty. Ani śladu nie pozostało po jego łaskawie protekcyjnym sposobie bycia.

- Powiedz mi - mówi ochryplym głosem - co z tego rozumiesz? Czy sądzisz, że te dane są prawdziwe?

- A jaki mógłbym mieć powód, aby uważać inaczej?

- Ale założmy... - przerywa z wahaniem i ucieka spojrzeniem przed moim wzrokiem - założmy, że Mistrz specjalnie postarał się, abyśmy otrzymali fałszywe informacje?

- Czyżby to było możliwe? I przede wszystkim, dlaczego miałyby zrobić coś tak potwornego?

- Nie wiem.

- Czy naprawdę tak bardzo nisko oceniasz uczciwość Mistrza? Czy też powątpiewasz w jego zdrowe zmysły?

- Broń Boże, ani jedno, ani drugie! - wykrzykuje. - Mistrz nie podlega żadnym ocenom. Zastanawiam się jedynie, czy może nie realizuje jakiegoś dziwnego planu, przekraczającego nasze pojęcie, będącego absolutnie poza granicami naszego zrozumienia, osiągnięcie niezgłębionych celów którego wymaga od Mistrza, aby oszukał nas co do prawdziwego stanu rzeczy w niebiosach.

Ostrożna, o niesłychanie zawilej składni, formalna wypowiedź Kastela drażni moje uszy. Nie stosował takich barokowych sformułowań i wykrętów, kiedy wyjaśniał mi potrzebę bicia aresztantów w więzieniu. Ale nie próbuję okazać mu swojej niechęci. Właściwie bardziej zasługuje na litość niż na wzgardę. Jest tylko małym, przestraszonym i oszołomionym człowieczkiem.

- Czemu nie spytasz o to Mistrza? - sugeruję.

- A kto by się odważył na coś takiego? Zresztą Mistrz od poprzedniej nocy nie dopuszcza nikogo do siebie.

- Aha. Zapytajcie zatem Wyrocznię.

- Wyrocznia, jak zwykle, wyjaśnia to tajemniczo i zupełnie niezrozumiale.

- Nie jestem w stanie wymyślić nic lepszego. Ufajcie Mistrzowi. Zaakceptujcie dane ze skanera, póki nie uzyskacie naprawdę uzasadnionych powodów, aby w nie wątpić. Ufajcie Bogu.

Widząc, że nie dowie się ode mnie niczego pożytecznego, i wyraźnie niezadowolony, iż zdradził swoje świętokradcze podejrzenia odnośnie Mistrza, Kastel prosi mnie o błogosławieństwo. Udzielam mu go, po czym mój gość wychodzi. Ale po nim zaczynają przychodzić inni, jeden po drugim - z wahaniem, nawet z lękiem, jakby oczekując, że odepchnę ich od siebie ze wzgardą. Wysokiej i niskiej rangi, pewni siebie i pokorni, wszyscy proszą o audiencję. Rozumiem dlaczego. Skoro Mistrz zamknął się w swojej samotni, cała tutejsza społeczność czuje się pozbawiona przywódcy w tej trudnej dla niej chwili. Nie odważają się pod żadnym pozorem przeszkodzić Mistrzowi, skoro dał im do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby się do niego zbliżano. Ja jestem drugim co do rangi członkiem hierarchii, obecnym w Sanktuarium. To iż jestem z innego Domu, a od Mistrza dzieli mnie przepaść wieku i znaczenia, wydaje im się w tym momencie nieistotne. Tak więc przychodzą do mnie, prosząc o wskazówki, pociechę, o cokolwiek. Daję im, co tylko mogę - głównie karmię ich banałami - póki nie zaczynam czuć się wewnętrznie pusty i cyniczny. Pod wieczór przychodzi do mnie dziewczyna - astronom, która oprowadzała mnie po obserwatorium tej nocy, kiedy nastąpiło wielkie objawienie. Ma zaczerwienione i zapuchnięte oczy. Do tego czasu zdążyłem się już wyspecjalizować w pocieszaniu ludzi z Sanktuarium, ofiarowując im łagodne

zapewnienia, że wszystko się dobrze skończy. Nic lepszego nie byłem w stanie dać im z siebie. Ale kiedy zaczynam mówić w sposób, który stał się już dla mnie rutynowy, widzę, że moje słowa raczej jej szkodzą, niż przynoszą ulgę - zaczyna drżeć, po policzkach cieką jej łzy, kręci przecząco głową i ucieka wzrokiem w bok, wzdrygając się. I nagle moja własna fasada władzy duchowej oraz filozoficznego podejścia rozsypuje się w proch. Staję się równie zmartwiony i zagubiony, jak ona. Uświadamiam sobie, że stoimy oboje na skraju tej samej czarnej otchłani. I czuję, jak zaczynam się w nią staczać. Wyciągamy ku sobie ręce i obejmujemy się dzikim uściskiem, jakby na znak buntu przeciw naszym lękom. Dziewczyna jest o połowę młodsza ode mnie. Ma gładką skórę i jędrne ciało. Gwałtownie poszukujemy wszelkiego dostępnego pocieszenia. Potem wydaje się ogłuszona, odrętwiała, oszołomiona. Ubiera się w milczeniu.

- Zostań - namawiam ją. - Poczekaj do rana.

- Proszę, Wasza Wielebność... nie... nie...

Ale zdobywa się na słaby uśmiech. Prawdopodobnie stara się powiedzieć mi w ten sposób, że choć jest zdumiona tym, co zrobiliśmy, nie odczuwa przerażenia, a zapewne nawet nie żałuje. Przez chwilę przytrzymuję w swych dłoniach koniuszki jej palców, następnie żegnamy się szybkim, oschłym, lekkim, pośpiesznym pocałunkiem i dziewczyna wychodzi.

A potem doświadczam dziwnej jasności umysłu. Zupełnie jakby to nieoczekiwane spółkowanie ode-gnało gruby kożuch mgły spowijającej moją duszę i przywróciło mi zdolność klarownego myślenia.

W nocy, w czasie której bardzo mało śpię, rozważam wydarzenia z mojego pobytu w Sanktuarium i w końcu udaje mi się pogodzić z oczywistą prawdą, której przez wiele dni starałem się do siebie nie dopuścić. Przypomina mi się rzucona jakby przypadkiem uwaga Mistrza w czasie mojej drugiej audiencji u niego, kiedy powiedział mi o swoim podejrzeniu,

iż pewni koloniści prawdopodobnie sprzeniewierzyli się postanowieniom Kodeksu Mroku.

“Ci, których za pośrednictwem Twojego Domu wy b r a l i ś my...” Czyżbym był oskarżany o jakieś niedopatrzenie służbowe? Tak. Naturalnie. To ja wybrałem tych, którzy teraz odeszli od realizacji planu. Postanowiono winę za to zrzucić na mnie. Mogłem domyślić się tego znacznie wcześniej, ale rozkojarzyły mnie, jak sądzę, niepokojące przeżycia. Albo po prostu nie chciałem tego spostrzec.

Postanawiam dziś pościć. Kiedy przyniosą mi rano tacę z posiłkiem, znajdą karteczkę z poleceniem, aby nie przychodzono do mnie do czasu, aż dam im znać.

Wmawiam sobie, że to nie tyle akt pokuty, co oczyszczenia. Zakon nie wymaga od nas postu. Dla mnie jest to bardzo prywatne posunięcie, dzięki któremu czuję się bliżej Boga. W każdym razie jest to decyzja świadoma; po prostu bywa, że lepiej mi się myśli o pustym żołądku, a mam gorący zamiar utrzymać i pogłębić jasność umysłu, którą zacząłem odczuwać późnym wieczorem, poprzedniego dnia. Pościłem już wielokrotnie przedtem, kiedy czułem taką potrzebę. Ale tym razem biorąc poranny natrysk puszczam zimną wodę. Lodowaty strumień parzy, żądli, piecze; zmuszam się, aby pozostać pod nim, ale pozostaję, i to znacznie dłużej, niż trwałoby to normalnie. To jednak musi być pokuta. Więc niech i tak będzie. Ale pokuta za co? Nie czuję się winny. Czy naprawdę zamierzają uczynić ze mnie kozła ofiarnego? Czy zgodzę się złożyć swoją osobę w ofierze dla okupienia generalnego niepowodzenia? Dlaczego miałbym to zrobić? I dlaczego teraz karzę sam siebie? Wszystkiego tego dowiem się później. Jeśli zdecydowałem się narzucić sobie dzień surowości i wyrzeczeń, widać jest po temu jakiś ważny powód, który zrozumieć we właściwym momencie.

Na razie ubrałem się w prostą lnianą suknię z szorstkiego materiału i delektuję się odczuwaniem jego szorstkości. Mój żołądek w środku ranka zaczyna burczeć i protestować,

wypijam więc szklankę wody, jakby kpiąc sobie z jego potrzeb. Nieco później nadchodzi mnie wizja wspaniałego posiłku: soczysta smażona ryba na lśniącym porcelanowym talerzu, chłodne białe wino w iskrzącym się kryształowym kielichu. Czuję, jak robi mi się sucho w ustach i zaczyna dudnić w głowie. Ale zamiast zwalczać te kuszące wyobrażenia zachęcam je, by się pojawiały, zapraszam mój zdradziecki umysł do rozpusty: dodaję do uczyty srebrne tace z czerwonymi winogronami, serami, chlebem prosto z pieca. Po daniu rybnym nadchodzi kolej na pieczone jagnię, następnie szaszłyk wołowy, popijam to doskonałym czerwonym winem marki Coonawarra, a czeka na mnie jeszcze wyjątkowo stare porto. Wymyślam ucztę tak olbrzymią, że aż absurdalną, i wreszcie w ogóle tracę apetyt.

Mijają godziny i stopniowo zaczyna wypełniać mnie spokój, który jest pierwszym znakiem obecności Boga w pobliżu. Ale natrafiam na barierę. Zamiast zaakceptować po prostu Jego nadejście i pozwolić Mu ogarnąć mnie, zaczynam się niepotrzebnie trapić dociekliwymi pytaniami. Czy naprawdę Bóg zbliża się ku mnie, zastanawiam się. Czy też może to ja przenoszę się ku Niemu? Mówię sobie, że to tylko pozorny problem. Bóg jest wszędzie. To boska moc wprawia nas w ruch, prawda, ale On jest wcieleniem ruchu. Bez sensu jest rozważanie kwestii, czy to ja zbliżam się do Niego, czy On do mnie: to dwa różne sposoby opisu tego samego zjawiska. Ale podczas gdy rozważam te problemy, mój umysł nadal wstrzymuje mnie z dala od Boga.

Wyobrażam sobie, że w małym statku płynę ku gwiazdom. Taka podróż nie jest moim pragnieniem; to jednak użyteczna metoda skupienia myśli. Ponieważ podróż ku gwiazdom i podróż ku Bogu to jedno i to samo. To podróż ku rzeczywistości.

Wiem, że niegdyś widziano te rzeczy w zupełnie innym świetle. Ale kiedy rozpoczęliśmy penetrację głębin przestrzeni kosmicznej, stało się nieuniknione dostrzeżenie metafizycznego znaczenia zadania, które zaczęliśmy realizować. Gdybyśmy tego nie zrobili,

nie mogliśmy kontynuować. Krzywa myśli świeckiej rozciągała się tak daleko, jak była w stanie, sięgając od siedemnastego wieku po dwudziesty pierwszy, a potem zaczęła pękać pod wpływem własnego ciężaru; właśnie kiedy zaczęliśmy wierzyć, że to m y jesteśmy Bogiem, nagle ponownie odkryliśmy, że Nim nie jesteśmy. Wszechświat okazał się dla nas zbyt duży, abyśmy byli w stanie go sami udźwignąć. Ten nowy ocean był tak ogromny, a nasze stateczki takie małe.

Pośpieszam moją małą raketę. W końcu ustawiam żagiel na niezmierną przestrzeń Mroku. Podróż się rozpoczęła. Bóg obejmuje moją duszę. Wita mnie w swoim królestwie. Moje serce odczuwa ulgę.

Pod wpływem Mistrza wszyscy zrozumieliśmy, że w naszym ziemskim życiu widzimy jedynie zniekształcenia - cienie na ścianie jaskini. Ale kiedy penetrujemy tajemnice Wszechświata, pozwala się nam postrzegać rzeczy takimi, jakie są one naprawdę. Wejście w Kosmos jest podróżą ku wzniosłości, dosłownym sięgnięciem niebios. To idea pochrześcijańska: należy podejmować podróże, nie wolno zaprzestać ruchu, zawsze musimy Go poszukiwać. Kto szuka, ten znajdzie.

W miarę jak ponownie rozmyślam o tym wszystkim, stopniowo kończy się moje poszukiwanie, a zaczyna odnajdywanie i już jasno widzę swoją drogę. Nie będę stawiał oporu. Zaakceptuję wszystko. Jak zwykle zrobię dokładnie to, czego będą ode mnie oczekiwać.

Jest już noc. Pokonałem głód i nie odczuwam potrzeby snu. Mam wrażenie, że ściany mojej izby są przezroczyste i mogę rozciągać swoje wizje na zewnątrz, na cały świat, na ciężko falujące morza i bliski kobierzec nieba, na góry i doliny, rzeki, pola. Czuję bliskość miliardów dusz. Każda ludzka dusza jest gwiazdą: świeci własnym, niepowtarzalnym ogniem, każda ma też swojego odpowiednika w niebie. Istnieje gwiazda, która jest Mistrzem; i taka,

która jest Kastelem; i młodą uczoną, z którą dzieliłem łożę. Gdzieś znajduje się także gwiazda, która jest mną. W końcu mój umysł ruszył przed siebie, przecina odległą czerń, mknie coraz dalej, aż do krańców Wszechświata. Wzlatuję ponad Całość Całości. Patrzę na oblicze Boga.

Kiedy na krótko przed świtem otrzymuję wezwanie do Mistrza, udaję się do niego natychmiast. Reszta mieszkańców Domu Sanktuarium śpi. Wszędzie panuje cisza. Idąc pod górę ogrodową ścieżką, doświadczam cudownej precyzji widzenia: jakby w dużym powiększeniu dostrzegam wgłębienia i kanaliki w każdej trawce, ślad pozostawiony przez ostrze kosiarki, która wbiła się, ścinając tę trawkę, lśniące kropelki porannej rosy na jadeitowej powierzchni. Kwiaty rozchylają się pod wpływem bladego światła, promieniującego ze wschodu, jakby przebudzały się ze snu. Na czerwonej glebie ścieżki, maszerują -jak dandysi na letniej paradzie - małe chrząszcze o szkarłatnych grzbietach i delikatnych czarnych nóżkach zakończonych zawile owłosionymi stopami. Nad ziemią unosi się cudowna mgiełka. W otaczającej mnie ciszy słyszę tysiąc różnych szmerów. J Z Mistrza zdaje się emanować młodzieńcza siła, i witalność, jakaś mistyczna energia. Siedzi bez ruchu, oczekując, aż przemówię. Mapa gwiazd za jego plecami jest ciemna, jak nieskończenie głęboka, hebanowa próżnia. Widzę delikatne zmarszczki wokół jego oczu i w kącikach ust. Skórę ma bladą jak u niemowlęcia. Równie dobrze mógłby mieć sześć tygodni, co i sześć tysięcy lat.

Jego milczenie jest bezgraniczne.

- Uważasz, że jestem winien? - pytam wreszcie. Przygląda mi się dość długo.

- A nie jesteś?

- Jestem Najwyższym Strażnikiem Prawa Domu Ekspedytorów. Jeżeli nastąpiło jakieś niepowodzenie, musi to być z mojej winy.

- Tak. Musi być z twojej winy. Ponownie milknie.

Bardzo łatwo jest mi to zaakceptować, o wiele łatwiej, niż mogłem przypuszczać jeszcze dzień wcześniej.

- Co zrobisz? - pyta po pewnym czasie.

- Składam rezygnację.

- Z urzędu?

- Z Zakonu. Jak mógłbym pozostać kapłanem, skoro byłem Najwyższym Strażnikiem Prawa?

- Och. Ale musisz nim być.

Nie da się uciec przed jego łagodnymi, bladymi oczami.

- W takim razie będę kapłanem w jakimś innym świecie. Nie mógłbym za nic tu pozostać. Uniżenie proszę o zwolnienie mnie od przysięgi nieopuszczania Ziemi.

Uśmiecha się. Mówię dokładnie to, co chciał, abym powiedział.

- Jesteś zwolniony.

Zrobione. Pozbawiłem się swojej rangi i władzy. Opuszczę mój Dom i mój świat;

wyruszę w Mrok, choć dawno temu z łatwością zrzekłem się tego przywileju. Co za ironia.

Dla wszystkich innych opuszczenie Ziemi jest spełnieniem najgłębszych marzeń, dla mnie jest to jedynie kara za dopuszczenie do niepowodzenia Misji. Pokuta będzie zesłaniem, a zesłanie będzie pokutą. Oznacza to zniweczenie całej mojej pracy i fiasko mojego powołania.

Ale muszę starać się nie myśleć o tym w ten sposób. To tylko początek następnego etapu w życiu, i nic więcej. Bóg mnie pocieszy. Poprzez mój upadek odnalazł drogę wezwania mnie ku sobie.

Czekam na gest, informujący, że mam odejść, ale nic takiego nie następuje.

- Rozumiesz - mówi Mistrz po pewnym czasie - że Prawo Powrotu zostaje utrzymane

w mocy nawet w odniesieniu do twojej osoby?

Chodzi mu o najważniejsze postanowienie Kodeksu Mroku - to, którego nikt dotychczas nie naruszył. Ludzie opuszczający Ziemię nie mogą powrócić. Nigdy. To podróż w jedną stronę.

- Nawet w odniesieniu do mnie - powtarzam. - Tak, rozumiem.

Stoję przed wejściem do przekaźnika Veldego, identycznym jak inne, niczym nie różniącym się od tego, który niedawno przeniósł mnie natychmiast przez pół świata, z Sanktuarium z powrotem do Domu Ekspedytorów. Jest to małe pomieszczenie z czarnego szkła, wysokie na cztery metry, o długości trzech metrów i takiej samej szerokości. Para czarnych soczewek wpatruje się w siebie, jak sówie oczy od strony wnętrza. Na tylnej ścianie sterczą trzy metalowe stożki, które są punktami wylądowania.

Ile to już podróży odbyłem za pomocą stacji transmisyjnych, takich jak ta? Pięćset?

Tysiąc? Ileż to razy byłem badany przez skaner, mierzony, analizowany, rozkładany na bariony, powielany: anihilowany tu, tworzony tam, wszystko w tym samym momencie? I nie tknięty, bez żadnych zmian wychodziłem z odbiornika w jakimś odległym miejscu, w Paryżu, Karaczi, Stambule, Nairobi, Dar-es-Salaam?

To wejście niczym się nie różni od tych, które przekraczałem w czasie wcześniejszych podróży. Ale ta podróż będzie zupełnie inna od wszystkich poprzednich. Nigdy przedtem nie opuszczałem Ziemi, nawet żeby udać się na Marsa, czy na Księżyc. Nie było żadnego powodu, abym miał tam lecieć. A teraz mam wykonać skok do gwiazd. Czy to rozmiarów tego skoku się boję? Wiem, że nie. Ryzyko przy podróży na odległość dwudziestu lat świetlnych jest niewiele większe niż przy dwudziestu kilometrach. A może to świadomość, że znajdę się na obcych światach, budzi mój niepokój? Ale przecież poświęciłem całe swoje dotychczasowe życie budowaniu tych światów. O co więc chodzi? O to, że kiedy opuszczę

ten Dom, przestanę być Najwyższym Strażnikiem Prawa Domu Ekspedytorów i stanę się jedynie wędrującym pielgrzymem?

Tak. Tak, myślę, że o to właśnie chodzi. Moje życie było wygodne, miałem władzę i poczucie bezpieczeństwa, a teraz wkraczam w zupełnie nieznaną przyszłość, pozostawiając wszystko, dosłownie wszystko za sobą, opuszczając mój Dom, oddając urząd, odzierając się z tego, czym byłem, z wyjątkiem mojej własnej osoby, z którą nie mogę zostać rozłączony. To drastyczne cięcie. Ale właściwie dlaczego się waham? Nakłaniałem tylu innych do poddania się takiemu cięciu. Tak wielu zobowiązywałem do złożenia nieodwracalnej przysięgi przestrzegania Kodeksu Mroku. Zapewne jednak przygotowanie się do czegoś takiego wymaga więcej czasu, niż sądziłem. Dałem sobie rzeczywiście bardzo krótki termin. Ale moment niepokoju mija. Wokół mnie są same przyjazne twarze, mężczyźni i kobiety z Domu, którzy przyszli życzyć mi bezpiecznej podróży. Ich oczy są wilgotne, uśmiechy pełne czułości. Wiedzą, że nigdy już mnie nie zobaczą. Wyczuwam ich miłość i lojalność, i to przynosi ulgę mojej duszy.

Przez mój umysł przelatują starożytne modły.

W twe race, o Panie, oddają mą duszę.

Tak. A także moje ciało.

Panie, tyś był naszym schronieniem: przez całe pokolenia. Nim wypiętrzyły się góry albo od stworzenia ziemi i świata: tyś jest Bogiem wiecznym i światem bez końca.

Tak. A potem:

Niebiosa głoszą chwałę Boga: a firmament pokazuje dzieło rąk Jego.

Nie mam uczucia, że podróżowałem. Byłem tam, a teraz jestem tu. Mogła to być podróż nie dalsza niż z Adelaide do Melbourne, czy z Brisbane do Cairns. Ale znajduję się teraz bardzo daleko od domu. Niebo jest w kolorze bursztynu, z niebieskimi wirami. Na

horyzoncie widać wielką, monotonną czerwoną masę jak gigantyczny rozżarzony węgielek, znajdujący się bardzo blisko. A w zenicie świeci mniejsza i jaśniejsza gwiazda, znacznie bardziej odległa.

Ten świat nazywa się Cuchulain. To trzeci księżyc pochłaniającej światło gwiazdy Gwydion, która jest ciemną towarzyszką Lalande 21185. Od Ziemi dzieli mnie osiem lat świetlnych. Cuchulain jest główną placówką Zakonu w gwiazdach, siedzibą Drugiego Sanktuarium. Wybrałem ten świat jako miejsce zsyłki. Obalony Strażnik Prawa, pęknięte naczynie.

Powietrze jest ciężkie i mdłe. Szalone pnącza soczystozielonych, lepkich roślin oplatają wszystko jak kudłate wodorosty, które zaatakowały ląd. Wychodząc z odbiornika Veldego natykam się na niskiego kędzierzawego człowieczka w ciemnej kapłańskiej sukni. Ma tonsurę i nosi medalion należny osobie sprawującej wysoki urząd, choć o dwa lub trzy stopnie niższy od tego, który ja sprawowałem.

Przedstawia mi się jako Prokurator Generalny Guardiano. Zwracając się do mnie przy powitaniu po imieniu, wyraża zdziwienie z powodu mojego nieoczekiwanego przybycia do jego diecezji. Powszechnie wiadomo przecież, że osoby o tak wysokiej randze w Zakonie jak moja muszą porzucić wszelką nadzieję na emigrację z Ziemi.

- Zrezygnowałem z urzędu - informuję go. - Nie - prostuję natychmiast. - Właściwie zostałem zdymisjonowany. Ze względu na przewinienie. Zostałem przeniesiony do zwykłego stanu kapłańskiego.

Przygląda mi się, wyraźnie wstrząśnięty i zdumiony.

- Mimo wszystko to honor gościć tu Waszą Wielbność - mówi cicho po chwili.

Udaję się wraz z nim do pobliskiego kapitulacza. Grawitacja jest tu silniejsza niż na Ziemi i spostrzegam, że ciągnę za sobą nogi, jakby grunt był lepki. Ale tego typu obce mi

drobiazgi potęgują, ku mojemu zdziwieniu, uczucie swojskości: to miejsce wcale nie wydaje mi się takie obce, jak przypuszczałem. Jakbym znalazł się w jakimś innym kraju, a nie w innym świecie. Wiem, że dopiero później dotrze do mnie w pełni świadomość całkowitego i ostatecznego rozłączenia z Ziemią.

Siadamy w refektarzu i popijamy, jedną za drugą, szklaneczki słodkiego, mocnego likieru. Prokurator Generalny Guardiano robi wrażenie podnieconego niespodziewanym zjawieniem się w jego posiadłości kogoś o tak wysokiej randze, ale dobrze sobie z tym radzi. Stara się sprawić, abym czuł się tu swobodnie. Przychodzą inni kapłani, należący do wyższej hierarchii - widocznie wiadomość o moim przybyciu szybko się rozeszła - i zagląдают do naszego pomieszczenia. Guardiano ruchem dłoni nakazuje im odejście. Zwięźle informuję go o przyczynach mojego upadku. Słucha mnie z powagą.

- Tak. Wiemy, że zewnętrzne światy zbuntowały się przeciw Kodeksowi Mroku - mówi.

- Tylko zewnętrzne?

- Jak dotąd tylko. Bardzo nam trudno otrzymać wiarygodne dane.

- Czy chcesz powiedzieć, że zamknęły granice dla Zakonu?

- Och, nie, nic takiego. Nadal można spokojnie wjeżdżać do każdej kolonii i wszędzie są kaplice. Ale sprawozdania ze światów zewnętrznych stają się coraz bardziej tajemnicze i dziwaczne. Dlatego postanowiliśmy, że musimy wysłać Pełnomocnego Emisariusza do kilku spośród zbuntowanych światów, aby poznać prawdę.

- Masz na myśli szpiega?

- Szpiega? Nie, nie szpiega. Nauczyciela. Przewodnika. Proroka, jeśli wolisz. Kogoś, kto potrafi przywrócić ich na drogę prawdy. - Guardiano pokręcił głową. - Muszę powiedzieć, że głęboko martwi mnie to odrzucenie Kodeksu Mroku, to wyraźne naruszenie planu. Wiem,

że Mistrz powiesiłby mnie za mówienie takich rzeczy, ale zaczyna mi przychodzić na myśl, iż mogliśmy od samego początku tkwić w błędzie. - Rzuca mi konspiracyjne spojrzenie.

Uśmiecham się zachęcająco, więc kontynuuję. - Chodzi mi o tę naszą postawę nacechowaną elitaryzmem, o utrzymywanie przez Zakon monopolu na transmisję materii, decydowanie przez Zakon, kto wyemigruje na gwiazdy, a kto nie, podejmowanie prób tworzenia przez Zakon nowych światów według naszych własnych wyobrażeń... - Wydaje się, jakby mówił do siebie samego. - Najwyraźniej to nie wyszło, prawda? Czy wolno mi tak powiedzieć?

Koloniści żyją po swojemu w tych nowych światach. Nie możemy ich zdalnie kontrolować. Twoja osobista tragedia tylko to potwierdza. A jednak... pomyśleć, że doszło do takiego upadku, iż Najwyższy Strażnik Prawa musiał zrzec się swojego urzędu i udać się na wygnanie... tak, na wygnanie, bo przecież tak to właśnie jest!

- Proszę - nalegam. Jego chaotyczne słowa krępują mnie; a także - sprawiają mi ból, ponieważ

L niewykluczone, że jest w nich ziarno prawdy. - Co było, minęło. Teraz pragnę jedynie przeżyć spokojnie resztę moich lat wśród ludzi Zakonu w tym świecie.

Proszę mi tylko powiedzieć, co mógłbym robić.

Chciałbym mieć jakieś zajęcie, choćby najprostsze...

- Taka strata, Wasza Wielbność. Absolutnie haniebna strata.

- Proszę.

Napełnia moją szklaneczkę czwarty, czy piąty raz.

W jego oczach nagle pojawia się wyraz przebiegłości. - Czy przyjąłbyś każde zadanie, jakie bym ci przydzielił?

- Tak, każde.

Wyobraziłem sobie, jak zamiatam schody kapitulacza, czyszczę zlewy i stoły, pracuję,

klęcząc, w ogrodzie.

- Nawet, jeśli byłoby ono ryzykowne? - pyta dalej. - Gdyby wiązało się z niewygodami?

- Każde.

- A zatem - oświadczam - będziesz naszym Pełnomocnikiem.

Na niebie są tu dwa słońca, ale zupełnie inne niż te, jakie świecą nad Cuchulain, a mroźne powietrze ma ostry, słodki zapach niepodobny do żadnego ze znanych mi dotychczas aromatów. I wszystko, co widzę, otaczają podwójne cienie, obwódka z bladej czerwieni przechodząca w głęboki, tajemniczy lazur. Jest tu bardzo zimno. Znajduję się w odległości czternastu lat świetlnych od Ziemi.

Kilka metrów ode mnie stoi kobieta i przygląda mi się uważnie. Mówi coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć.

- Znasz angijski? - odpowiadam jej pytaniem.

- Angielski. W porządku. - Obrzuca mnie chłodnym, taksującym spojrzeniem. - Kim jesteś? Jakimś kapłanem?

- Tak. Byłem Najwyższym Strażnikiem Prawa w Domu Ekspedytorów.

- Gdzie?

- Na Ziemi.

- Na Ziemi? Naprawdę? Potakuję ruchem głowy.

- Jak nazywa się ten świat? - pytam.

- To ja będę zadawać pytania - przerywa mi. Mówi dziwnie, nie tyle z obcym

akcentem, co z obcą intonacją, śpiewnie, jakby z lekką groźbą w głosie. Stoimy naprzeciw siebie tuż przy wyjściu z odbiornika Veldego, przyglądając się sobie wzajemnie. Ma

rozbudowane ramiona, zapadniętą klatkę piersiową, twarz o mało wyraźnych rysach, krótko

przystrzyżone, jasne włosy, zielone oczy i masę jasnoczerwonych piegów na wydatnych kościach policzkowych. Ubrana jest w ciepłą niebieską kurtkę, wykończone frędzlami brązowe legginsy oraz niebieskie kamasze ze skóry. Jest uzbrojona. Za nią dostrzegam błotnistą ścieżkę biegnącą przez płaskie ośnieżone pola, jakieś niskie, chaotycznie poustawiane metalowe budynki z grubymi czapami śniegu na dachach i rysujące się w oddali postrzępione, wyniosłe góry, których ostre czarne szczyty okryte są rzucającym podwójny cień lodowcem. Mroźny wiatr hula po płaskim terenie. Znajdujemy się w dużej odległości od tych dwóch słońc, rażąco niebiesko-białego i jego chłodniejszego, karmazynowego towarzysza. Dziewczyna mruży oczy.

- Najwyższy Strażnik Prawa, tak? Z Domu Ekspedytorów? Naprawdę?

- To był mój urzędowy strój. A ten medalion symbolizował moją rangę w Zakonie.

- Nie widzę ich.

- Przepraszam, nie zrozumiałem.

- Tutaj nie masz żadnej rangi. Nie sprawujesz żadnego urzędu.

- Naturalnie. Zdaję sobie z tego sprawę. Z wyjątkiem tej władzy, jaką posiadam na mocy Kodeksu Mroku.

- Kodeksu Mroku? Spoglądam na nią z niejaką trwogą.

- Czyżbym już znalazł się poza zasięgiem obowiązywania Kodeksu Mroku? Tak szybko?

- Nie jest to nazwa, którą słyszę zbyt często. Drzysz. Pochodzisz z cieplejszych stron?

- Z Ziemi. Z Południowej Australii. Tak, tam jest ciepło.

- Ziemia. Południowa Australia. - Powtarza te słowa jakby były to dla niej całkiem

obce dźwięki. - Mamy tu jeszcze parę osób, które urodziły się na Ziemi. Niewiele ich już

zostało. Przypuszczam, że będą zadowolone ze spotkania z tobą. Ten świat nazywa się Zima.

- Zima. - Taki przyjemny, mocny dźwięk. - Co to znaczy?

- Znaczy?

- Nazwa musi coś znaczyć. Ta planeta nie została nazwana Zimą tylko dlatego, że komuś podobał się dźwięk tego słowa.

- Nie widzisz dlaczego? - pyta, wskazując na odległe, ścięte lodem góry.

- Nie rozumiem.

- Czy angijski jest jedynym językiem, jaki znasz?

- Mówię trochę po hiszpańsku i holendersku. Wzrusza ramionami.

- Zima to po rosyjsku. Znaczy zima.

- A teraz jest pora zimy na Zimie?

- Taka pogoda jest tu przez cały rok. Dlatego właśnie ten świat nazywa się Zima.

- Ach tak, rozumiem. Zima.

- Przeważnie mówimy tu po rosyjsku, chociaż znamy także angijski. Wszyscy w Mroku znają angijski. To jest obowiązkowe. Naprawdę nie mówisz po rosyjsku?

- Przykro mi, ale nie.

- Ty szto s pizdy sarwałsia? - mówi, wpatrując się we mnie.

Wzruszam ramionami i milczę.

- Bros' dumał' żopaj!

Smutno kręcę przecząco głową.

- Idi w żopu!

- Nie - mówię. - Ani słowa.

- Wierzę ci. - Po raz pierwszy uśmiecha się do mnie.

- Co mówiłaś do mnie po rosyjsku?

- Bardzo obelżywe zwroty. Nie przetłumaczę ci. Gdybyś zrozumiał, byłbyś bardzo

rozgniewany. To same plugastwa, wymysły. Albo przynajmniej roześmiałybyś się słysząc takie podłe obelgi. Nazywam się Marfa Iwanowna. Musisz porozmawiać z bojarami. Zabiją cię, jeśli uznają, że jesteś szpiegiem.

Staram się ukryć zdumienie, ale wątpię, czy mi się to udaje. Zabiją? Jaki świat tu zbudowaliśmy? Czy ci Zimianie przywrócili tu prawa Średniowiecza?

- Przestraszyłeś się? - pyta dziewczyna.

- Jestem zdziwiony.

- Jeśli jesteś szpiegiem, musisz im skłamać. Powiedz im tylko tyle, że przybyłeś tu głosić Słowo Boże. Albo coś równie nieszkodliwego. Polubiłam cię. Nie chciałabym, żeby cię zabili.

Szpieg? Nie. Jak to określił Guardiano, jestem nauczycielem, przewodnikiem, prorokiem. Albo, jak ja bym to określił - pielgrzymem; kimś, kto szuka pokuty, wybaczenia.

- Nie jestem szpiegiem, Marfo Iwanowna.

- Dobrze. Dobrze, powiedz to im. - Wkłada palec do ust i przenikliwie gwizdże. Jakby z przym śniegu wyłaniają się natychmiast trzej krzepcy, brodaci mężczyźni w futrzanych kurtkach. Przez dłuższą chwilę Marfa rozmawia z nimi po rosyjsku, po czym zwraca się do mnie.

- To bojarzy, Iwan Dymitrowicz, Piotr Piotrowicz i Iwan Piotrowicz. Zaprowadzą cię do wojewody Dji Aleksandrowicza, który cię weźmie na spytki. Musisz powiedzieć prawdę wojewodzie.

- Oczywiście - przytakuję. - Cóż innego miałbym mu powiedzieć?

Zanim opuściłem Cuchulain, Guardiano oczywiście uprzedził mnie, że świat, do którego się udaję został zasiedlony przez emigrantów z Rosji. Był to jeden z pierwszych skolonizowanych światów, we wczesnych latach działania Misji. Można się było spodziewać,

że po tak długim czasie zacznie tu zanikać nasz ziemski styl, a jego miejsce będzie zajmowała rodząca się tu kultura miejscowa. Ale mimo wszystko jestem zdumiony tym, jak daleko oderwali się od nas. Dobrze, że chociaż Marfa Iwanowna - która, jak mi się wydaje, musi być przedstawicielką trzeciego pokolenia Zimian - wie, co to jest Kodeks Mroku. Ale czy jest on przestrzegany? W każdym razie nazwali swój świat Zimą, a nie Nową Rosją, Nową Moskwą czy jakoś podobnie, co byłoby naruszeniem Kodeksu Mroku. Nowych światów nie wolno obciążać tego rodzaju ziemskim bagażem. Ale nie umiem powiedzieć, czy postępują zgodnie z jakimikolwiek innymi postanowieniami prawa. Powrócili tu do swojego starego języka, ale - tak jak powinni - znają też angijski. Wydaje się, że strój Zakonu ma dla Marfy pewne znaczenie, ale chyba niezbyt duże. Mówi o szpiegach, o zabijaniu. Już teraz, na samym początku mojej podróży widzę, że czeka mnie wiele niespodzianek w czasie mojej wędrówki przez Mrok.

Wojewoda Ilja Aleksandrowicz jest drobnym, wyglądającym na bystrego człowiekiem; śniadym, o zniszczonej przez mróz twarzy. Ma niebieskie oczy, przenikliwy wzrok oraz wielką, gęstą siwą czuprynę. Trudno określić jego wiek, ale sądząc po wigorze i jak się wydaje dużej sile, oceniam, że ma około czterdziestu lat. W ostrym klimacie wczesnie pojawiają się na twarzy znaki czasu, ale ten człowiek jest zapewne młodszy, niż wygląda.

Wojewoda, jak mi wyjaśnia, znaczy mniej więcej to samo, co "burmistrz" lub "przywódca okręgu". Jego gabinet, jasno oświetlony i surowy, to wielki pokój na parterze nie rzucającego się w oczy piętrowego aluminiowego baraku, który zapewne pełni funkcję ratusza. Nie mam gdzie usiąść. Stoję więc przed nim, a trzech krzepcy bojarzy, nadal w swoich futrzanych kurtkach, stoją za mną, z rękami złowieszczo skrzyżowanymi na piersiach.

Widzę biurko, wyblakłą mapę na ścianie i terminal komputerowy. Prócz tego w pokoju znajduje się już tylko ogromna biała czaszka jakiejś nieznannej bestii, leżąca na

podłódze koło biurka. Ta czaszka jest dość niesamowita: długa na dwa metry, na metr wysoka, z dwoma olbrzymimi oczodołami w normalnym miejscu i trzecim wysoko ponad nimi oraz parą gigantycznych kłów sterczących z dolnej szczęki prawie pod sufit. Jeden kieł jest ukruszony na końcu, brakuje mu jakieś sześć centymetrów. Wojewoda zauważa, że wpatruję się w eksponat.

- Widziałeś kiedykolwiek coś takiego? - pyta niemal agresywnie.

- Nie. Co to jest?

- Nazywamy to zwierzę bolszoi. Mieszka na stepach północy. Jest bardzo duże.

Powiem ci szczerze: jak zobaczysz taką bestię w odległości pięciu kilometrów, to robisz w gacie ze strachu. - Uśmiecha się szeroko. - Może pewnego dnia pošlemy jeden taki okaz na Ziemię, żeby pokazać im, co my tu mamy. Może tak zrobimy.

Mówi w języku angielskim z dużo wyraźniejszym akcentem niż Marfa Iwanowna i o wiele mniej płynnie. Robi wrażenie, jakby nie był w stanie długo usiedzieć na miejscu.

Informuje mnie, że okręg, którym zarządza, jest największy na Zimie. Faktycznie, na mapie wydaje się ogromny - rozległy, zaznaczony na niebiesko obszar, jak sędzę porównywalny do Brazylii. Ale kiedy przyglądam się uważniej, dostrzegam tylko trzy maleńkie kropki skupione w centrum niebieskiej strefy. Przypuszczalnie są to jedyne wioski. Wojewoda podąża za moim wzrokiem i natychmiast rusza dużymi krokami przez pokój, w kierunku mapy.

- To jest Tiomnyj - mówi, stukając w miejsce, na które wskazuje. - Tu się właśnie znajdujemy. Tamta wioska to Docz'. A ta tutaj, to Syn. Łącznie mieszka na tym terytorium sześć tysięcy osób. Są jeszcze dwa inne terytoria, tutaj, i tutaj. - Pokazuje na regiony na północ i na południe od niebieskiej strefy. Żółty i różowy obszar to pozostałe zasiedlone regiony. W każdym z nich znajdują się po dwa miasta. Liczba ludności na tej planecie musi wynosić nie więcej niż dziesięć tysięcy.

- Jesteś wysokiej rangi kapłanem w Zakonie? - pyta nagle, odwracając się w moją stronę.

- Byłem Najwyższym Strażnikiem Prawa. W Domu Ekspedytorów.

- Ekspedytorów. Ach, znam Ekspedytorów. To ci, którzy wybierają kolonistów. I obsługują urządzenia transmisyjne.

- Zgadza się.

- Jesteś bolszój Ekspedytor? Wielki człowiek, szef, dowódca?

- Byłem nim. Ten strój i ten medalion to symbole mojego urzędu.

- Bardzo wielki człowiek. Tylko zamiast wysłać, sam zostałeś wysłany.

- Tak - mówię.

- I przyjechałeś tutaj. Dlaczego? Od dziesięciu czy piętnastu lat nie przyjeżdżał tu nikt z Ziemi. - Nie usiłuje już nawet ukrywać swoich podejrzeń albo raczej wrogości. Jego zimne oczy rzucają gniewne błyski. - Nie starcza ci, że jesteś szefem Ekspedytorów? Chcesz nam mówić, jak mamy się rządzić na Zimie? A może sam chcesz rządzić Zimą?

- Nic z tych rzeczy, uwierz mi.

- To czego chcesz?

- Czy masz mapę Mroku?

- Mroku? - powtarza, jakby to było dla niego obce słowo. Potem mówi coś po rosyjsku do jednego z bojarów. Mężczyzna wychodzi z pokoju i po chwili wraca z szerokim, płaskim ekranem, który - jak się okazuje - jest małą wersją ekranu zajmującego całą ścianę w pomieszczeniu Mistrza. Podłącza tę mapę i patrzy na mnie wyczekująco.

Obraz jest nieco inny od tego, do jakiego jestem przyzwyczajony, ponieważ jego centrum stanowi Zima, a nie Ziemia. Ale lśniąca wewnętrzna sfera, na której zaznaczone są gwiazdy wybrane przez Misję, jest łatwa do odnalezienia. Wskazuję na tę sferę i

przypominam im, przepraszając, że informuję ich o tym, o czym sami dobrze wiedzą, że realizacja wielkiego planu Misji wymaga uporządkowanej ekspansji w przestrzeni, w dokładnie określonej strefie o średnicy stu lat świetlnych, mierząc od Ziemi. Dopiero kiedy ta sfera zostanie zasiedlona, posuniemy się dalej, nie dlatego, że ze względów technicznych nie możemy już teraz wysłać naszych statków kosmicznych na odległość tysiąca, czy dziesięciu tysięcy lat świetlnych, ale dlatego, że Mistrz od samego początku uważał, że najpierw nasza ogromna, pierwsza fala ekspansji na zewnątrz musi się w pełni zasymilować, że osiągnąwszy pierwszy etap - musimy na chwilę zaprzestać dalszych podbojów i ocenić, jak to jest, kiedy się tworzy galaktyczne imperium na tak ogromną skalę, zanim podejmiemy próby zdobywania oczekującej nas nieskończoności. Innymi słowy ryzykujemy, że staniemy się ofiarami megalomańskiego, odśrodkowego zaślepienia, z którego być może nie uda nam się nigdy otrząsnąć. Aby tego uniknąć, Kodeks Mroku zabrania wypraw poza określone granice. Obserwują mnie w kamiennym milczeniu, kiedy wygłaszam te aż nazbyt dobrze znane poglądy.

Następnie informuję ich, że do Ziemi zaczęły docierać sygnały świadczące o podejmowaniu wypraw w regiony znacznie wykraczające poza sferę stu lat świetlnych. Ich twarze pozostają bez wyrazu.

- Co to dla nas oznacza? - pyta wojewoda.

- Jeden z tych niezgodnych z planem szlaków rozpoczyna się właśnie tu -
odpowiadam.

- Bardzo słabo mówimy po angielsku. Spróbuj to powiedzieć jaśniej.

- Kiedy pierwszy statek kosmiczny przywiózł odbiornik Veldego na Zimę, zbudował swoje repliki oraz repliki odbiornika, po czym wysłał je w kierunku innych gwiazd, położonych dalej od Ziemi. Prześledziliśmy różne trajektorie, które prowadzą poza

wytyczone przez Misję granice, i okazało się, że jedna z nich wywodzi się ze świata, który otrzymał swoje wyposażenie Veldego z planety skolonizowanej z Zimy. Można powiedzieć, że ten statek został wysłany na tereny niedozwolone z waszej “wnuczki”.

- Ale to nie ma nic wspólnego z nami - oświadcza chłodno wojewoda.

- Zima jest tylko pierwszym etapem mojej podróży - odpowiadam mu. - Liczyłem na to, że może utrzymujecie kontakt z tymi zewnętrznymi światami i że mógłbym ewentualnie dostać od was jakieś wskazówki, informacje, kto organizuje te wyprawy, dlaczego, skąd one wyruszają.

- Nic na ten temat nie wiemy.

Zwracam im uwagę - starając się, aby nie brzmiało to zanadto butnie - że na mocy Kodeksu Mroku są obowiązani do udzielania mi wszelkiej pomocy w moich poszukiwaniach, jestem bowiem Pełnomocnikiem Zakonu. Ale nie da się podeprzeć autorytetem Kodeksu Mroku w taki sposób, aby to nie zabrzmiało butnie: natychmiast zauważam, że wojewoda usztywnia się i ciemnieje mu twarz. Najwyraźniej uważa się za władcę w pełni autonomicznego, a swój świat - za niezależny od Ziemi.

Nie jest to dla mnie zaskoczeniem. Nie byliśmy aż tak naiwni i nieświadomi historycznych precedensów, aby wierzyć, że uda nam się utrzymać kontrolę nad koloniami. Zresztą chodziło nam o coś zupełnie przeciwnego. Chcieliśmy, aby nowe Ziemie były wolne od naszego wpływu, autentycznie odcięte od nas - dzięki nienaruszalnemu prawu, zabraniającemu wszelkich kontaktów pomiędzy światem macierzystym oraz nowo powstałą kolonią - i wolne, w związku z tym, od konieczności powielania tragicznych błędów, które popełniono na starej Ziemi. Ale ponieważ czuliśmy, że w czasie prowadzenia przez nas ludzkości w Mrok kierowała nami ręka boska, wierzyliśmy, że uznawane przez nas za boskie prawo nigdy nie zostanie odrzucone przez tych, którym ofiarowaliśmy gwiazdy. Teraz zaś,

mając dowody, że Jego prawo zostaje podporządkowane woli ludzi samowolnych, obawiam się o struktury, których zbudowaniu poświęciliśmy nasze życie.

- Jeśli taki był prawdziwy powód twojej wizyty - oświadcza wojewoda - to

zmarnowałeś czas. Ale zapewne źle zrozumiałem twoje słowa. Słabo znam angielski.

Będziemy musieli jeszcze porozmawiać. - Przywołuje gestem dłoni bojarów i mówi do nich coś po rosyjsku. Niewątpliwie związanego z moim odejściem. Po chwili wyprowadzają mnie i dają mi pokój w jakimś posępnym baraku mieszkalnym, którego okna wychodzą na rynek w centrum miasteczka. Wychodząc zamykają za sobą drzwi na klucz. Jestem więźniem.

To surowa kraina. W ciągu pierwszych kilku dni mojego internowania każdego popołudnia jest tu burza śnieżna. Gnane wiatrem małe, twarde gwiazdki śniegu uderzają w okno. Następnie przez kilka godzin sypie wielkimi, puszystymi płatami. Kiedy śnieżycy ustaje, pośpiesznie wyjeżdżają maszyny i oczyszczają drogi. Nigdy przedtem nie byłem w miejscu, w którym pada śnieg. Wydaje mi się to piękne, kojarzy mi się z błogosławieństwem, oczyszczającą powłoką.

To bardzo małe miasteczko i ze wszystkich stron otacza je pustkowie. Drugiego, a potem i trzeciego dnia stada dzikich bestii przebiegają przez główny rynek. Z wyglądu przypominają trochę ogromne psy, tyle że na bardzo długich nogach, prawie tak długich jak końskie, i z ogonami zakończonymi trzema parami obrzydliwych szpikulców. Przebiegają przez miasto jak trąba powietrzna, rozrzucają śmieci, walą pyskami w zamknięte drzwi.

Wszyscy przechodnie uciekają na ich widok.

Pod koniec trzeciego dnia na rynku odbywa się egzekucja, praktycznie tuż pod moim oknem. Przyprawdają odzianego w futra puciołowatego człowieka z gęstą brodą. Zostaje przywiązany do pala i rozstrzelany przez pięciu mężczyzn w mundurach. Odnoszę wrażenie, że skazańcem jest jeden z trzech bojarów, którzy pierwszego dnia eskortowali mnie do

wojewody. Nigdy przedtem nie widziałem zabitego człowieka i całe to wydarzenie wydaje mi się takie dziwne, niemal nierealne. Dopiero jakieś pół godziny później gwałtownie dociera do mnie, co się stało; odczuwani wtedy wstrząs i przerażenie.

Trudno powiedzieć, co jest tu dla mnie najbardziej obce: burze śnieżne, przebiegające przez miasto stada niebezpiecznych bestii czy egzekucja.

Jedzenie podają mi przez otwór w drzwiach. Są to proste, niewymyślne dania, gulasze i zupy, a także coś, co przypomina chleb z gruboziarnistej mąki. Zupełnie mi wystarcza. Przez pierwsze trzy dni nikt mnie nie odwiedza. Moim pierwszym gościem jest Marfa Iwanowna.

- Uważają, że jesteś szpiegiem - informuje mnie.

- Mówiłam ci, żebyś im powiedział prawdę.

- Zrobiłem to.

- Jesteś szpiegiem?

- Wiesz, że nie.

- Tak - przytakuje. - Ja wiem. Ale wojewoda jest zmartwiony. Uważa, że chcesz go obalić.

- Chcę tylko, aby udzielił mi pewnych informacji. A wtedy wyjadę i już nigdy tu nie wrócę.

- To bardzo podejrzliwy człowiek.

- Nakłoń go, aby przyszedł pomodlić się ze mną i poznać mnie lepiej. Jestem jedynie sługą bożym. Mam nadzieję, że to samo można powiedzieć o wojewodzie.

- On myśli o tym, żeby cię rozstrzelać.

- Nakłoń go, aby przyszedł się ze mną pomodlić

- powtarzam.

Wojewoda przychodzi do mnie, i to nie raz, a trzy razy. Nie odprawiamy modłów - w

gruncie rzeczy wszelkie wzmianki o Bogu, Kodeksie Mroku, czy nawet Misji zdają się wprawiać go w zakłopotanie - ale stopniowo zaczynamy się wzajemnie rozumieć. Wcale aż tak bardzo się między sobą nie różnimy. On jest surowym, pełnym poświęcenia, ostrożnym człowiekiem, zarządzającym surową, trudną krainą. Mnie też uważano za surowego, pełnego poświęcenia i ostrożnego. Nie mam aż tak podejrzliwej natury jak on, ale też nie musiałem borykać się z burzami śnieżnymi, dzikimi bestiami i innymi zagrożeniami, jakie tutaj występują. Nie jestem też Rosjaninem. A oni wydają się podejrzliwi od urodzenia, ci Rosjanie. Poza tym od dawna mieszkają z dala od Ziemi. To też wynika z Kodeksu Mroku: nie chcieliśmy, aby nowe światy zaraziły się naszymi chorobami ducha czy ciała, ani nie chcemy, aby na Ziemię dotarły jakieś obce plagi od nich. Mamy wystarczająco dużo własnych.

Nie zostanę rozstrzelany. Wynika to zupełnie jednoznacznie ze słów wojewody.

- Prawda, że rozważaliśmy taką możliwość - mówi. - Ale to nie byłoby dobre rozwiązanie.

- A ten mężczyzna, którego zastrzelono? Co on zrobił?

- Wziął coś, co nie należało do niego - odpowiada wojewoda, wzruszając przy tym ramionami. - Był gorszy od bestii. Nie można mu było pozwolić żyć wśród nas.

Nie mówi ani słowem o tym, kiedy zostanę wypuszczony. Pozostawia mnie w zamknięciu na następne dwa dni. Zaczyna mi doskwierać pospolite, mdłe jedzenie, męczy mnie samotność. Nad miastem przechodzi kolejna burza śnieżna, jeszcze gorsza niż poprzednie. Przez okno obserwuję krążące po niebie niezgrabne ptaki, przypominające trochę sępy, z długimi nieopierzonymi żółtymi szyjami i opadającymi do dołu gadzimi ogonami.

Wreszcie wojewoda przychodzi do mnie drugi raz i po prostu wpatruje się we mnie, jakby oczekiwał, że wyrzucę z siebie jakieś zeznania. Patrzę na niego ze zdumieniem i po dłuższym

milczeniu wojewoda wybuchą gwałtownym śmiechem, po czym wzywa swojego pomocnika, który przynosi butelkę przezroczystego, mocnego trunku. Po dwóch czy trzech szybkich haustach mój gość staje się rozmowny i opowiada mi o swoim dzieciństwie. Przedtem wojewodą był tu jego ojciec, dawno temu, ale na polowaniu padł ofiarą jakiegoś dzikiego zwierza. Usiłuję sobie wyobrazić taki świat, w którym nadal swobodnie krążą niebezpieczne zwierzęta. To tak jakby mieszkali tu bogowie prymitywnego człowieka, prawdziwi i żywi, którzy chodzą w przebraniu wśród śmiertelników, atakując niektórych z nich bez ostrzeżenia. A potem wypytuje o mnie, chcąc się dowiedzieć, ile miałem lat, kiedy zostałem kapłanem w Zakonie i czy jako chłopiec byłem równie religijny jak obecnie. Mówię mu tyle, ile mogę, na ile pozwalają mi śluby, jakie złożyłem w Zakonie. Być może nawet nieco naruszam wyznaczone przez nie granice. Wyjaśniam, że od wczesnych lat interesowałem się techniką, a do Zakonu wstąpiłem jako siedemnastoletni chłopak. Opowiadam mu też o latach mojej służby.

To co mówię o powołaniu religijnym wydaje mu się dziwne. Robi wrażenie, jakby uważał, że musiałem gdzieś po drodze, już jako dorosły człowiek, przejść gwałtowną przemianę.

- Nie było takiego okresu w moim życiu, aby Bóg mi nie towarzyszył - mówię.

- Szczęściarz z ciebie.

- Szczęściarz?

Stuka swoją szklaneczką o moją.

- Twoje zdrowie - mówi. Pijemy.

- A tak przy okazji - pyta - czego naprawdę twój Zakon od nas chce?

- Od was? Niczego od was nie chcemy. Trzy pokolenia temu ofiarowaliśmy wam wasz świat; od tego czasu wszystko zależy od was.

- Nieprawda. Chcecie nam dyktować, jak mamy żyć. Jesteście ludźmi przeszłości, a my - przyszłości, nie możecie więc zrozumieć naszych dusz.

- To nie tak - zaprzeczam. - Czemu uważasz, że chcemy wam cokolwiek narzucać?

Czy aż do tej chwili ktokolwiek z nas wtrącał się w wasze sprawy?

- A jednak jesteś tu.

- Ale nie po to, żeby się wtrącać. Chcę tylko otrzymać od was informacje.

- Ach, tak? - mówi ze śmiechem i podnosi szklaneczkę. - Twoje zdrowie!

Kilka dni później przychodzi po raz trzeci. Czuję się zaniepokojony i zirytowany, kiedy wchodzi. Mam dość tego więzienia, tych nieuzasadnionych podejrzeń, tego ponurego i mroźnego świata; jestem zdecydowany postawić na swoim. Ledwie mogę się powstrzymać od ostrego żądania przywrócenia mi wolności. Rozmawiam z nim nietypowym dla mnie, nieprzyjemnym i kwaśnym tonem; na jego pytania, jak spałem, czy dobrze się czuję i czy w pokoju jest wystarczająco ciepło, odpowiadam burkliwie, monosylabami. Spogląda na mnie najpierw ze zdziwieniem, następnie - jakby w zamyśleniu - z uznaniem, aż wreszcie uśmiecha się. W pełni kontroluje sytuację, i obaj o tym wiemy.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego przyjechałeś do nas.

Uspokajam się i ponownie wyjaśniam mu wszystko, od samego początku. Przytakuje.

Teraz - jak mówi - kiedy zna mnie lepiej, zaczyna wierzyć, że jestem z nim szczery, że

zapewne faktycznie nie przyjechałem tu szpiegować, a jedynie pragnę wędrować po

Galaktyce w poszukiwaniu ideału. Przemawia do mnie w tym samym stylu przez pewien

czas. Jego ton jest protekcyjny, a jednocześnie - pełen autentycznej przyjaźni.

- Zdecydowaliśmy - informuje mnie wreszcie - że będzie najlepiej, jeśli wyślemy cię dalej.

- Dokąd?

- Na Estradę. Ten świat, to jedna z naszych "córek". Leży w odległości jedenastu lat świetlnych od nas. Jest tam bardzo gorąco. Dostarczamy im metale szlachetne w zamian za ich przyprawy. Niedawno ktoś od nich przyjechał i opowiedział nam o dziwnym mężczyźnie, o nazwisku Oesterreich, który wędrował po Estradzie i rozpowiadał o podejmowaniu wypraw do nowych, odległych miejsc. Zapewne ten człowiek będzie mógł udzielić ci odpowiedzi na twoje pytania. Jeśli potrafisz go odnaleźć.

- Oesterreich?

- Tak, tak się nazywa.

- Czy mógłbyś mi coś więcej o nim powiedzieć?

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem na ten temat.

Wpatruje się we mnie zadziornie, jakby wyzywając mnie wzrokiem do wyrażenia podejrzeń, że kłamie. Ale ja mu wierzę.

- To niewiele, ale i tak jestem wdzięczny za informację - mówię.

- Tak. I żeby nikt nie narzekał, że odmówiliśmy Zakonowi pomocy. - Ponownie uśmiecha się. - Ale, sam rozumiesz, że jeśli kiedykolwiek powrócisz tutaj, uznamy cię mimo wszystko za szpiega. I potraktujemy odpowiednio.

Urządzenia Veldego obsługuje Marfa Iwanowna. Umieszcza mnie w drzwiach przekaźnika, ustawiając i przesuważając tak, abym na pewno znalazł się w środku pola.

- Wiesz, że nie powinieneś tu nigdy wracać? - pyta, kiedy już osiągnęła zadowolający efekt.

- Tak, wiem o tym.

- Musisz być niezwykle prawym człowiekiem, Ilja Aleksandrowicz był już niemal zdecydowany posłać cię na śmierć, a potem zmienił zdanie. To wiem, z całą pewnością. Ale nadal odnosi się do ciebie nieufnie. Traktuje nieufnie wszystko, co robi Zakon.

- Zakon nigdy nie zrobił nic, co mogłoby być krzywdzące dla niego czy kogokolwiek innego w waszym świecie. I nigdy tego nie robi.

- Może to i prawda. Ale mimo wszystko masz dużo szczęścia, że opuszczasz nas żywy. I nie wracaj.

Powiedz też innym, takim jak ty, żeby trzymali się z dala od Zimy. Nie uznajemy tu Zakonu.

Ciągle jeszcze rozmyślam nad głębszym znaczeniem jej zaskakującego oświadczenia, kiedy Marfa robi coś jeszcze bardziej zdumiewającego. Wchodzi razem ze mną do komory przekaźnika i nagle rozpina swoją obszytą futrem kurtkę, odsłaniając pełne, krągłe piersi, bardzo blade, pokryte takimi samymi jasnoczerwonymi piegami jak te, które ma na twarzy. Łapie mnie za włosy, przyciska moją głowę do swoich piersi i trzyma tak przez dłuższą chwilę. Jej skóra jest bardzo ciepła. Niemal tak ciepła, jakby dziewczyna miała gorączkę.

- To na szczęście - mówi i wychodzi. Jej oczy są smutne i mają dziwny wyraz. Patrzą na mnie z miłością, czy raczej ze współczuciem. Albo i z jednym, i drugim uczuciem, na raz. Wreszcie dziewczyna odwraca się i przekręca przełącznik.

Entrada jest rozpalona i wilgotna; przypomina duszną cieplarnię. Stanowi tak absolutną antytezę Zimy, że moje ciało natychmiast buntuje się przeciwko przeniesieniu z jednego świata w drugi. Wychodząc z odbiornika Veldego czuję falę gorąca, oblewającą mnie jak nieubłagana ściana wody. Przetacza się przeze mnie i rzuca mnie na kolana. Czuję mdłości i odrętwienie wywołane przemieszczeniem. Mam wrażenie, jakbym nie był w stanie oddychać. Gęste, migoczące, złotozielone powietrze jest tu niemal płynne; wdiera się do mojego gardła, obejmuje potwornie bolesnym uściskiem płuca. Jak przez mgłę widzę przed sobą zieloną gęstwinę dżungli, masę baraków z falistej blachy, skrawek nieba w kolorze płytkiego morza i wysoko ponad głową bezlitosne, drżące, dziwnie wydłużone słońce. Nie

potrafiłbym sobie wyobrazić, że słońce może tak wyglądać. A potem chwieję się, upadam i nie widzę już nic więcej.

Przez dłuższy czas leżę w delirium, oderwany od rzeczywistości. To przyjemne uczucie, jakbym się znalazł z powrotem w łonie matki. Otula mnie wielka, kojąca cisza, usypiają ciche głosy i łagodna muzyka. Ale stopniowo zaczynam odzyskiwać przytomność.

Płynę w kierunku światła, które lśni gdzieś nade mną, otwieram oczy i widzę łagodną, sympatyczną twarz.

- Proszę się nie martwić - słyszę czyjś głos. -Każdy, kto przychodzi po raz pierwszy ze świata, z którego przybyłeś, przechodzi coś takiego. A w twoim wieku musiało to być cięższe przejście niż u innych.

Czując się nadal oszołomiony, uświadamiam sobie, że oprzytomniałem w trakcie jakiejś konwersacji.

- Przejście przez co?

Druga osoba, smukła, szarooka kobieta w średnim wieku, ubrana w coś w rodzaju hinduskiego sari, uśmiecha się.

- Przez Spadanie. To efekt lambdy. Przepraszam. Rozmawiamy już od pewnego czasu i myślałam, że nie śpisz. Ale najwyraźniej się myliłam.

- Teraz już nie śpię. Ale dopiero chyba od bardzo niedawna.

- To zaczniemy jeszcze raz - mówi, przytakując ruchem głowy. - Znajdujesz się w hospicjum dla podróżnych. Poczułeś się źle pod wpływem wilgoci w powietrzu, upału i słabej siły przyciągania. Ale już jest wszystko dobrze.

- Tak.

- Czy sądzisz, że możesz już wstać?

- Spróbuję.

Pomaga mi się podnieść. Mam silne zawroty głowy i obawiam się, że zemdleję.

Kobieta ostrożnie podprowadza mnie do okna. Na zewnątrz widzę werandę i krótko przystrzyżony trawnik. Tuż za nim znajduje się gęsta ściana zieleni, która zasłania resztę widoku. Pod wpływem intensywnego światła wszystko wydaje się bardzo bliskie; zupełnie tak, jakbym mógł wyciągnąć rękę za okno i sięgnąć w głąb tej bujnej dżungli.

- Takie jasne... to słońce... - szepczę.

W rzeczywistości są tu na niebie dwa białawe słońca, tak blisko jedno od drugiego, że ich fotosfery nakładają się na siebie i każde z nich jest rozciągnięte pod wpływem grawitacji drugiego, co powoduje, że mają kształt niemal owalny. Oba razem zdają się tworzyć jedną masę w kształcie jajka, choć nawet od jednego, jedyne spojrzenia, na jakie się mogłem zdobyć, zorientowałem się, że tworzą system binarny, że są to odrębne wiązki energii na zawsze zwarte ze sobą.

Zdumiony i pełen podziwu dotykam w zamyśleniu palcami policzka i czuję gęsty, ostry zarost, którego przedtem nie miałem.

- Właściwie to są dwa słońca - mówi kobieta. - Ich środki znajdują się w odległości zaledwie półtora miliona kilometrów. Co siedem i pół godziny obracają się wokół siebie.

Jesteśmy czwartą, jeśli chodzi o kolejność, planetą, ale znajdujemy się od nich tak daleko jak Neptun od Słońca.

Na chwilę przestały mnie interesować zagadnienia astronomii. Pocieram twarz, badając jej dziwną, obcą mi ostrość. Zarost pokrywa policzki, brodę, znaczną część szyi.

- Jak długo byłem nieprzytomny? - pytam.

- Około trzech tygodni.

- Waszych, czy według czasu ziemskiego?

- Używamy tu ziemskiego czasu.

- I to była zaledwie lekka choroba? Czy każdy, kto doświadcza Spadania, jest przez trzy tygodnie nieprzytomny?

- Czasami znacznie dłużej. Czasami nigdy nie odzyskuje przytomności.

Wpatruję się w nią uważnie.

- I to tylko wskutek upału, duchoty i słabego przyciągania? Tak to zbija człowieka z nóg, natychmiast po wyjściu z odbiornika, i rozkłada na całe tygodnie? Myślałem, że potrzebny jest co najmniej wylew, żeby mieć takie objawy.

- To jest coś w rodzaju wylewu. Czy sądziłeś, że podróż między gwiazdami to tak jak przejście na drugą stronę ulicy? Przybyłeś ze świata o niskiej lambdzie do świata o wysokiej lambdzie nie robiąc ćwiczeń adaptacyjnych i wydaje się zupełnie oczywiste, że zmiana musiała zbić cię z nóg. A czego oczekiwałeś?

Wysoka lambda? Niska lambda?

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdzam.

- Czy nie powiedzieli ci na Zimie o ćwiczeniach adaptacyjnych, zanim cię tu przysłali?

- Ani słowem.

- A o różnicy poziomom lambdy?

- Też nie.

Twarz kobiety nagle spoważniała.

- Co za świnię! Powinni cię przygotować do podróży. Domyślam się, że musiało im być obojętne, czy przeżyjesz ten skok.

Przychodzi mi na myśl Marfa Iwanowna życząca mi szczęścia przed sięgnięciem do przełącznika. Myślę o dziwnym, smutnym wyrazie jej oczu. I o wojewodzie liii

Aleksandrowiczu, który mógł kazać mnie rozstrzelać, ale zamiast tego postanowił pozbyć się

mnie ze swojego świata, wysyłając w podróż bez powrotu. Zdaję sobie sprawę, że dopiero zaczynam rozumieć i dowiadywać się więcej o tym budowanym przez Ziemię imperium w przestrzeni, którą nazywamy Mrokiem. To prawda, że budujemy w mroku, dosłownie i w przenośni.

- Tak - mówię. - Myślę, że faktycznie było im to obojętne.

Na Entradzie odnoszą się do mnie przyjaźniej, nie ma co do tego wątpliwości. Handel międzygwiazdny odgrywa tu ważną rolę i goście z innych światów są zjawiskiem o wiele częstszym niż na mroźnej Ziemi. Najwyraźniej mogę mieszkać w hospicjum tak długo, jak sobie życzę. Tygodnie mojego pobytu tutaj zamieniły się w miesiące, ale nikt mi nie sugeruje, że czas, abym się stąd zabierał.

Nie przypuszczałem, że zostanę tu tak długo. Ale zbieranie potrzebnych mi informacji postępuje bardzo powoli i z opóźnieniami; wielokrotnie trafiam przy tym na doprowadzające do szału mylne tropy.

Przynajmniej tyle dobrego, że nie mam już problemów z lambdą. Lambda, jak mnie tu informują, to siła planetarna, którą poznano dopiero wówczas, kiedy rozpoczęto podróże za pomocą przekaźników Veldego między systemami słonecznymi. Są światy o wysokiej lambdzie i o niskiej, dlatego każdy, kto wyrusza z jednego rodzaju świata do drugiego bez odpowiedniego przygotowania, naraża się na poważny szok. Wszystko to jest dla mnie nowe. Zastanawiam się, czy członkowie Zakonu na Ziemi wiedzą cokolwiek o tych trudnościach. Choć oni zapewne uważają, że problemy, które mogą się pojawić w czasie podróży między światami Mroku, nie dotyczą nas, ze świata macierzystego.

Poddano mnie ćwiczeniom adaptacyjnym już tu, w hospicjum, w czasie kiedy byłem nieprzytomny i teraz jestem mniej więcej przystosowany do warunków na Entradzie.

Nieustanny wilgotny upał, jak w łaźni parowej, którego nie jest w stanie złagodzić żadna

klimatyzacja, jest trudny do zniesienia, a dziwna kombinacja ciężkiej atmosfery i słabego ciśnienia powoduje, że robi mi się niedobrze przy każdym oddechu, choć po upływie jakiegoś czasu uczę się, jak należy wciągać w płuca niewielkie dawki powietrza. Z każdym oddechem wchłaniam porcję alergenów, pyłków z tysięcy najróżniejszych kwiatów i jakieś unoszące się alkaloidy, przeciwko którym muszę codziennie przyjmować porcję leków. Ponadto pod wpływem promieni z podwójnego słońca moja twarz stała się czerwona, a skóra na policzkach dziwnie delikatna, wskutek czego zarost był prawdziwym utrapieniem. Musiałem go zgolić. No i jeszcze jedno: moje włosy zaczęły nabierać dziwnego srebrnego blasku; nie jest to nieładne, choć raczej dość nieoczekiwane. Pomimo tego jakoś znoszę pobyt tutaj.

Na Entradzie jest kilkanaście wielkich osiedli, w których mieszka kilkaset tysięcy ludzi. To duży świat, lekki i o skąpych zasobach rud metali. Kilka niewielkich kontynentów i kilka zawiłych archipelagów unosi się tu na powierzchni olbrzymich, ciepłych mórz. Na całej planecie panuje klimat tropikalny, nawet na biegunach: mimo że tak odległa od swoich słońc, prawdopodobnie nie nadawałaby się do zagospodarowania przez ludzi, gdyby leżała bliżej nich. Glebę na Entradzie cechuje ta szalona żyzność, którą łączymy z tropikiem, i rolnictwo stanowi tu główne zajęcie. Ludzie, pochodzący z wielu regionów Ziemi, są przyjaźni i otwarci, o niezwykle miłym sposobie bycia.

Wydaje się, że mieszkańcy Entrady nie odeszli tak daleko od Kodeksu Mroku jak Zimianie.

W każdym razie z całą pewnością otaczają szacunkiem Zakon. Wszędzie są tu kaplice i ludzie uczęszczają do nich. Ilekroć wchodzę do którejś z nich, budzi się lekkie poruszenie, ponieważ powszechnie wiadomo, że byłem na Ziemi Najwyższym Strażnikiem Prawa w Domu Ekspedytorów, a to powoduje, że traktują mnie tu jako znakomitość, a może jako kuriozum albo i jedno, i drugie. Wielu Entradan urodziło się na Ziemi - emigrowano do tego

świata jeszcze osiem czy dziewięć lat temu - dlatego widok mojego medalionu budzi respekt, a nawet nabożną cześć. Nie noszę urzędowej togi; nie da się w tym upale. Zresztą chyba już jej nigdy nie założę, niezależnie od tego, w jakim klimacie się znajdę po opuszczeniu tego świata. Poza wszystkim teraz już kto inny jest Najwyższym Strażnikiem Prawa w Domu Ekspedytorów. Ale sam medalion wystarczy, by odnoszono się do mnie tutaj z takim szacunkiem, z jakim z całą pewnością nigdy nie spotkałem się na Zimie.

Myślę jednak, że na Entradzie stosują dla własnej wygody selektywne podejście do postanowień Kodeksu Mroku, przestrzegając tych, które im odpowiadają, i odkładając na bok wszystkie uznawane przez nich za zbyt ograniczające. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się to prawdopodobne. Przedyskutowanie tego problemu z którąkolwiek spośród znanych mi tu osób jest oczywiście niemożliwe. Ludzie, których dotychczas udało mi się poznać w hospicjum, kaplicy w mieście oraz w tawernie, gdzie zacząłem jadać posiłki, są mili i towarzyscy. Ale stają się niespokojni, a nawet zaczynają mnie unikać, kiedy mówię o jakimkolwiek aspekcie ziemskiej emigracji w przestrzeń kosmiczną. Wystarczy, że tylko wspomnę o Zakonie, Mistrzu lub czymkolwiek związanym z Misją, a natychmiast zaczynają zwilżać językiem usta i wyglądać na skrępowanych. Najwyraźniej dzieją się tu jakieś rzeczy; coś, czego założyciele Zakonu nie przewidywali, o czym mieszkańcy Entrady nie chcą rozmawiać z nikim noszącym medalion kapłana wysokiej rangi.

Miarą zmian, jakie we mnie nastąpiły od czasu rozpoczęcia tej podróży jest fakt, że nie czuję się tym ani zaskoczony, ani zatrwożony.

Dlaczego wierzyliśmy, że byliśmy w stanie stworzyć kodeks prawny odpowiadający potrzebom setek ogromnie różniących się między sobą światów? To naturalne, że mieszkańcy nowych planet modyfikują nasze nauki, dopasowując je do rodzących się własnych kultur, i że niektóre z ich nauk będą całkowicie odbiegać od tych, jakie stworzyliśmy dla nich.

Należało się tego spodziewać. W trakcie tej podróży pojąłem wiele takich spraw, których nie dostrzegałem przedtem, nie zadawałem sobie trudu, aby się nad nimi zastanowić. Ale nadal wiele z nich jest tajemniczych.

Stoję na ruchliwej esplanadzie nad brzegiem morza, opieram się o barierkę i patrzę w dal, na Wyspę Wulkanu, daleki, zamglony, szary szczyt, sterczący z wody. Jest rano, jeszcze przed największym upałem południa. Przebywam na Entradzie już na tyle długo, że uważam tę porę dnia za chłodną.

- Wasza Wielbność? - woła jakiś głos. - Najwyższy Strażniku Prawa?

Nikt tutaj nie tytułuje mnie w ten sposób.

Spoglądam w dół, na lewo. Ciemnowłosa mężczyzna w podniszczonym stroju marynarskim i kapitańskiej czapce patrzy na mnie z łodzi wiosłowej stojącej tuż pod obwałowaniem. Uśmiecha się i macha. Nie mam pojęcia, kto to, ale ten człowiek najwyraźniej chce ze mną porozmawiać, a ja powinienem korzystać z każdej okazji, która pomoże mi pokonać barierę dzielącą mnie od poznania prawdy o tym miejscu.

Człowiek wskazuje na odległy kraniec portu, gdzie jest rampa wiodąca z małej plaży na esplanadę, i informuje mnie gestami, że zamierza przywiązać swoją łódkę, po czym zejdzie na brzeg. Czekam na niego u szczytu rampy i po chwili marynarz podbiega, by mnie przywitać. Ma zapewne około pięćdziesiątki; jest schludny, opalony, ma szczupłą, ogorzałą od pracy na morzu twarz.

- Nie pamiętasz mnie - mówi.

- Obawiam się, że nie.

- To ty, osobiście, osiemnaście lat temu przeprowadzałeś ze mną rozmowę kwalifikacyjną i zatwierdziłeś moje podanie o emigrację. Sandys. Lloyd Sandys. - Uśmiecha się z nadzieją, jakby liczył, że jego nazwisko otworzy wrota mojej pamięci.

Kiedy byłem Najwyższym Strażnikiem Prawa, przeglądałem tygodniowo po pięćset dossier kandydatów i rozmawiałem dziennie z dziesięcioma lub nawet piętnastoma emigrantami, o których zapominałem natychmiast, gdy tylko zatwierdziłem lub odrzuciłem ich podanie. Ale dla tego człowieka rozmowa z Najwyższym Strażnikiem Prawa w Domu Ekspedytorów była najważniejszym momentem w jego życiu.

- Przykro mi. Tyle nazwisk, tak wiele twarzy...

- A ja rozpoznałbym cię, nawet gdybym wcześniej nie słyszał, że tu jesteś. Przez te wszystkie lata prawie się nie zmieniłeś, Wasza Wielbność. - Uśmiecha się szeroko. - Więc teraz sam przyjechałeś osiedlić się na Entradzie?

- Jestem tu tylko z krótką wizytą.

- Och. - Jest wyraźnie rozczarowany. - Powinieneś pomyśleć o pozostaniu tu. To cudowne miejsce, jeśli nie przeszkadza ci odrobina upału. Nawet przez minutę nie żałowałem, że zdecydowałem się tu osiedlić.

Prowadzi mnie do nadmorskiej gospody, w której najwyraźniej dobrze go znają, i zamawia obiad dla nas obu: szaszłyki z małych, spiralnie skręconych stworzonek, które wyglądają i smakują jak mątwy, oraz butelkę dziwnego, ale zupełnie niezłego szmaragdowego wina o ciężkim, piżmowym i korzennym aromacie. Mówi mi, że ma czterech dzielnych synów i cztery krzepkie córki, że razem z żoną obsługują prom pływający na krótkich trasach, między wyspami tego archipelagu, który jest najgęściej zaludniony na Entradzie. W jego mowie ciągle jeszcze pozostały ślady dialektu z Melbourne. Robi wrażenie bardzo szczęśliwego.

- Dasz się namówić na przejażdżkę, prawda? - pyta. - Mamy tu kilka bardzo pięknych wysp, na które nie da się dotrzeć przekaźnikiem Veldego.

Protestuję, tłumacząc, że nie chcę go odrywać od pracy, ale zbywa moje argumenty

wzruszeniem ramion. Mówi, że praca może poczekać. Nie ma się po co śpieszyć na świecie, gdzie wystarczy zarzucić w morze sieć i wyciąga się solidny posiłek. Zamawiamy kolejną butelkę wina. Robi wrażenie człowieka otwartego, miłego, godnego zaufania. Przy serze i owocach pyta, dlaczego tu przyjechałem.

Waham się, co odpowiedzieć.

- Zbieram informacje o pewnych faktach.

- Ach. Naprawdę? Może mógłbym się w czymś przydać?

Trzeba jeszcze kilku następnych obiadów z dużą ilością wina oraz niewielkiej wyprawy łodzią na pobliskie wysepki porośnięte masą odurzających, czerwonych kwiatów, nim zaczynam nabierać zaufania do Sandysa. Mówię mu, że Zakon wysłał mnie w Mrok, bym zbadał, jak rozwija się życie w nowych światach i zdał sprawozdanie ze swojej misji. Nie wydaje się tym zaniepokojony, choć Ilja Aleksandrowicz zapewne kazałby mnie zastrzelić po takim oświadczeniu.

Później opowiadam mu o wyraźnych odstępstwach od założeń Misji, które stały się bezpośrednim powodem mojej podróży,

- Chcesz powiedzieć, że chodzi o wychodzenie poza strefę stu lat świetlnych?

- Tak.

- Trudno uwierzyć, że ktokolwiek miałby tam jechać.

- Mamy wskazówki świadczące, że to prawda.

- Coś takiego!

- A na Zimie - kontynuuję - usłyszałem, że ktoś tu, na Entradzie, namawiał do wypraw w Mrok. Słyszałeś może o kimś takim?

Jego jedyną jawną reakcją na moje słowa jest lekkie zmarszczenie brwi, ale tylko na moment. Zapewne nie ma mi nic do powiedzenia na ten temat. Albo - co też jest możliwe -

poruszyłem kwestię, o której nie chce ze mną rozmawiać.

Jednakże po kilku godzinach sam wraca do tematu, kiedy płyniemy z powrotem do portu, przypieczeni przez słońce i lekko podchmieleni po wyprawie na jedną z najładniejszych pobliskich wysepek.

- Pamiętam, że kiedyś słyszałem o tym człowieku, o którym wcześniej wspomniałeś.

Czekam, nie mówiąc ani słowa.

- Mówiła mi o nim żona. Był taki kaznodzieja, który chodził i opowiadał o dalekich wyprawach. - Na jego twarz wypłynął głęboki, czerwony rumieniec, widoczny pomimo opalenizny. - Wyleciało mi to z głowy, kiedy wcześniej o tym rozmawialiśmy.

Z pewnością wie, że uważam go za nieszczerego, ponieważ przez całe popołudnie ukrywał przede mną tę wiadomość. Ale nie próbuję nawet robić mu wymówek. Nadal przecież sprawdzamy się wzajemnie.

Pytam go, czy mógłby się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat, i obiecuje mi porozmawiać z żoną. A potem przez tydzień jest nieobecny; opływa wokół archipelagu, rozwożąc ładunek. Kiedy w końcu wraca, przynosi mi w prezencie niezwykłą brandy złotego koloru, którą przywiózł z jakiejś odległej wyspy. Ale wszelkie moje ostrożne próby nawiązania do wcześniejszej konwersacji zbywa, stosując znane, typowe dla Entradan uniki. Zupełnie jakby nie wiedział, do czego nawiązuję.

- Czy miałeś okazję porozmawiać z żoną o tym kaznodziei? - pytam w końcu bezceremonialnie.

Wygląda na zmartwionego.

- Zupełnie o nim zapomniałem.

- Aha.

- Może dziś wieczorem...

- O ile wiem, ten człowiek nazywa się Oesterreich - mówię.

Patrzy na mnie okrągłymi ze zdziwienia oczami.

- Ty to wiesz?

- Pomóż mi, Sandys, dobrze? To ja wysłałem cię do tego świata, pamiętasz? Gdyby nie ja, nie żyłbyś tak, jak teraz.

- To prawda. Z całą pewnością.

- Kto to jest, ten Oesterreich?

- Nigdy go nie spotkałem. Nie miałem z nim do czynienia.

- Powiedz, co o nim wiesz.

- To był szaleniec.

- Był?

- Już go tu nie ma.

Odkorkowuję butelkę rzadkiego gatunku brandy, nalewam odrobinę sobie i znacznie większą porcję Sandysowi.

- Dokąd mógł pojechać? - pytam. Popija w zamyśleniu.

- Nie wiem, Wasza Wielbność - odpowiada po dłuższej chwili. - Bóg wie dokąd. Już kilka lat go nie widziałem ani nie słyszałem o nim. Wynajął jednego z tutejszych kapitanów o nazwisku Feraud, żeby zawiózł go na którąś z wysp, i od tego czasu nic o nim nie słyszałem. -

Na którą wyspę?

- Nie wiem.

- A jak myślisz, czy Feraud pamięta?

- Mógłbym go zapytać.

- Naprawdę mógłbyś to zrobić?

- Tak, zapytam.

Tak więc moje dochodzenie rusza powoli do przodu. Sandys konferuje ze swoim przyjacielem, który waha się i robi uniki albo może to tylko Sandys mnie zwodzi. W końcu jednak Feraud decyduje się przypomnieć sobie, że zawiózł Oesterreicha na Wyspę Wulkanu, trzy godziny drogi na zachód stąd. Sandys wyznaje mi teraz., kiedy już za daleko w to zabrnął, żeby się wycofać, że sam też kilkakrotnie przysłuchiwał się temu, co mówił Oesterreich. Miał on ponoć twierdzić, że zna tajny sposób dotarcia z zasiedlonych części Mroku do niezmiernie odległych światów.

- I uwierzyłeś w to?

- Nie wiem. Robił na mnie wrażenie szalonego.

- Dlaczego szalonego?

- Z powodu tego, jak patrzył. I co mówił. Przekonywał, że naszym przeznaczeniem jest dotrzeć do skraju Wszechświata. I że Zakon powstrzymuje nas przed tym, ponieważ jest bojaźliwy. A my powinniśmy iść śladem Bogini Avatar, która nas wzywa do...

- Czym?

Jego twarz staje się karmazynowa.

- Bogini Avatar. Nie wiem, kim ona jest, Wasza Wielbność. Mówię uczciwie. On uprawia jakiś kult, wymyślił jakąś nową religię. Uprzedzałem cię, że on jest szalony. Nigdy nie wierzyłem w nic z tych rzeczy.

Czuję pulsowanie w skroniach i ostry ból nerwów ocznych. Zaszło mi w gardle tak, że nawet brandy od Sandysa nie jest w stanie złagodzić tego uczucia.

- Jak myślisz, gdzie jest teraz Oesterreich?

- Nie wiem. - Rzuca mi pełne udręki spojrzenie. - Naprawdę nie wiem. Uczciwie.

Wydaje mi się, że opuścił Entradę.

- Czy na Wyspie Wulkanu jest stacja przekaźników Veldego?

Przez chwilę zastanawia się.

- Tak, jest - mówi.

- Czy wyświadczyłbyś mi jeszcze jedną przysługę? - pytam go. - Tę jedną jedyną i już cię o nic więcej nie będę prosił.

- Tak?

- Popłynij jutro na Wyspę Wulkanu. Porozmawiaj z ludźmi, którzy obsługują przekaźnik Veldego. Spróbuj się dowiedzieć, dokąd wyprawili Oesterreicha.

- Oni mi za nic w świecie nie powiedzą czegoś takiego.

Kładę przed nim pięć błyszczących monet; każda z nich jest warta tyle, ile jest w stanie zarobić pływając promem przez cały miesiąc.

- Użyj ich - mówię. - Jeśli wrócisz z odpowiedzią, dostaniesz kolejne pięć dla siebie.

- Proszę pojechać ze mną, Wasza Wielbność. Sam z nimi porozmawiaj.

- Nie.

- Powinieneś zobaczyć Wyspę Wulkanu. To fantastyczne miejsce. Środek tej wyspy wybuchł tysiące lat temu, a ludzie mieszkają na obrzeżu, wokół laguny tak głębokiej, że jeszcze nikomu nie udało się dotrzeć do jej dna. I tak zamierzałem tam cię zabrać i...

- Jedź ty - przerywam mu. - Tylko ty.

Po chwili chowa monety do kieszeni. Rano obserwuję, jak wyrusza jedną ze swoich łódek, małym hydroplanem. Nie mam od niego żadnych wiadomości przez następne dwa dni, a potem składa mi wizytę w hospicjum. Jest wyraźnie spięty, nieogolony.

- Nie było to łatwe - wyjaśnia.

- Dowiedziałeś się, dokąd wyruszył?

- Tak.

- To powiedz - pośpieszam go, ale milczy. Porusza tylko bezgłośnie wargami.

Wyciągam jeszcze pięć monet i kładę przed nim. Ignoruje je. Widać, jak toczy jakąś wewnętrzną walkę.

- Nie wolno nam ujawniać żadnych informacji na ten temat - mówi po dłuższej chwili.

- Powiedziałem ci to wszystko, ponieważ dużo ci zawdzięczani. Rozumiesz?

- Tak.

- Nie możesz dopuścić do tego, aby ktokolwiek dowiedział się, od kogo uzyskałeś te informacje.

- Nie martw się. Przygląda mi się przez chwilę.

- Planeta, na którą pojechał Oesterreich, nazywa się Eden - wyrzuca z siebie w końcu.

- To skok przez siedemnaście lat świetlnych. Udając się tam stąd nie musisz robić żadnych ćwiczeń dostosowawczych. Prawie nie ma różnicy wartości lambdy. W porządku, Wasza Wielbność? To wszystko, co mogę ci powiedzieć. - Wpatruje się w monety i kręci głową. A potem wybiega z pokoju, pozostawiając je tam, gdzie leżały.

Okazuje się, że Eden nie ma nic wspólnego z prawdziwym Edenem. Widzę nasiąknięty jak gąbka, bagienny krajobraz, szare, nasyczone wilgocią niebo i surowe, na wpół zbudowane miasto. Wydaje mi się, że są tu dwa słońca, jedno bladożółtobiałe i drugie, większe, czerwone. Przyjrząwszy się dokładniej spostrzegam, że jest tu system taki, jak na Lalande: czerwone słońce nie jest w rzeczywistości gwiazdą, lecz błyszczącą masą substelarną, o rozmiarach porównywalnych z Jowiszem. Eden to jeden z jej księżyców.

Zaczynam sobie uświadamiać, że planety, o których lubimy w Zakonie mówić jako o nowych Ziemiach w Mroku, w rzeczywistości wcale nie przypominają Ziemi. Wspólnego z macierzystym światem mają tylko tyle, że otacza je atmosfera pozwalająca na oddychanie i występuje na nich dająca się wytrzymać grawitacja. Jak można jakiś świat nazywać Ziemią, kiedy świeci nad nim nie żółte, ale białe, czerwone lub zielone słońce? Albo kiedy na niebie

dzień i noc świecą dwa, trzy, a nawet cztery słońca? Lub gdy głównym źródłem ciepła jest wcale nie słońce, lecz gigantyczna, przypominająca planetę kula gorącego gazu?

- Osadnik? - pytają mnie, kiedy pojawiając się na Edenie.

- Podróżnik - odpowiadam. - Z krótką wizytą. Wydaje się to ich niewiele obchodzić.

To surowy

kraj i nie mają tu czasu na biurokratyczne formalności. Jak długo przybysz ma pieniądze, a ja mam (przynajmniej tyle dobrego, że te dziwne światy, "córki" naszego, nadal honorują ziemską walutę), jest tu jeśli nie dosłownie serdecznie witany, to przynajmniej wpuszczany bez przeszkód.

Czy przestrzegają tu Kodeksu Mroku? Przybywam nie mając na sobie ani mojego stroju urzędowego, ani medalionu, i wydaje się, że to dobrze. Na ile jestem w stanie się zorientować, Zakon nie jest tu lubiany. Nie widzę ani śladu naszych kaplic czy innych symboli świadczących o podporządkowaniu się naszej władzy. Krążąc po wyboistych ulicach tandetnie zbudowanego miasta na tym chłodnym, ociekającym deszczem świecie natrafiam natomiast na jakąś kaplicę innego rodzaju, białą kopułę z tajemniczym symbolem - trzema nałożonymi na siebie sześcioramiennymi gwiazdami - wymalowanym czarną farbą na drzwiach.

- Niech Bogini cię ma w opiece - mówi do mnie szorstko jakaś wychodząca z kaplicy kobieta, po czym przeciska się obok mnie i wychodzi na deszcz.

Tu, na odległym pograniczu, nawet nie starają się kryć z tym, co robią.

Wchodzę do środka. Ściany są białe, a na jednej z nich wymalowano dziwny, niepokojący fresk. Przedstawia coś, co wygląda jak pozbawiona okien, zrujnowana świątynia, dryfująca w niebieskiej, gwiazdzistej przestrzeni, a obok niej unoszą się wszelkiego rodzaju przedmioty i stworzenia, sowy, czaszki, węże, maski, złote kubki, pozbawione ciał głowy.

Przypomina to jakiś obraz ze snu. Alabastrowe ściany świątyni są pokryte hieroglifami.

Kolejne przejścia prowadzą coraz dalej w głąb, a na samym końcu dostrzegam maleńki widoczek, przedstawiający niesamowity krajobraz, jakby płaskowyż na końcu czasu. W kaplicy jest kilka osób, zwróconych twarzami każda w innym kierunku i czytających przyciszonymi głosami jakiś tekst. Smukły mężczyzna o ciemnej skórze spogląda na mnie.

- Niech bogini cię ma w opiece, ojczy - mówi. - Jak ci się udaje podróż?

- Usiłuję odnaleźć Oesterreicha. Mówiono mi, że jest tutaj.

Kilkoro innych z grona czytających podnosi wzrok.

- Pojechał do Bogini - informuje mnie jakaś kobieta o włosach w kolorze słomy.

- Przykro mi, nie ro...

- Zamierzał zatrzymać się najpierw na Fosforze. Może go tam jeszcze zastaniesz.

Niech bogini cię ma w opiece, ojczy - przerywa mi inna kobieta, o bardzo drobnych rysach, delikatnie umieszczonych pośrodku twarzy rozległej jak mapa Rosji.

Patrzę na nią, potem na obrazek wymalowany na fresku przedstawiającym kamienną świątynię, i na kolejną kobietę.

- Dziękuję - mówię. - Niech bogini was ma w opiece - dodaje mój głos.

Opłacam przejazd na Fosfor, który znajduje się w odległości sześćdziesięciu siedmiu lat świetlnych od Ziemi. Niezbędne przystosowanie do zmiany lambdy kosztuje mnie prawie drugie tyle co opłata za przemieszczenie, i muszę poświęcić trzy dni na ćwiczeniach, nim mogę wyruszyć.

Wreszcie, niech Bogini ma mnie w opiece, jestem gotów opuścić Eden i wyruszyć ku dalszym światom, jakie by one nie były dziwne i obce.

Oczekując na reakcję Simtowa, w czasie której zostaną anihilowany i odtworzony w jakimś nieznanym miejscu, rozmyślam o tych wszystkich, którzy przez długie lata przewinęli

się przez mój Dom, kiedy wybierałem mających wyruszyć w przestrzeń kolonistów; i o tym, jak ja i ci, którzy przede mną pełnili urząd Najwyższego Strażnika Prawa, kurczowo trzymaliśmy się złudzenia, że tworzymy doskonałe nowe Ziemie gdzieś daleko w Mroku, że komponujemy z ludzkich charakterów zupełnie wyjątkowe symfonie, odrzucając wszystkie fałszywe nuty, które aż do tej pory mąciły całą naszą historię. Oczywiście nie sprawdzaliśmy nawet w nowych światach efektów naszej pracy, ponieważ wyruszenie w przestrzeń oznaczałoby - według ostrych reguł Kodeksu Mroku - odcięcie się na zawsze od naszego Domu, naszego zadania i od samej Ziemi. A teraz, raptownie rzucony w Mrok wskutek nagłej, konwulsyjnej zmiany, przepelniony wstydem, poczuciem winy i potrzebą podjęcia próby naprawienia tego, co miało być niezniszczalne, a w moim wykonaniu okazało się zdecydowanie kruche, widzę, że myliłem się od samego początku, że te symfonie z ludzkich charakterów, które komponowałem, zostały ułożone z tych samych, starych tonów, że ludzie będą robili to, co mają robić, nie zwracając uwagi na narzucone im jakieś abstrakcyjne regulacje, opracowane dla nich a priori przez innych ludzi, znajdujących się gdzieś daleko. Szczelne sito, z którego Dom Ekspedytorów jest taki dumny, w rzeczywistości nie jest wcale żadnym sitem. Wysyłamy ku gwiazdom naszych najlepszych, a oni natychmiast odwracają się do nas plecami. I rozmyślając o tym wszystkim zaczynam odnosić wrażenie, że moja dusza wali w bramy mojego umysłu, że na mury obronne mojego ducha coraz silniej napiera szaleństwo - coś, czego zawsze się panicznie obawiałem, co było główną przyczyną przekroczenia przeze mnie wrót klasztoru Zakonu.

Czarne światło błysnęło mi w oczy i jeszcze raz wyruszam w podróż przez Mrok.

- Nie ma go tu - poinformowano mnie na Fosforze. Jest tu jedno olbrzymie chłodne czerwone słońce, a kilkaset słonecznych jednostek dalej - niebieskie, gorące, wystarczająco bliskie, by razić jak brylantowy koralik w świetle dnia. - Pojechał na Entropię. Niech Bogini

cię ma w opiece.

- Niech Bogini ma was w opiece - mówię.

W jedynym na Fosforze mieście na wszystkich drzwiach frontowych znajdują się znaki, przedstawiające potrójny trójkąt. Miasto nazywa się Jerozolima. Nazywanie miast lub światów nazwami ziemskimi jest zabronione. Ale wiem, że już od dawna znajduję się poza strefą obowiązywania Kodeksu Mroku.

Entropia, jak mnie informują, leży w odległości dziewięćdziesięciu jeden lat świetlnych od Ziemi. Zbliżam się do granicy sfery zasiedlania.

Oesterreich ma miękki, sugestywny głos.

- Powinieneś pojechać ze mną - namawia mnie. - Naprawdę bardzo chętnie zawiózłbym do niej Najwyższego Strażnika Prawa.

- Nie jestem już Najwyższym Strażnikiem Prawa.

- Nigdy nie przestaniesz nim być. Czy sądzisz, że schowanie medalionu do walizki wystarczy, aby wyrzucić z siebie Zakon?

- Kim ona jest, ta Bogini Avatar, o której wszyscy mówią?

Oesterreich śmieje się.

- Proszę pojechać ze mną, to zobaczysz.

Jest niewysoki, bardzo szczupły, o niezwykle szerokich ramionach, które powodują, że gdy siedzi, robi wrażenie o wiele wyższego, niż jest w rzeczywistości. Może mieć jakieś czterdzieści lat, choć niewykluczone, że dużo więcej. Jego twarz jest biała jak papier i ustawicznie porośnięta niebieskawym zarostem, a oczy lśnią mu czarnym, niepokojącym blaskiem, który uznaję za przejaw bądź to niezwyklej inteligencji, bądź poważnej choroby umysłowej; a który zapewne oznacza i jedno, i drugie. Odnalezienie go nie sprawiło mi najmniejszej trudności - natrafiłem na niego już w kilka godzin po przybyciu na Entropię. Na

tej planecie znajduje się tylko jedna wioska i z tysiąc osadników. Powietrze jest tu łagodne, słońce - żółtozielone. Trzy olbrzymie księżycy tkwią za dnia na niebie tuż nad głową, jakby zawieszane na sznurze na bieliznę.

- Czy-ona istnieje naprawdę, ta twoja bogini? - pytam.

- Och, tak. Absolutnie naprawdę. Jak ty i ja.

- Czy to jest ktoś, do kogo możemy pójść i porozmawiać?

- Kiedyś nazywała się Margaret Benevente. Urodziła się w Genewie. Jakies trzydzieści lat temu wyemigrowała do świata, który nazwano Three Suns.

- A teraz jest boginią.

- Nie. Tego nie mówiłem.

- W takim razie kim jest?

- Jest Boginią Avatar.

- To znaczy? Oesterreich uśmiecha się.

- To znaczy, że jest świętą, w którą zostały wcielone pewne fundamentalne zasady

Wszechświata. A jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, pojedź ze mną, co? Wasza Wielebność.

- A gdzie ona przebywa?

- Teraz jest na nie zamieszkaną planecie, jakieś pięć tysięcy lat świetlnych stąd.

Mówię sobie, że mam do czynienia z szaleńcem. Ten błysk w oczach, to błysk szaleństwa.

- Nie wierzysz mi, prawda? - pyta.

- Jak to możliwe?

- Pojedź ze mną, to zobaczysz.

- Pięć tysięcy lat świetlnych - kręcę głową. - Nie. Nie.

- W takim razie nie jedź. - Wzrusza ramionami. W małym pokoju, w którym

rozmawiamy,

zapada przeraźliwa cisza. Czuję, jak zaczyna mnie przytłaczać. W końcu na zewnątrz rozlega się grzmot piorunu, rozładowując napięcie. Od kiedy tu przyjechałem, po niebie przez cały czas krążą błyskawice, ale nie pada deszcz.

- Podróż z prędkością większą niż prędkość światła jest niemożliwa - mówię. - Chyba że za pośrednictwem przekaźnika Veldego. Przecież wiesz o tym. Gdybyśmy mieli urządzenia Veldego w odległości pięciu tysięcy lat świetlnych stąd, musielibyśmy zacząć je wysyłać mniej więcej w czasie, kiedy w Egipcie budowano piramidy.

- A dlaczego sądzisz, że dostaniemy się tam za pomocą urządzenia Veldego? - pyta Oesterreich.

Nie chce mi nic więcej wyjaśnić. Jedź ze mną, to sam zobaczysz, powtarza jedynie.

Jedź ze mną, to sam zobaczysz.

Dziwne jest to, że go lubię. Właściwie nie należy do ludzi, których się lubi - jest zbyt gwałtowny, zbyt spięty, stanowczo za mocno przemawia przez niego fanatyzm - ale mimo wszystko ma swojego rodzaju urok. Jak mówi, podróżuje z jednego świata do drugiego, głosząc nową ewangelię Bogini Avatar. Dokładnie tak właśnie mówi: "nową ewangelię Bogini Avatar", a ja czuję zimny dreszcz, kiedy słyszę te słowa. Wydają mi się jednocześnie absurdalne i przerażające. Myślę jednak, że ci, którzy sto pięćdziesiąt lat temu stworzyli Zakon na świecie, musieli się wydawać równie obcy i niedorzeczni tym, którzy po raz pierwszy ich słuchali.

Z tym, że my mieliśmy urządzenia Veldego do wsparcia naszej filozofii.

A oni mają... co? Siłę szaleństwa? Klarowne, na zimno wytyczone cele, dzięki świadomemu odcięciu się od rzeczywistości?

- Byłeś kiedyś w Zakonie, prawda? - pytam.

- Wasza Wielebność wie o tym.

- W którym Domu?

- W Misji.

- Powinienem się tego domyślić. A teraz masz nową misję, tak?

- Przedłużenie tamtej. Widzisz, Mahomet nie patrzył na islam jako na zaprzeczenie judaizmu i chrześcijaństwa. Widział go jako następny szczebel wtajemniczenia, obejmujący poprzednie.

- Chciałbyś więc wcielić Zakon do swojej nowej wiary?

- Nigdy nie mogliśmy odtrącić Zakonu, Wasza Wielebność.

- A Kodeks Mroku? Czy umiałbyś określić, w jakim stopniu jest przestrzegany w nowych światach?

- Sądzę, że zachowaliśmy znaczną część jego postanowień. Na pewno przestrzegamy zasady, żeby nie próbować wracać na Ziemię. I tych praw, które mówią o szerzeniu Misji.

- Ale wydaje się, że poza wytyczone granice.

- To jest nowy obrządek.

- Nie będący odtrąceniem oryginalnych nauk?

- Och, nie - mówi i uśmiecha się. - Absolutnie nie, Wasza Wielebność.

Posiada tę pełną oddania wiarę, tę niezachwianą pewność, która cechuje prawdziwych proroków, a także - prawdziwych szaleńców. Jest w nim coś diabolicznego i nieodparcie pociągającego. Jak dotąd udaje mi się w czasie rozmów z nim zachować pozory spokoju, nawet serdeczności, ale w głębi duszy jestem rozedrgany. Naprawdę wierzę w to, że jest nienormalny. Nie może być inaczej: albo jest szaleńcem, albo zupełnym oszustem, cynicznym sprzedawcą irracjonalnej i nieprawdziwej filozofii; ale choć jest niepoważny, absolutnie nie

wydaje się cyniczny. A zatem to chory psychicznie. Czy to może być zaraźliwe? Jak już wspomniałem, przez całe życie towarzyszył mi strach przed szaleństwem; z niego wynikała surowa dyscyplina, jaką sobie narzuciłem, pełne poświęcenia zaangażowanie, głęboka moja wiara. A Oesterreich zagraża mi, naruszając każdą z tych stref obronnych.

- Kiedy wyruszasz, by odwiedzić swoją Boginię Avatar?

- Kiedy tylko zechcesz, Wasza Wielebność.

- Naprawdę myślisz, że pojedę z tobą?

- Naturalnie. A jak inaczej mógłbyś poznać to, czego chciałeś się dowiedzieć przyjeżdżając tutaj?

- Dowiedziałem się, że kolonie odeszły od Kodeksu Mroku. Czy to nie starczy?

- Ale uważasz, że my wszyscy oszaleliśmy, prawda?

- Czy powiedziałem coś takiego?

- Nie musisz tego mówić.

- A jeśli prześlę na Ziemię informację o tym, co się stało i Zakon zdecyduje się odciąć wszelką dalszą pomoc techniczną i wszystkie dostawy towarów przemysłowych... ?

- Nie zrobią tego. A nawet jeśli... no cóż, jesteśmy tu już w dużym stopniu samowystarczalni, a z każdym rokiem stajemy się coraz bardziej...

- A co z dalszą emigracją z Ziemi?

- To byłoby stratą dla was, a nie dla nas, Wasza Wielebność. Ziemi potrzebne są kolonie jako zawór bezpieczeństwa, ratujący przed przeludnieniem. Możemy sobie poradzić bez nowych emigrantów. Wiemy, jak się rozmnażać. - Uśmiecha się do mnie szeroko. - To głupia rozmowa. Tak daleko już dotarłeś. Przejdź i resztę trasy, razem ze mną.

Milczę.

- No jak?

- Chodzi ci o to, żeby teraz?

- W tej chwili.

Na Entropii jest tylko jedna stacja Veldego, jakieś trzysta metrów od domu, w którym rozmawiałem z Oesterreichem. Idziemy do niej pod niebem, na którym szaleją zielone błyskawice. Mój towarzysz zdaje się tego nawet nie zauważać.

- Nie musimy przejść ćwiczeń dostosowujących lambdę? - pytam go.

- Przy tym skoku nie - odpowiada. - Nie ma różnicy między wartością lambdy tu i tam. - Jest zajęty ustawianiem koordynat. - Proszę wejść do pomieszczenia, Wasza Wielebność.

- A ty mnie pošlesz, samego, Bóg wie gdzie?

- Nie gadaj głupstw. Proszę.

To może najbardziej szalona z rzeczy, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Jestem jednak sługą Zakonu, a Zakon tego ode mnie oczekiwał. Wchodzę. Nikogo przy nas nie ma.

Oesterreich nadal przyciska klawisze i zdaje sobie sprawę, że ustawia na automatyczny transfer, który nie wymaga zewnętrznej obsługi. Po zrobieniu tego przyłącza się do mnie i zaraz potem następuje znany mi błysk.

Pojawiamy się w chłodnym, suchym świecie, o słońcu podobnym do tego, jakie świeci nad Ziemią, o niebie w kolorze morskiej zieleni i nagim, skalistym krajobrazie. Przed nami rozciąga się płaskowyż, który gdzieniegdzie przecinają małe, granitowe pagórki, wyrastające jak garbate wyspy na płaskim morzu.

- Gdzie jesteśmy? - pytam.

- Pięćdziesiąt siedem lat świetlnych od Entropii i mniej więcej osiemdziesiąt pięć od Ziemi.

- A jak nazywa się to miejsce?

- Nie ma nazwy. Nikt tu nie mieszka. Chodźmy, teraz musimy kawałek przejść.

Ruszamy przed siebie. Grunt ma tu taki wygląd, jakby od dziesięciu czy dwudziestu lat nie padał na niego deszcz, a mimo to małe kępki szarawej, karbowanej trawy przeciskają się miejscami przez twardą, skamieniałą, czerwoną glebę. Po jakichś mniej więcej stu metrach po mojej lewej stronie grunt zaczyna ostro opadać w dół i widzę szeroką, płaską dolinę, leżącą jakieś trzysta metrów poniżej. Pasie się tam spokojnie jakaś samotna olbrzymia bestia, przypominająca masą i sposobem poruszania się słonia; cierpliwie ryje ziemię sztywnym, zaopatrzonym w dwa rogi ryjem.

- Jesteśmy na miejscu - mówi Oesterreich. Doszliśmy do najbliższej z małych granitowych

wysepek. Kiedy obchodzimy ją dookoła, spostrzegam, że jej powierzchnia od dalszej strony jest rozszczepiona i pęknięta, wskutek czego powstała niewielka jaskinia. Oesterreich wskazuje na nią i wchodzimy do środka.

Po naszej prawej stronie, na tle ściany jaskini znajduje się dziwna, trójstronna rama przypominająca zwężające się wejście, za którym panuje głęboka ciemność.

Rama jest z dziwnego, lśniącego metalu, a może z plastyku. W dotyku jest jednocześnie gładka i porowata. Wryte są na niej hieroglify, które wydają mi się bardzo podobne do widzianych przeze mnie na ścianie kamiennej świątyni na fresku w kaplicy Bogini na Edenie. Po obu stronach ramy znajdują się umocowane w ścianie jaskini potrójne sześcioramienne gwiazdy będące symbolem kultu głoszonego przez Oesterreicha.

- Co to jest? - pytam po chwili.

- To coś w rodzaju przekaźnika Veldego.

- Ale to wcale nie przypomina przekaźnika Veldego.

- Działa bardzo podobnie. Przekonasz się, kiedy wejdziemy w jego pole. Jesteś

gotów?

- Poczekaj.

- Dobrze, czekam. - Kiwa głową.

- Mamy się zgodzić, żeby to nas gdzieś posłało?

- Tak, Wasza Wielbność.

- Co to jest? Kto to zbudował?

- Już ci powiedziałem, co to jest. Nie mam pojęcia, kto to zbudował. Nikt. Sądzymy, że to ma pięć, a może dziesięć milionów lat. Może być dziesięciokrotnie albo i stukrotnie starsze. Nie mamy możliwości ocenić.

- Mówisz zatem - odzywam się po długim milczeniu - że to jakieś urządzenie obcej cywilizacji?

- Zgadza się.

- Nigdy nie udało nam się odkryć żadnych śladów inteligentnych form życia nigdzie w Galaktyce.

- Masz jeden z nich przed sobą - mówi Oesterreich. - A to nie jedyny.

- Odkryliście jakieś obce istoty?

- Odkryliśmy ich przekaźniki materii. Kilka z nich. Nadal działają. Czy jesteś już gotów do skoku, Wasza Wielbność?

Bezmyślnie wpatruję się w trójstronne wejście.

- Dokąd?

- Do planety oddalonej o około pięćset lat świetlnych stąd. A tam złapiemy autobus, który zabierze nas do Bogini Avatar.

- Mówisz poważnie?

- Jedźmy już, Wasza Wielbność.

- A co z efektem lambdy?

- Nie ma żadnego. Różnice lambdy są wynikiem niedoskonałości technologicznej urządzeń Veldego, a nie właściwością Wszechświata. Ten system dostarcza nas na miejsce bez żadnych problemów z lambdą. Naturalnie nie wiemy, jak on działa. Jesteś gotów?

- Dobrze - mówię bezradnie.

Wskazuje dłonią drogę; obaj przekraczamy próg i po prostu przechodzimy na drugą stronę, gdzie jest tak zdumiewająco pięknie, że mam ochotę uklęknąć i zacząć się modlić. Rosną tu wielkie, pierzaste drzewa, wyższe niż sekwoje; ze stoku hebanowej góry przesłaniającej pół nieba wypływa mlecznobiały wodospad i spieniony opada na dół; w powietrzu drży brylantowa mgiełka. Przed moimi oczami rozciąga się łąka jak szkarłatny dywan i ginie gdzieś w dali. Panuje tu mezozoiczne bogactwo substancji: wszystko lśni, migocze, drży w swojej wspaniałości.

Drugie wejście, identyczne z poprzednim, jest osadzone na zboczu ogromnego głazu, tuż przed nami. Także i ono ma po obu bokach trój gwiazdne emblematy.

- Załóż swój medalion - prosi Oesterreich.

- Mój medalion? - pytam głupio.

- Załóż go. Bogini Avatar będzie się zastanawiała, dlaczego przywiozłem cię ze sobą.

A medalion jej wszystko wyjaśni.

- Czy ona tu jest?

- Mieszka w następnym świecie. To jest tylko przystanek po drodze. Musieliśmy się najpierw tu zatrzymać. Nie wiem dlaczego. Nikt tego nie wie. Jesteś gotów?

- Chciałbym tu zostać jeszcze chwilę.

- Możesz tu wrócić innym razem. Bogini czeka na ciebie. Chodźmy.

- Dobrze - odpowiadam, grzebiąc w kieszeni. Wyciągam medalion i zakładam na

szyję. Oesterreich mruga do mnie porozumiewawczo i styka palec wskazujący z kciukiem w geście aprobaty. Bierze mnie za rękę i wchodzimy.

Jest smukłą wysuszoną kobietą w wieku sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu lat. Jej błyszczące niebieskie oczy rzucają twarde spojrzenia. Ma na sobie kurtkę i szorty w kolorze khaki, oliwkowy kapelusz z sukna mundurowego oraz ciężkie kamasze. Siwiejące włosy nosi upięte z tyłu w ciasny koczek. Stojąc przed małym namiotem wystukuje coś na ręcznym terminalu. Wygląda jak starzejący się profesor geologii w czasie wyprawy terenowej w Wyoming. Ale tuż koło jej namiotu na tablicy z piaskowca wyryty jest potrójny symbol Bogini.

Tu też jest krajobraz mezozoiczny, choć znacznie mniej bujny niż w poprzednim świecie: wielkie czerwono-brązowe skały są z rzadka porośnięte gigantycznymi paprociami i palmami; nad naszymi głowami bzyczą czteroskrzydłe owady wielkości latających smoków; daleko, w pobliżu horyzontu ogromne, groteskowe stwory, bardzo przypominające z wyglądu dinozaury, ostrożnie omijają się wzajemnie w skalistym kanionie. Dostrzegam też kilka innych namiotów. Powstała tu mała kolonia. Słońce jest czerwono-żółte, bardzo duże.

- No proszę, kogo my tu mamy? Czyżby to był Najwyższy Strażnik Prawa?

- Węszył na Zimie i Entradzie, usiłując wykryć, co się dzieje.

- No to już wie. - Ma kamienny głos. Pogarda i wrogość, z jaką odnosi się do mnie, są niemal namacalne. Czuję też bijącą od niej siłę, zimną, surową, brutalną moc.

- Który Dom należał do ciebie, Najwyższy Strażniku Prawa? - zwraca się do mnie.

- Ekspedytorów.

Przygląda mi się, jakbym był jakimś okazem na wystawie. W całym swoim życiu spotkałem dotychczas tylko jedną osobę o takiej sile i intensywności - to był Mistrz.

Ale ona jest do niego zupełnie niepodobna.

- A teraz ten, który wysyłał, sam został wysłany?

- Tak - odpowiadam. - Nastąpiły odstępstwa od planu. I stanąłem wobec konieczności rezygnacji z mojego urzędu.

- Nie mieliśmy dotrzeć tak daleko, prawda? Światło tego słońca nie dotrze do Ziemi aż do siedemdziesiątego trzeciego wieku, wiesz o rym? Ale jesteśmy tutaj. Jesteśmy! - Wybuch śmiechem przypominającym jakiś szalony chichot.

Zaczynam się zastanawiać, czy zamierzają mnie zabić. Od Bogini bije jakaś przerażająca aura. Nie przypomina już profesora geologii, jak mi się zdawało na początku. Teraz wygląda jak ktoś obcy, straszny; prorok albo jasnovidz. Ale nagle niknie także to, co w niej przerażającego, i pojawia się coś zupełnie odmiennego: czułość, współczucie, a nawet miłość. Siła tego promieniującego od niej uczucia zaskakuje mnie i wciągam gwałtownie powietrze, zdumiony jego intensywnością. Bogini zmienia się nie stosując przy tym żadnych jawnych środków; powiedziała tylko kilka słów, a całej reszty dokonała za pomocą ruchu, postawy, wyrazu twarzy. Wiem, że stoję przed kimś obdarzonym niezwykłą charyzmą. Podchodzi do mnie i przysuwa swoją twarz blisko do mojej.

- Wiem - mówi - że zniszczyliśmy wasz plan. Ale my też przestrzegamy boskiej reguły. Odkryliśmy coś, czego nikt nie podejrzewał, i wszystko uległo dla nas zmianie. Wszystko.

- Czy będziesz mnie potrzebowała, Pani? - pyta Oesterreich.

- Nie. Teraz nie. - Dotyka koniuszkami palców medalionu symbolizującego mój urząd i pociera go lekko, jakby to był magiczny talizman. - Pozwól, że zabiorę cię na wycieczkę po Galaktyce, Najwyższy Strażniku Prawa - mówi cicho.

Jedno z tych obcych wejść mieści się tuż za jej namiotem. Przechodzimy przez nie trzymając się za ręce i wylaniamy się na oślepiająco zielonym wzgórzu, z którego rozciąga się

widok na morze lodu. Na niebie lśnią jak brylanty trzy maleńkie, niebieskobiałe słońca. W drżącym powietrzu wyglądają jak trzy sześcioramienne gwiazdy z emblematu.

- Tu była kiedyś jedna z ich stolic - mówi Bogini. - Ale teraz znajduje się na dnie morza. Przebadaliśmy je detektorem i dostrzegliśmy ruiny. Pewnego dnia spróbujemy tam zejść. - Wskazuje dłonią na wejście i ponownie przechodzimy, tym razem wychodząc na burzliwą pustynię. Po twardym jak stal, czerwonym piasku ponuro zmykają na nasz widok silnie opancerzone kraby wielkości piłki futbolowej.

- Przypuszczamy, że tu, pod piaskiem, jest kolejne miasto - mówi moja przewodniczka. Zatrzymuje się, podnosi zniszczoną skorupę z szarej ceramiki i kładzie mi ją na dłoni. - Ta rzecz została wykonana miliony lat temu. Znajdujemy je tu na każdym kroku. Wpatruję się w to, jakby podała mi mały fragment rdzenia gwiazdy. Bogini ponownie dotyka mojego medalionu, muska go jedynie, po czym prowadzi mnie do następnego wejścia, z którego wychodzimy na świat kłębiących się białych chmur i łagodnych, zroszonych wzgórz, a stamtąd na następny, i następny...

- Jak odnaleźliście to wszystko? - pytani w końcu.

- Mieszkałam na Three Suns. Wiesz, gdzie to jest? Badaliśmy pobliskie światy, starając się sprawdzić, czy jest tam coś wartego zachodu. Pewnego dnia wyszłam z urzędnika Veldego i zobaczyłam tuż obok szczególnego rodzaju trójstronne wejście. Po-deszłam zbyt blisko i zorientowałam się, że przechodzę przez nie i znajduję się w zupełnie innym świecie. I to tyle.

- I tak przechodziłaś z jednego wejścia do drugiego?

- Łącznie było ich pięćdziesiąt. Wtedy nie umiałam jeszcze nastawiać ich na określony cel, skakałam więc w nadziei, że w końcu uda mi się trafić do punktu wyjścia. Nie było po temu żadnego powodu. Ale po sześciu miesiącach trafiłam. Bogini ma mnie w swojej opiece.

- Bogini.

Spogląda na mnie, jakby oczekiwała, że zakwestionuję jej słowa, ale milczę.

- Te wejścia łączą między sobą całą Galaktykę, jak paryskie metro - mówi po chwili. -

Możemy dojechać za ich pomocą wszędzie. Dosłownie wszędzie.

- A Bogini? Czy te wejścia są jej dziełem?

- Mamy nadzieję, że pewnego dnia uda nam się to wyjaśnić.

- A ten symbol? - pytam, wskazując na sześcioramienne gwiazdy koło wejścia. - Co on oznacza?

- Jej obecność. Proszę, pójdź ze mną, pokażę ci. Jeszcze raz wchodzimy do środka i wyłaniamy się

w nocy. Niebo na tym świecie jest najczarniejszą czernią, jaką kiedykolwiek widziałem; świecące na nim komety i spadające gwiazdy wywołują wrażenie niemal komicznej obfitości. Są też dwa księżycy, lśniące jak lustra. Z boku, w odległości kilkunastu metrów stoi biała kamienna świątynia, którą widziałem na fresku w kaplicy na Edenie, z tymi samymi hieroglifami, jakie były na malowidle i jakie są wyryte na wszystkich obcych przejściach. Wykonana jest z niczym nie spajanych płyt z białego kamienia, wyglądających tak, jakby wycięto je miliardy lat temu. Bogini bierze mnie za rękę i prowadzi przez wysunięte do przodu wejście do wysoko sklepionego wewnętrznego pomieszczenia, gdzie na kamiennym ołtarzu jest osadzony potrójny, sześcioramienny trójkąt, wykonany z tego samego połyskliwego materiału, z którego zrobione są obce wejścia.

- To ich jedyny budynek, jaki odnaleźliśmy - mówi. Oczy jej lśnią. - Musiało to być święte miejsce. Czy budzi to twoje wątpliwości? Tu się wyczuwa potęgę.

- Tak.

- Dotknij, proszę, tego emblematu.

- Co się stanie, jeśli to zrobię?

- Dotknij. Boisz się?

- Czemu miałbym ci ufać?

- Ponieważ Bogini posłużyła się mną, aby przywieść cię do tego miejsca. No, dotknij.

Dotykam dłonią gładkiej, nieznannej substancji i natychmiast czuję przepływającą przeze mnie siłę objawienia, nieomylną moc boskości. Widzę wielość światów, nieskończoną ich ilość, otaczających nieskończoną ilość słońc. Widzę Całość. Wyraźnie i jasno widzę oblicze Boga. To jest właśnie to, czego przez całe życie szukałem i wydawało mi się, że odnalazłem; ale zdaję sobie sprawę, że teraz odnajduję to po raz pierwszy. Gdybym przez tysiąc lat pościł czy przez dziesięć tysięcy lat się modlił, i tak nie byłbym w stanie odczuć czegoś takiego. To muzyka, z której powstały wszystkie rzeczy. To ocean, w którym wszystko pływa. Słyszę głosy każdego boga oraz każdej bogini, jacy kiedykolwiek byli czczeni, i wszystkie one są jednym głosem, który toczy się przeze mnie jak rzeka ognia. Po chwili zabieram rękę. Cofam się o krok, drżąc i kręcąc głową z niedowierzaniem. To zbyt proste.

Nie można sięgnąć Boga poprzez dotknięcie paska gładkiego plastyku.

- Mamy zamiar ich odnaleźć - odzywa się moja przewodniczka. - Muszą nadal gdzieś

żyć. Jakże mogliby nie być żywi? I jak można wątpić w to, że było nam przeznaczone pójść

ich śladem i odnaleźć ich? I uklęknąć przed nimi, ponieważ są oni Tymi, których szukamy.

Będziemy więc szli w poszukiwaniu ich naprzód, coraz dalej, tak daleko, jak będzie trzeba.

Do najdalszych zakątków, jeśli się to okaże konieczne. Na skraj Wszechświata, a potem

jeszcze dalej. Dzięki tym wejściom nic nas nie ogranicza. Otrzymaliśmy klucz, pozwalający

nam dotrzeć wszędzie. Ruszamy w Mrok, coraz dalej i dalej, nie w granicach małej,

sięgającej zaledwie stu lat świetlnych sfery, o jakiej mówi twój Zakon, ale w całą Galaktykę,

a nawet dalej. Kto wie, dokąd prowadzą te wejścia? Do Obłoku Magellana? Na Andromedę?

Do M33? Oni czekają gdzieś tam na nas. Tak jak czekali przez miliard lat.

A więc bogini uważa, że może dosięgnąć Go przechodząc z jednego wejścia do drugiego. Jego albo Ją. Którekolwiek. Ale jest w błędzie. Ten, kto stworzył Wszechświat, stworzył także wykonawców tych wejść.

- A Bogini...? - pytam.

- Bogini jest Nieznanym. Jest Tajemnicą, ku której dążymy. Nie czujesz Jej obecności?

- Nie jestem pewien.

- Poczujesz. Jeśli nie teraz, to później. Ona nas powita, kiedy się zjawimy. Obejmie nas i uczyni wszystkich bogami.

Przez długą chwilę wpatruję się w sześcioramienne gwiazdy. Nie byłoby trudno wyciągnąć ponownie rękę i po raz drugi napić się ze źródła objawienia. Ale nie potrzebuję tego. Ogień ciągle jeszcze krąży we mnie. I już zawsze tak będzie krążył, przyciągając mnie ku sobie. Czymkolwiek by to nie było, nie można zaprzeczyć, iż posiada moc.

- Pokażę ci jeszcze coś, a potem opuścimy to miejsce - mówi moja towarzyszka.

Idziemy przez świątynię i wychodzimy na jej drugim końcu, gdzie ściana się wywróciła. Z otoczonej gruzami platformy mamy niczym nie przesłoniony widok na niebiosa. Nad nami błyszczy niezwykła plejada gwiazd układających się w zupełnie mi nie znany wzór. Bogini wskazuje prosto ponad nasze głowy, gdzie po niebie dwoma skręconymi pasmami rozlewa się Mleczna Droga.

- Tu, tuż nad nami, jest Ziemia - mówi. - Widzisz ją? Krążącą wokół tego małego żółtego słońca, zaledwie sto tysięcy lat świetlnych stąd? Zastanawiam się, czy kiedykolwiek odwiedzili nas. Nie dowiemy się tego, póki nie natrafimy na ich wejście gdzieś w Himalajach

czy pod lodowcem Antarktydy, lub w innym miejscu tego rodzaju. Myślę, że kiedy w końcu dotrzemy do nich, rozpoznają nas. Ciekawie jest o tym myśleć, prawda? - Jej dłoń spoczywa lekko na moim nadgarstku. - Możemy już wracać, Najwyższy Strażniku Prawa?

Wracamy więc, w dwóch czy trzech skokach, do świata dinozaurów i gigantycznych ważek. Nie mam nic do powiedzenia. Wrze mi w głowie. Czuję się tak, jakbym był rozciągnięty przez pół Wszechświata.

Czeka na mnie Oesterreich. Zabierze mnie z powrotem na Fosfor, Entropię, Entradę, Zimę, Cuchulain, gdziekolwiek sobie życzę.

- Mógłbyś nawet wrócić na Ziemię - mówi Bogini Avatar. - Teraz kiedy już wiesz, co się tu dzieje. Mógłbyś wrócić do domu i opowiedzieć o tym Mistrzowi.

- Podejrzewam, że Mistrz już o tym wie. A poza tym nie mogę wrócić do domu. Nie rozumiesz tego?

- Ach, tak - śmieje się cicho - Kodeks Mroku. Zapomniałam. Zasada jest taka, że nikt nie wraca. Zostaliśmy wyrzuceni tu, aby oczyścić się z grzechu pierworodnego, a powrót na Ziemię byłby przestępstwem wobec praw termodynamiki. No cóż, jak sobie życzysz. Jesteś wolnym człowiekiem.

- Nie chodzi o Kodeks Mroku - mówię. - On już nikogo i nigdzie nie obowiązuje.

Zaczynam drżeć. W moim umyśle z nieba opadają skorupy i połamane części: Dom Ekspedytorów, Dom Sanktuarium, cały Zakon ze swoimi prawami, ziemskie góry i doliny, substancja i materia Ziemi. Wszystko się strzaskało; wszystko jest zrobione od nowa; stoję nieskończenie mały wobec nieskończonej wielkości Kosmosu. Oślepia mnie światło bijące od nieskończonej ilości słońc.

A jednak, choć muszę przysłonić oczy przed tym ostrym blaskiem, choć jestem odurzony i upokorzony przez bezmiar tego bezmiaru, widzę, że nie ma żadnych granic tego,

co można osiągnąć, że skraj Wszechświata oczekuje mnie, że muszę tylko sięgnąć i wyciągnąć się, wyciągnąć się i sięgnąć, a w końcu dotknę go.

Dostrzegam, że - nawet jeśli dokonała zbyt dużego skoku w odniesieniu do wiary, nawet jeśli przyjęła bezpodstawne założenia - Bogini Avatar podąża właściwą drogą. To czego poszukujemy, jest nieosiągalne, ponieważ cel jest nieskończony. Ale droga prowadzi nieustannie naprzód. Nie ma celu ostatecznego, jest tylko podróż. A Bogini dotarła dalej niż ktokolwiek.

A ja? Myślałem, że wyruszam w gwiazdy, aby spokojnie i skromnie przeżyć resztę moich dni, ale teraz zdaję sobie sprawę, że moja pielgrzymka nie ma końca. W rzeczywistości dopiero się zaczęła. Nie wiecie żadną z tych dróg, o których kiedykolwiek myślałem, że pójdę nimi. A jednak obieram właśnie tę drogę i nie mam wyboru, muszę nią iść, choć nie jestem jeszcze pewien, czy wędruję dalej na wygnanie, czy też w końcu odnajduję drogę do mojego prawdziwego domu.

I nic na to nie poradzę, że rozumiem teraz, iż nasza Misja się zakończyła, a zaczęła nowa; czy raczej: że ta nowa Misja jest kontynuacją i kulminacją naszej.

Zakon od samego początku nauczał, że aby dotrzeć do Boga, trzeba wyruszyć ku gwiazdom. I tak właśnie jest. Robiliśmy to, choć byliśmy zbyt bojaźliwi, ograniczając się do tej małej kulki przestrzeni otaczającej Ziemię. Ale nie odnieśliśmy niepowodzenia. Uczyniliśmy możliwym wszystko, co będzie się działo potem.

Podaję bogini mój medalion. Patrzy na niego tak, jak ja patrzyłem na ten kawałek obcej ceramiki na pustynnym świecie, a potem wyciąga rękę, aby mi go oddać, ale kręcę przecząco głową.

- To dla ciebie - mówię. - Jako upominek. Ofiara. Dla mnie teraz jest już bezużyteczny.

Stoi zwrócona plecami ku wielkiemu, czerwonożółtemu słońcu tej planety i mam wrażenie, że światło bije od niej tak, jak od Mistrza, że jest rozświetlona, promieniuje, że sama jest słońcem.

- Niech Bogini cię ma w opiece, Pani - mówię cicho.

Wszystkie światy Galaktyki krążą wokół mnie. Pójdę tą drogą i zobaczę, dokąd prowadzi, ponieważ już wiem, że nie ma żadnej innej drogi.

- Niech Bogini cię ma w opiece - powtarzam. - Niech Bogini cię ma w opiece, Pani.